TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 18 –24 lutego 2026 | nr 08 (3998)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Rosja–Ukraina: cztery lata wielkiej wojny

Bp Artur Ważny: chcemy prawdy o Kościele

Afazja i miłość: reportaż o powrocie

Aria traum: dwugłos o nowym Warlikowskim

Psyche: złość jest zdrowa

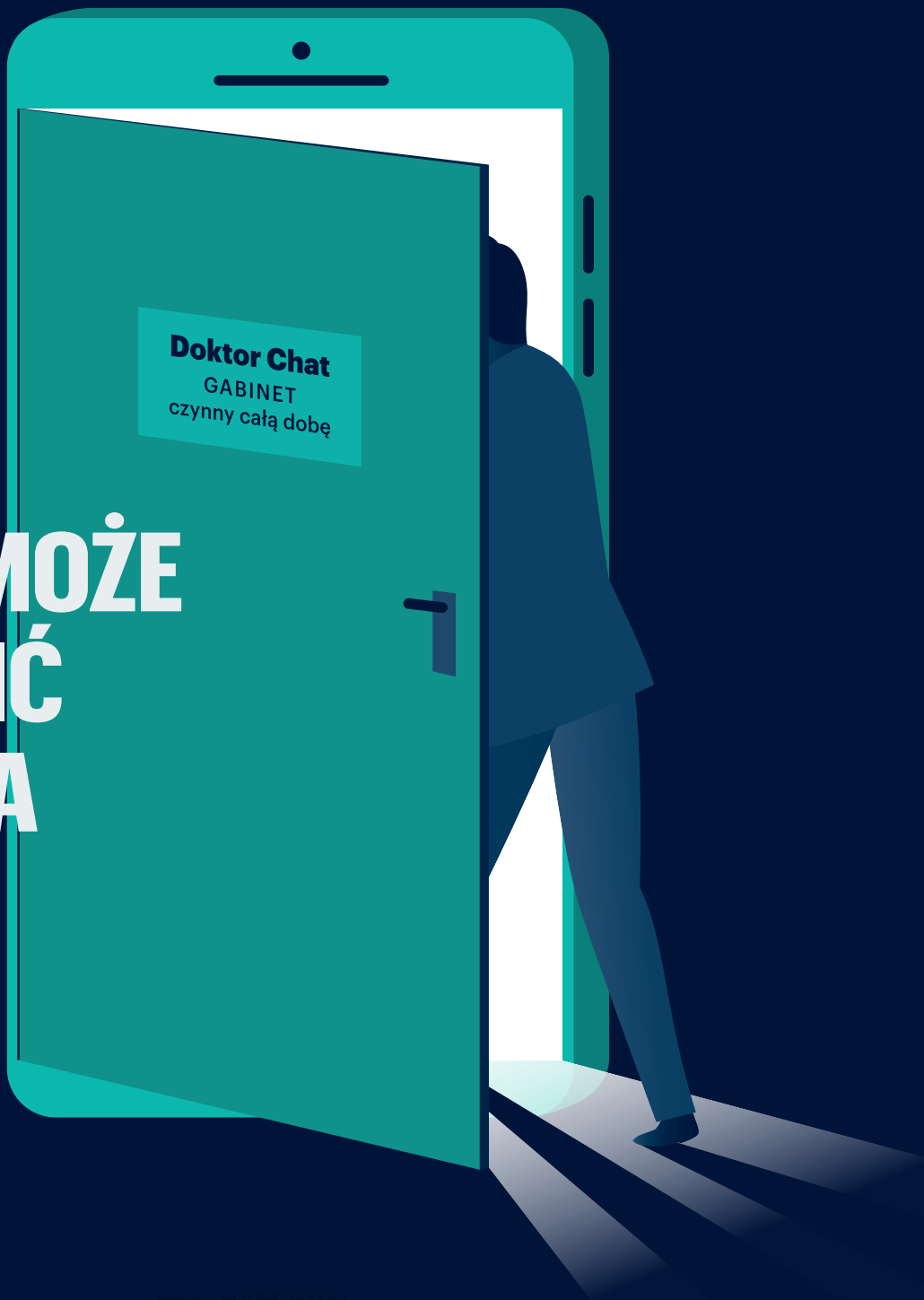

STRONY 12–16

CZY AI MOŻE ZASTĄPIĆ LEKARZA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 93052441ba

REKLAMA

ALUPROF
LET'S BUILD A BETTER PLACE

OKNA I DRZWI I FASADY I OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE I PERGOLE

AMBASADOR
Szymon Marciniak

Granice?

Tylko te, które sam wyznaczasz.
To Twój wybór.

MB-Skyline Type S

KS. ADAM

Boniecki: *Starość i post*

Jak zapisał się w mojej pamięci Wielki Post? Odpowiednio do wieku. W dzieciństwie niejedzenie cukierków (nigdy nie jadłem ich zbyt dużo), dobre uczynki liczone mniej skrupulatnie niż przed Bożym Narodzeniem i ogólnie bycie lepszym, co raczej nigdy na dłuższą metę się nie udawało. Plus słuchanie opisu męki i śmierci Jezusa na krzyżu, czytanego przez naszą mamę chyba z jakiejś książki (nie z Ewangelii), i mój płacz niedający się powstrzymać z powodu tej historii, przekazywanej chyba bez zakończenia o zmartwychwstaniu. Był pewnie Wielki Piątek, a w piątek panuje śmierć i nikomu zmartwychwstanie się nie śni. Dopiero z upływem czasu wszystko się uspokoiło. Chrystus zmartwychwstał, opis męki nadal był przejmujący, ale już wiedziałem, że dobrze się skończy.

I jeszcze jakieś zamglone wspomnienie o umartwieniach, pokutach wymyślnych, lecz nietrwałych. Nie będę opowiadał wszystkich eksperymentów w tej dziedzinie. Powiem tyle, że towarzyszyła jej niestałość. Czerpałem przykłady z pobożnych książek i z przykładu ludzi, których uważałem za świątobliwych. Najdłużej udawało się wytrwać przy poście: głodziłem się we wszystkie dni z wyjątkiem niedziel. Nie sądzę, bym przez te umartwienia stał się lepszy, czytaj: świętszy. A jako ksiądz w Wielki Post pracowałem bardzo dużo: nie pamiętam, żebym specjalną uwagę przywiązywał wtedy do pokutnych praktyk, czy w ogóle do umartwienia.

Aż nadeszła starość. Ona przychodzi w różny sposób, ale do mnie przyszła dość niespodziewanie, jednej nocy. Położyłem się normalnie, rano wstałem starcem, o czym wtedy nawet nie wiedziałem. Różne mądrości zaczęły przychodzić mi do głowy, inne odsunęły się z planu pierwszego na znacznie dalsze. Śmierć pojawiła się wyraźnie jako realna rzeczywistość, a Wielki Post przybrał całkiem inną postać.

Bo starość ma to do siebie, w każdym razie u mnie, że na rychłą śmierć czeka się spokojnie, choć różne sprawy trzeba na nowo – skoro jest taki czas – zdefiniować. Choćby istnienie po śmierci, istnienie poza ciałem należy do kwestii, które na tym etapie, chcąc nie chcąc, trzeba na nowo przeredlektować. Wiele nie wymyślimy w tej materii, a jednocześnie sporo o tym (w Kościele, choć nie tylko) się mówi. Zaczyna się myśleć (lepiej późno niż wcale) o czymś, co w nas jest czymś innym niż funkcją cielesną, istnieniem poza fizycznym byciem „duszą i ciałem". A w tym po prostu lepiej zrezygnować z imaginacji i powiedzieć sobie: zobaczymy. Tylko że rezygnacja z imaginacji nie jest taka prosta, lubimy wiedzieć, co nas czeka, i to jeszcze w wymiarze wieczności.

Wróćmy jednak do naszego śmiertelnego wymiaru. Doświadczamy (z czasem) ograniczoności naszych fizycznych możliwości, kruszy się intelekt, pamięć jedne rzeczy zachowuje, inne traci. Te dotyczące etapu *post mortem* stają się pilne, ważniejsze od tych, które tu nas pochłaniały. Wielki Post, praktykowany przez Pana Jezusa (na pustyni), rozciąga się poza czterdzieści dni. Tak naprawdę ostatni odcinek drogi życiowej może być Wielkim Postem. Może, ale nie musi. Niektórym jest kompletnie niepotrzebny. Są gotowi na życie wieczne. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

DOMINIKA TWOREK
Rzeczpospolita w trybie pospolitego ruszenia. Co zbiórki na różne cele mówią nam o stanie państwa polskiego?

MAREK MATUSIAK
Co się dzieje w Gazie? Jak się dziś żyje w Strefie i co dla jej przyszłości oznacza powstanie Rady Pokoju Donalda Trumpa?

IAIN MCGILCHRIST
Psychiatra i literaturoznawca tłumaczy, jak światopogląd łączy się z działaniem mózgu.

eprasa.pl 93c52441ba

Jest coś fascynującego w pojedynku, do którego na Uniwersytecie Harvarda stanęli w lipcu ubiegłego roku człowiek, Daniel Restrepo, diagnosta z Massachusetts General Hospital, i maszyna – CaBot. „Ten drugi – jak piszą **AGATA KAŹMIERSKA** i **WOJCIECH BRZEZIŃSKI** w tekście otwierającym wydanie – to stworzona specjalnie do stawiania diagnoz wersja zaawansowanego »modelu rozumowania« GPT-03".

Oboje mieli postawić diagnozę na podstawie objawów i historii choroby 41-letniego mężczyzny. Wyniku pojedynku nie zdradzę, może tylko tyle, że jednemu zajęło to sześć minut, drugiemu – sześć tygodni. Każdego dnia 40 milionów ludzi pyta Chata GPT o swoje zdrowie: udostępnia zdjęcia i wyniki badań, opisuje objawy. Kolejna, bliska życiu, odsłona tego, gdzie dzisiaj szukamy informacji i czy potrafimy je weryfikować. Komu ufamy i czy słusznie.

Być może właśnie dlatego tak na nas działa „Biografia X" **CATHERINE LACEY**. Nie wiadomo, co tu jest prawdziwe, a co fałszywe. Dlaczego nazwisko autorki na okładce nie zgadza się z nazwiskiem na stronie tytułowej. Czy to możliwe, że przypisy odnoszą się do nieistniejących tekstów? A wypowiedzi jednych są włożone w usta innych? Wspaniała gra z czytelnikiem, prawda? A może przerażająca, bo budzi znane emocje zagubienia między tym, co rzeczywiste, a tym, co zafałszowane?

Lacey zastawia na czytelników pułapkę, wskazując na temat nie od dziś ważny, czyli na prawdę. O sobie, ale i o świecie. I pyta o granice poznania. „Nie szukam całkowitego zrozumienia, bo nawet sama siebie w pełni nie rozumiem" – mówi autorka w wywiadzie, który publikujemy w tym numerze.

Przypomniała mi tymi słowami rozmowę z Wiesławem Myśliwskim sprzed kilku lat. „Znając Pana biografię..." – zaczęłam. Spojrzał na mnie: „...pani nie zna mojej biografii". „Znając niektóre wydarzenia z Pana życia..." – podjęłam jeszcze jedną próbę. Już bez spojrzenia: „...pani nie zna mojego życia. Bo nawet ja nie wiem, czy je znam, poza ogólnym zarysem, że się urodziłem, że umrę pewnie niedługo, że skończyłem takie, inne szkoły, że mieszkałem tu, tam".

A więc wciąż mamy szansę na tajemnicę. Także przed AI. Pocieszające, prawda? ©℗

ANNA GOC
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu", „Głuszy", za którą otrzymała Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nagrodę im. Beaty Pawlak, oraz zbioru reportaży „Biegnij, mała, biegnij".

28 Lubię ciebie kochać
REPORTAŻ O KAROLINIE WIKTOR, AUTORCE KSIĄŻKI „WOŁGĄ PRZEZ AFAZJĘ":
– Jeśli przekraczasz wstyd i otwierasz się na bliskość, to i twoje funkcje poznawcze zaczynają lepiej działać. Zdrowiejesz, bo ktoś cię dotyka.

48 Pokuta to konkret
ROZMOWA NA WIELKI POST Z BP. ARTUREM WAŻNYM, ORDYNARIUSZEM DIECEZJI SOSNOWIECKIEJ:
Trzeba przestać chronić system, a zacząć chronić człowieka. Moją pokutą jest budowanie takich struktur, które są przejrzyste i stawiają człowieka w centrum.

68 Lubię być słuchaczką
ROZMOWA Z CATHERINE LACEY, AUTORKĄ „BIOGRAFII X":
Związek dwojga ludzi jest doświadczeniem akceptacji własnego zagubienia. Koniecznością uznania, że nigdy nie pojmiemy siebie.

GRAŻYNA MAKARA // MILENA LIEBE / ARCHIWUM ZACHĘTY – NARODOWEJ GALERII SZTUKI // AGNIESZKA SIDEŁKO / DIECEZJA SOSNOWIECKA // WILLY SOMMA / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA „CZARNE"

eprasa.pl 93c52441ba

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Trzecie miejsce
MONIKA OCHĘDOWSKA

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Straż przednia
ROZMOWA Z MARCINEM DUMĄ, BADACZEM OPINII: *Kiedyś Polską rządził podział na tych, którzy zyskali na transformacji ustrojowej, i tych, którzy stracili. A dzisiaj?*

22 Remont trudniejszy niż ekshumacja
MARCIN KĘDZIERSKI: *Cmentarze w Polsce przestały być intratnym „biznesem" i coraz więcej proboszczów chętnie pozbyłoby się tego wątpliwego dobrodziejstwa*

25 Przyszłość wielorazowa
ROZMOWA Z JOANNĄ KĄDZIOŁKĄ Z POLSKIEGO STOWARZYSZENIA ZERO WASTE *o systemie kaucyjnym*

■ ■ REPORTAŻ

28 Lubię ciebie kochać
ANNA GOC

■ ■ ŚWIAT

32 Obrona bez końca
WOJCIECH KONOŃCZUK: *Nic nie wskazuje na to, aby piąty już rok wojny Rosji przeciwko Ukrainie miał być jej rokiem ostatnim*

35 Najgorsze to stracić nadzieję
ROZMOWA Z PETRO BALOGIEM, PRZEOREM KLASZTORU DOMINIKANÓW W KIJOWIE

38 Nowa mapa Eurazji
PIOTR KŁODKOWSKI: *Czy Europejczycy mogą sprzymierzyć się z Azjatami dla swojego bezpieczeństwa? Przyjrzyjmy się możliwym opcjom*

■ ■ HISTORIA

42 Siostry w kapturach
ANNA BRZEZIŃSKA: *Gdy w średniowiecznym Kościele nastał czas fermentu, także one chciały coś zmienić. Opowiedzmy historię sióstr beginek*

TEMAT TYGODNIKA

12 Doktor Chat
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Sztuczna inteligencja diagnozuje coraz szybciej, myli się coraz rzadziej. Czy lekarze będą nam jeszcze potrzebni?

15 Jak pytać „doktora Chata" o zdrowie i nie zrobić sobie krzywdy

JERZY SKAKUN DLA „TP"

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
26 OLGA DRENDA **56** ZUZANNA RADZIK
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE: JERZY SKAKUN DLA „TP"

■ ■ WIARA

48 Pokuta to konkret
ROZMOWA Z BP. ARTUREM WAŻNYM, ORDYNARIUSZEM DIECEZJI SOSNOWIECKIEJ

52 Boski pył
PIOTR SIKORA: *Posypując głowy popiołem, warto spojrzeć na siebie jak na „boski pył"*

54 Rozkład zajęć
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *W przepychance o religię w szkole chodzi o wszystko, tylko nie o jakość edukacji*

57 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

58 Jak podgrzać karpia
ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM RAKUSEM, IMMUNOLOGIEM PORÓWNAWCZYM

■ ■ KULTURA

64 Aria traum
DARIUSZ KOSIŃSKI O „EUROPIE" KRZYSZTOFA WARLIKOWSKIEGO: *Mamy dość masakry i ludobójstwa odgrywanego na scenie tylko po to, by śmietanka towarzyska poczuła się lepiej*

67 Milczący świadkowie
MICHAŁ BILEWICZ O „EUROPIE" KRZYSZTOFA WARLIKOWSKIEGO: *Europa mogła być jedną z dziewczynek patrzących na płonące getto z karuzeli na Placu Krasińskich*

68 Lubię być słuchaczką
ROZMOWA Z CATHERINE LACEY, PISARKĄ

72 Polecenia

74 Dość dobra
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Mary Bronstein „Kopnęłabym cię, gdybym mogła"*

75 Pewnej nocy
LEKTOR *o noweli „Noc z ołowiu" Hansa Henny'ego Jahnna*

■ ■ PSYCHE

78 Pochwała złośnicy
ROZMOWA Z OLIWIĄ ZIĘBIŃSKĄ, PSYCHOTERAPEUTKĄ: *Z natury mamy w sobie tyle złości, ile potrzebujemy mieć*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 17

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

eprasa.pl 93c52441ba

OBRAZ TYGODNIA

TRZECIE MIEJSCE

Biblioteki są jak witaminy: chronią nasze zdrowie, zapewniając odporność. Nowe badania pokazują, że odwiedza je coraz więcej seniorów.

MONIKA OCHĘDOWSKA

POWYŻEJ:
Metroteka, biblioteka miasta Warszawy na stacji metra Kondratowicza. Wrzesień 2025 r.

Biblioteki publiczne zaczynają podsumowywać miniony rok, dumnie prezentując rekordowe statystyki. Czytelnikami pochwalił się już m.in. Kraków (prawie 3 mln wypożyczeń, 150 tys. więcej niż w roku 2024) oraz Łódź, w której z bibliotek korzysta jedna czwarta mieszkańców. Nic dziwnego, że Łodzianie i Łodzianki postanowili przeznaczyć w tym roku z budżetu obywatelskiego aż 1,4 mln zł na nowości wydawnicze oraz e-booki.

W dużej mierze skorzystają z nich najstarsi czytelnicy, którzy w województwie łódzkim są wyjątkowo aktywni (ponad 40 proc. uczestników zajęć organizowanych przez miejskie biblioteki i domy kultury to seniorzy). Skąd taki wynik? Łódź jest jednym z tych miast, które starzeją się najszybciej – 29 proc. jej mieszkańców to emeryci (średnia dla kraju wynosi 27 proc.). A ponieważ dzieci z roku na rok, nie tylko w Łodzi, rodzi się coraz mniej, wedle prognoz GUS-u w roku 2060 prawie 40 proc. naszego społeczeństwa będą stanowiły osoby po sześćdziesiątce. W odpowiedzi na ten trend, a także fakt, że bez względu na datę urodzenia coraz chętniej wychodzimy z domu – również do czytelni – Instytut Książki podpowiada, jak powinniśmy myśleć o bibliotekach (niedalekiej całkiem) przyszłości.

JAK WYNIKA Z BADANIA przeprowadzonego przez socjologa i animatora kultury dr. Bartka Lisa, seniorzy przychodzą do bibliotek przede wszystkim „z potrzeby porozmawiania" – książka jest pretekstem do spotkania, a osiedlowa wypożyczalnia pełni funkcję klubu, w którym można spotkać sąsiadów i spędzić z nimi czas. Raport dr. Lisa udowadnia zresztą, że upodabniamy się pod tym względem do innych Europejczyków. Biblioteki w Wielkiej Brytanii od lat pełnią rolę infrastruktury „dobrego życia". Finowie

eprasa.pl 93c52441ba

traktują lekturę jako element budowania wspólnoty i osobistej stabilności. Dla Duńczyków biblioteki są „przystanią” i „przestrzenią zaufania”, którą odwiedza się nie tylko po to, by zaopatrzyć się w dobrą lekturę, ale też w sytuacjach, gdy potrzebujemy pomocy albo pragniemy zawiązać nowe znajomości. Raport Roskilde Libraries (2024) wskazuje, że seniorzy zamieszkujący m.in. Półwysep Jutlandzki w bibliotece czują się po prostu bezpiecznie.

Jest to tym łatwiejsze, im gęstsza jest miejska sieć biblioteczna (łódzka i krakowska są tu wzorcowe, mają 58 filii). Kameralne warunki i znajome twarze sprzyjają dłuższym wizytom. Seniorki i seniorzy, jak przyznają bibliotekarze i bibliotekarki, po książkę „wpadają przy okazji sprawunków”, ale w rzeczywistości chodzi również o to, by się komuś wygadać (przypomnijmy, że prawie jedna czwarta emerytek i emerytów mieszka dziś samotnie).

TO DLATEGO BIBLIOTEKI określa się mianem „trzeciego miejsca”. Termin pochodzi z wydanej w 1989 r. książki amerykańskiego socjologa Raya Oldenburga. Badacz pisał, że nasze życie koncentruje się zwyczajowo wokół trzech ważnych ośrodków: domu, pracy oraz tej przestrzeni, która decyduje o naszym życiu towarzyskim. „Trzecie miejsce” to miejsce odpoczynku – nie tylko od pracy, lecz także od wykonywanych na co dzień rutynowych czynności, domowej krzątaniny. To neutralna przestrzeń, w której spotykamy przyjaciół, obserwujemy sąsiadów, pokazujemy się innym. Tam właśnie tętni życie lokalnej społeczności, rodzą się pomysły, utrwalają się lub ewoluują ważne w danym środowisku wartości. Oldenburg uzasadniał swoją teorię posiłkując się przykładami kawiarni i pubów. Z czasem „trzecim miejscem” stawały się dla nas internetowe społeczności i duże centra handlowe, które jednak – gdy handel przenosi się do sieci – w wielu miastach przestają już pełnić tę rolę. Trzecim miejscem stają się za to coraz nowocześniejsze, przyjaźnie urządzone, dobrze oświetlone i ogrzane czytelnie.

I bardzo dobrze, bo badania, które w swoim raporcie cytuje dr Lis, wskazują, że codzienna lektura to nie tylko trening pamięci i koncentracji. Czytanie buduje poczucie „biograficznej ciągłości” i sprawczości, co jest szczególnie ważne zaraz po przejściu na emeryturę. Wreszcie: fakt, że książki dają nam pretekst do rozmowy, przeciwdziała samotności i izolacji, a w efekcie – depresji.

W tym względzie szczególnie wartościowa okazuje się, wciąż mało popularna, wspólna głośna lektura w małych, regularnie się spotykających grupach. Grupowe czytanie zdecydowanie poprawia nastrój i wzmacnia poczucie przynależności. W końcu razem doświadczamy tylu przygód i wzruszeń! Lis rekomenduje też Instytutowi Książki rozwój programów międzypokoleniowych (kluby łączące seniorów i młodzież), które nie tylko przeciwdziałają osamotnieniu obu grup, ale też otwierają interesującą przestrzeń wymiany doświadczeń.

WSZYSTKO TO DA SIĘ ZROBIĆ. Liczby pokazują, że jesteśmy, jako społeczeństwo, gotowi się w takie działania zaangażować. Polscy seniorzy i seniorki są coraz aktywniejsi, podróżują, zwiedzają Polskę (w ciągu dekady liczba podróżujących w tym wieku wzrosła z 45 proc. do 65 proc.), a także Europę i świat. Rośnie też uczestnictwo seniorek i seniorów w kulturze. Przechodząc na emeryturę, chętnie poświęcamy się swojemu hobby i rozwijamy nowe zainteresowania (wzrost z 56 proc. do 73 proc.). Samych bibliotek też jest coraz więcej. W latach 2021-2025 wybudowano 23 nowe placówki, 25 przebudowano, a 38 zmodernizowano – ogólnie na ponad sto bibliotecznych inwestycji wydaliśmy z budżetu państwa 180 mln zł. ©℗

ZBYSZEK KACZMAREK / FORUM

Pacjent pod ochroną

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Moje środowisko czekało na nowe prawo ok. 30 lat. Ale jest ono dobre także dla pacjentów – mówi „Tygodnikowi” Zofia Milska-Wrzosińska, psychoterapeutka i psycholożka z Laboratorium Psychoedukacji po tym, jak 12 lutego prezydent podpisał ustawę o zawodzie psychologa.

Nowe prawo jest godne uwagi nie tylko ze względu na – rzadką ostatnio przy istotnych projektach – ponadpolityczną zgodę: reguluje pracę tysięcy psychologów, z którymi możemy się zetknąć niemal na każdym kroku. W szkole naszego dziecka, w badaniu kwalifikacji zawodowych, na szpitalnym oddziale, w poradni zdrowia psychicznego, w korporacyjnym dziale HR czy w prywatnym gabinecie. W ramach oceny, diagnozy, profilaktyki, interwencji kryzysowej.

Co nowa ustawa da psychologom i nam, potencjalnym pacjentom? – Po pierwsze, ochronę tytułu, którym będzie się mogła posługiwać wyłącznie osoba po magisterskich studiach psychologicznych – komentuje Milska-Wrzosińska. – Ma to znaczenie zwłaszcza w przypadku prywatnych praktyk, które będzie mogła prowadzić tylko osoba z tytułem, ale też w instytucjach publicznych: gdy np. okazało się, że zgodnie z nowelizacją prawa oświatowego od 2024 r. w każdej szkole musi być psycholog, niejednokrotnie zatrudniano osoby niespełniające wymogów. Teraz stanie się to niemożliwe.

Pacjent lub klient będzie mógł sprawdzić odwiedzanego przez siebie specjalistę, gdyż powstanie ogólnopolski rejestr wszystkich psychologów.

– Jeśli będzie poszukiwał w określonym rejonie kraju psychologa z uprawnieniami do wykonywania zawodu, wystarczy zajrzeć do rejestru – mówi warszawska psycholożka. I dodaje: – Innym ważnym punktem ustawy jest powołanie samorządu, w którym członkostwo będzie obowiązkowe na wzór uczestnictwa w izbach lekarskich. Pacjentowi da to możliwość wniesienia skargi, co do tej pory było iluzoryczne: poskarżyć się można było do towarzystwa, w którym zrzeszony był dany psycholog, tyle że uczestnictwo w żadnym towarzystwie nie było obligatoryjne. Teraz psycholodzy podlegać będą odpowiedzialności dyscyplinarnej, jak np. lekarze czy prawnicy.

Nowa ustawa została przyjęta dobrze, choć bywała krytykowana: jedni uważali, że zbędny jest przepis o obowiązkowej opiece (rodzaju stażu pod kuratelą mentora) w pierwszym okresie wykonywania zawodu, inni nie kryli rozczarowania, że wykonywanie profesji psychologa nie daje skróconej ścieżki dostępu do stania się psychoterapeutą. W przypadku tego zawodu uchwalenie nowej ustawy, też wyczekiwanej, będzie trudniejsze. Nie tylko przez skomplikowaną prawną materię, ale i spory wewnątrz samego środowiska psychoterapeutów. ©℗

eprasa.pl 93c52441ba

Uratować SAFE

MAREK RABIJ

Eurokraci z Brukseli mają rękę do akronimów. Program SAFE, czyli Security Action for Europe, pełną nazwą także trafia w sedno inicjatywy, która ma na celu rozpędzenie wysiłków zbrojeniowych krajów UE. 150 mld euro pożyczek oprocentowanych na około 3 proc. rocznie, ze spłatą pierwszej transzy rozłożoną na 45 lat, ma ułatwić doinwestowanie obronności bez nadmiernego obciążania budżetu.

Polska wynegocjowała sobie aż 43,7 mld euro, co według aktualnego kursu daje ok. 184 mld zł. Pieniądze z SAFE dają nam więc niemal równowartość rocznych wydatków na obronność. Przez pierwszych 10 lat możemy w dodatku spłacać jedynie odsetki. Dla Polski to niemal idealne narzędzie dofinansowania sił zbrojnych i rodzimego przemysłu obronnego, bo większość tej kwoty należy wydać w krajach UE. I właśnie o to – o dziwo – SAFE może się wkrótce potknąć na schodach polskiej polityki.

Wspólny dług, zaciągnięty na obronność i rozdzielany następnie przez Brukselę, Konfederacji pachnie podejrzanie wizją federalizacji Unii.

Elektoratowi Konfederacji dyskusyjna wydaje się zresztą sama idea zadłużania państwa, które – jak głoszą politycy tej partii – powinno działać jak szwajcarski zegarek, ale kosztować grosze.

W trudniejszej sytuacji SAFE postawił PiS. Ludzie Kaczyńskiego nie mogą krytykować rządu za przyspieszenie wydatków na armię, skoro wcześniej zarzucali mu, że próbuje je ciąć. Zarzuty kosztowności programu również brzmią absurdalnie, jeśli wziąć pod uwagę, że zakupy, które Mariusz Błaszczak zrobił na kredyt w Korei Południowej, wedle tamtejszych mediów kosztują nas dodatkowo ponad 6 proc. rocznie. Sprzęt z USA, kupowany na raty w ramach programu Foreign Military Sales, jest nieco tańszy, ale cena nie może spaść poniżej rentowności amerykańskich obligacji, które obecnie są oprocentowane na ok. 3,6-4 proc. rocznie.

Polskie obligacje kosztują dziś jeszcze więcej, więc Warszawa w pojedynkę nie zadłuży się taniej. Niewiarygodnie wypadają też zarzuty, jakoby pieniądze z SAFE wydane na sprzęt europejski poszły na marne, bo uzbrojenie z USA jest sprawdzone w boju. PiS tak naprawdę wie, że SAFE nie podoba się lobbystom w Waszyngtonie, którzy pilnują interesu Raytheona, Boeinga czy Lockheeda Martina.

Krajowy przemysł zbrojeniowy istotnie może mieć dziś problem z wchłonięciem aż 80 proc. pieniędzy z SAFE, ale jeśli ma nabrać rozpędu, to nie wolno go odcinać od źródła taniego finansowania. ©℗

Pamiątka z Monachium

WOJCIECH PIĘCIAK

Rosyjska matrioszka. Gdyby szukać czegoś, czym można by zwizualizować wystąpienie Marca Rubia – adresowane do Europy, wygłoszone w Monachium na konferencji o globalnym bezpieczeństwie i będące rodzajem postscriptum do niedawnej Strategii Bezpieczeństwa USA – nasuwa się skojarzenie z matrioszką. Drewniana lalka, kryjąca w sobie kolejne wcielenia, niekoniecznie identyczne czy ładniejsze.

Inaczej niż rok temu wiceprezydent J.D. Vance, sekretarz stanu USA pokazał teraz inną twarz Ameryki Trumpa. To była ta pierwsza laleczka, zewnętrzna, przyjazna: my Amerykanie „zawsze pozostaniemy dzieckiem Europy".

Ale jeśli ktoś uznałby te słowa za zwrot, byłby naiwny. Kolejna warstwa była już odmienna: co do meritum, Rubio wystąpił w roli interpretatora Trumpa i ruchu MAGA. Jeśli was obrażamy, czynimy to z troski – to istota wywodu Rubia. Z troski, bo zmierzacie ku cywilizacyjnej katastrofie. Tu nastąpiła wyliczanka wad Europy, pod którą pewnie podpisałby się lider mniejszej Konfederacji (czy także prezes PiS, to już nie jest pewne). I oferta: Trump wie, jak ratować zachodnią cywilizację, i prosi Europę, by doń dołączyła. Na jego warunkach, rzecz jasna.

Była jeszcze jedna laleczka, schowana głębiej – niewypowiedziana. Rubio pominął milczeniem to, co dla nas najważniejsze. Nie padło choćby słowo o Putinie, jego zbrodniczej wojnie i podprogowej agresji przeciw Europie. Nic o Grenlandii, choć chwilę wcześniej roszczenia Trumpa groziły wysadzeniem zachodniej struktury (bo czy jeszcze wspólnoty?) polityczno-militarnej.

Konferencja w Hotelu Bayerischer Hof zawsze jest jak lustro. Albo pamiątkowa fotografia. Nie należy oczekiwać po niej decyzji. Jej wartością jest, że oddaje trendy, ducha. „Monachium 2026" pokazuje, że ideowo-emocjonalny rozwód Stanów z Europą trwa, tylko chwilowo stał się mniej brutalny (pytanie, na jak długo: czy do chwili, gdy Trumpowi znów nie spodoba się ton głosu rozmówcy?).

Rzecz nie w tym, że na linii USA-Europa są różne opinie. Rzecz w tym, że ekipa rządząca Stanami przestała traktować różnice – istniejące zawsze, od powstania NATO – jak stan naturalny, który wymaga dogadania się na zasadzie *win-win*. Zamiast szacunku jest pogarda dla odmiennych wyobrażeń o tym, jak ktoś widzi swoje szczęście, oczekiwanie podległości, ingerencja w sprawy innych, jawna chciwość. Chwilami złośliwy sadyzm.

„Monachium 2026" pokazało coś jeszcze: Europa (tj. jej większość, gdyby oceniać wynikami wyborów i sondażami) nie godzi się na to. I nie podchodzi już do tej presji nerwowo. Oczywiście, strach byłoby się nie bać. Ale jest to lęk, który mobilizuje. Co z tego wyniknie w praktyce, zobaczymy. ©℗

ALEX BRANDON / AFP / EAST NEWS

Sekretarz stanu USA Marco Rubio po udziale w Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Port lotniczy w Monachium, 15 lutego 2026 r.

eprasa.pl 93c52441ba

NA PUNKTY

PROGI REDAKTORKI
„Wywiadem w TVN24 potwierdziła przede wszystkim to, co wiele osób przeczuwało: że Pałac Prezydencki to za wysokie progi dla takich ludzi jak państwo Nawroccy" – tak pani Natalia Waloch skomentowała w „Gazecie Wyborczej" telewizyjną rozmowę z żoną prezydenta.

FANTAZJE EUROPOSŁANKI
Odnotujmy jednak, że pani Waloch nie posunęła się aż tak daleko jak europosłanka Lewicy Joanna Scheuring-Wielgus, która w ogniu dyskusji na falach Radia Zet powiedziała, że „to byłby wspaniały finał", gdyby Włodzimierz Czarzasty przejął funkcję prezydenta po tym, jak coś się stanie Karolowi Nawrockiemu.

LOTY PREZYDENTA
Co się zaś tyczy wysokości, Karol Nawrocki zamierza sam się o nią zatroszczyć: „Premier może swojemu synowi powiedzieć, gdzie może lecieć, czy swoim wnuczkom. Premier nie będzie mówił prezydentowi Polski, gdzie może lecieć. Ja mogę lecieć, gdzie chcę" – zadeklarował, pytany o stanowisko rządu w sprawie ewentualnego wyjazdu na inaugurację tzw. Rady Pokoju Donalda Trumpa. ©℗

Uczeń na tropie patologii

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

To, co zastaliśmy w Instytucie Badań Edukacyjnych, utwierdza mnie w przekonaniu, że to nie jest eksperckie zaplecze polskiej edukacji, a skoro nie jest, to nie mogło przygotować dobrej reformy. Nie w kulturze strachu i marnotrawstwa publicznych pieniędzy – mówi „Tygodnikowi" Paweł Mrozek (na zdjęciu), 18-letni założyciel Akcji Uczniowskiej, która włącza się w debatę o polskim szkolnictwie.

Mrozek opublikował tekst na portalu „Głos pokolenia", gdzie zarzucił obecnej dyrekcji IBE, instytucji przygotowującej nowe podstawy programowe na potrzeby reformy oświaty, m.in. marnotrawstwo pieniędzy i mobbing. To pierwsze miało dotyczyć programu „Moc Relacji w Edukacji", w ramach którego IBE wydało – wedle Mrozka w sposób chaotyczny i niegospodarny – miliony m.in. na materiały związane z wdrażaną reformą. „A co do mobbingu, pracownicy wymieniają takie działania jak dzwonienie po nocach do podwładnych, obarczanie ich wieloma projektami naraz, co skutkuje aktywnością do późnych godzin nocnych" – relacjonuje.

Dyrekcja IBE odpiera zarzuty, twierdząc, że sprząta bałagan pozostawiony przez poprzedników z czasów PiS (portal OKO.press pisał o IBE jako „prywatnym folwarku" ówczesnej partii władzy i Przemysława Czarnka, z kolei Paweł Mrozek uważa, że podobny folwark powstaje też teraz). W oświadczeniu (pełna wersja na naszej stronie) rzecznik IBE pisze m.in. o stabilnej sytuacji Instytutu, a także o tym, że w komisji antymobbingowej nie toczy się żadne postępowanie związane z działaniami dyrekcji.

Ktokolwiek w tym sporze ma rację, faktem jest, że to nie pierwsze czarne chmury nad tą kluczową instytucją. Wcześniej o „atmosferze mobbingu" w IBE donosił „Dziennik Gazeta Prawna". Także źródła „Tygodnika" potwierdzają, że w Instytucie panuje zła atmosfera, a wielu pracowników czuje się przeciążonych. Choć przygotowywane tu nowe podstawy programowe są przez ekspertów różnie oceniane (nie brakuje opinii, że stanowią krok w dobrą stronę), nie wróży to dobrze szykowanej reformie edukacji. ©℗

MATEUSZ GROCHOCKI / EAST NEWS

Pierwszy niezależny raport

ARTUR SPORNIAK

To wydarzenie przełomowe w Polsce. Po raz pierwszy niezależni badacze, mając pełny dostęp do dokumentów kościelnych, dokonali szczegółowych badań problemu pedofilii w lokalnym Kościele. Powołana w październiku 2024 r. przez biskupa sosnowieckiego Artura Ważnego Komisja „Wyjaśnienie i Naprawa" opublikowała swój pierwszy raport obejmujący okres od powstania diecezji sosnowieckiej w 1992 r. Dokument mówi o co najmniej 50 osobach skrzywdzonych – 96 proc. z nich były to dzieci poniżej 15. roku życia.

Komisja zidentyfikowała 27 osób związanych z Kościołem sosnowieckim, w odniesieniu do których pojawiły się podejrzenia lub zostały one oskarżone o przestępstwa seksualne na szkodę osób małoletnich. Czterech z nich to osoby świeckie. W stosunku do 4 duchownych podejrzenia się nie potwierdziły. Z pozostałych 19 księży diecezji sosnowieckiej 4 nie żyje, wobec 3 prowadzone są procesy w sądach państwowych, oskarżenia potwierdziły się wobec 6, a sprawy 6 pozostałych duchownych są wciąż badane.

Raport wstrząsa nie tyle skalą przestępstw, ile indolencją władz kościelnych w reakcji na nie. Problem systemowo bagatelizowano. Nie dawano wiary osobom zgłaszającym przestępstwa, natomiast bezkrytycznie wierzono w wyjaśnienia oskarżanych. Osoby skrzywdzone albo były ignorowane, albo traktowane jako wrogie Kościołowi. Wnioski z raportu uderzają w byłych ordynariuszy sosnowieckich: nieżyjącego już bp. Adama Śmigielskiego i przebywającego na emeryturze bp. Grzegorza Kaszaka.

Niewątpliwie raport jest pierwszym ważnym krokiem na drodze odzyskiwania wiarygodności Kościoła sosnowieckiego i tak traktuje go bp Ważny. Czy oznacza to, że szlak został przetarty i biskup sosnowiecki znajdzie naśladowców wśród innych biskupów? Obawiam się, że tak precyzyjnie obnażona skala zaniedbań w Sosnowcu paradoksalnie przestraszy rządców innych diecezji i zablokuje proces reform w polskim Kościele. ©℗

eprasa.pl 93c52441ba

ARCHIWUM PRYWATNE

JAN GOŁĘBIOWSKI, PSYCHOLOG KRYMINALNY:

Mieszko R. nie uniknie konsekwencji. Dziwi mnie medialne oburzenie.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: „Mieszko R. uniknie kary" – grzmiały nagłówki po tym, jak uznano za niepoczytalnego 22-latka, który w maju ub.r. na UW zabił siekierą pracownicę administracyjną i ciężko ranił strażnika. Owszem, uniknie „kary", bo wg art. 31 kodeksu karnego, jako że z przyczyn psychicznych nie kierował swoim postępowaniem, to nie popełnił przestępstwa. Ale nie czeka go sanatorium...

JAN GOŁĘBIOWSKI: Taki skrót myślowy nabija klikalność, ale nie oddaje istoty sprawy. Tak, postępowanie zostanie umorzone i Mieszko R. nie trafi do rejestru skazanych. Ale nie uniknie konsekwencji. Wobec takiej osoby stosuje się przymusowe leczenie na oddziale psychiatrii sądowej o wzmocnionym bądź maksymalnym stopniu zabezpieczenia. To coś jak skrzyżowanie szpitala z więzieniem. Kraty, odcięcie od otoczenia, nadzór korespondencji i telefonu, przeszukania, wyjście tylko do ogródka za murem z drutem kolczastym. Do tego farmakoterapia, zajęcia z psychologami.

Jak długo to trwa?

W odróżnieniu od wyroku, czas takiego leczenia jest niesprecyzowany. Zależy od oceny stanu psychicznego i prawdopodobieństwa, że po wyjściu stworzyłby zagrożenie. Może to trwać nawet dożywotnio. Znam przypadki, gdzie ludzie siedzą w internacji kilkanaście lat za coś, za co dostaliby wyrok w zawieszeniu – np. za groźby karalne i zniszczenie mienia – tyle że słabo reagują na leki i ich stan się nie stabilizuje. Oceny tego stanu dokonuje się zwykle co pół roku. Jeśli pacjent zostanie zwolniony z internacji, będzie kontynuował leczenie pod nadzorem sądu na wolności. Gdyby je przerwał, pogorszyło mu się lub naruszył warunki abstynencji, automatycznie wróci do leczenia zamkniętego.

Jak orzec czyjąś niepoczytalność wstecz – nie w chwili badania, lecz popełnienia czynu?

Niepoczytalność orzekają nie biegli, lecz sąd. Biegli wypowiadają się na temat występowania choroby, upośledzenia lub zakłócenia innych czynności psychicznych, o których mówi art. 31 kodeksu karnego. Żeby zrekonstruować stan w chwili popełnienia czynu, analizujemy po pierwsze obecne objawy, bo choroba nie ustępuje przecież od razu. Następnie m.in. funkcjonowanie człowieka, korzystając z zeznań świadków, dokumentacji medycznej czy też jego aktywności w social mediach. Badamy także sam przebieg zdarzenia.

Sprawiedliwość ludowa wrze, sądząc, że Mieszkowi R. się upiekło. Widać to w internecie.

Też czytałem np., że „ojciec-prawnik przekupił biegłych i załatwił mu niepoczytalność". Czyli co – przekupił przynajmniej trzech biegłych, żeby napisali 200 stron fałszywej opinii, ryzykując karą do 10 lat więzienia, a do tego prokuratora i sędziego? A przede wszystkim, z jakiego powodu Mieszko R., bądź co bądź student prawa, miałby w ogóle zabijać w biały dzień, przy świadkach, nie zasłaniając twarzy i nie zapewniając sobie możliwości ucieczki? To absurdalne. Jestem psychologiem, ale wciąż mnie zadziwia, że ludzie układają spiski, zamiast przyjąć oczywistą przyczynę.

To jest osoba chora, której trzeba pomóc. To tak, jak z kimś, kto za kierownicą dostał zawału i wjechał w ludzi. ©℗

JAN GOŁĘBIOWSKI *jest psychologiem kryminalnym, biegłym sądowym, profilerem i autorem książek.*

W co grali starożytni Rzymianie

HISTORIA PLANSZÓWEK ▪ Dziesięć pól, piętnaście łączących je linii, cztery pionki po jednej stronie, dwa po drugiej. Gracze poruszają się na zmianę, przeskakując jednym pionkiem na sąsiadujące pole, wzdłuż linii wyznaczających dopuszczalne ruchy. Cel: gracz z większą liczbą pionków ma doprowadzić do blokady przeciwnika.

Między wiekiem II a IV naszej ery w Ludus Coriovalli, czyli w „grę z Coriovallum" (nazwa jest współczesna) grali mieszkańcy założonej przez Rzymian osady na terenie dzisiejszego Heerlen w Holandii. Trzykilogramowy kawałek wapienia, pozyskany w kamieniołomie w Norroy w północno-wschodniej Francji, na którym wyryto pola służące jako plansza do gry, znaleziono jeszcze podczas wykopalisk w XIX w. Znajdującemu się w zbiorach Het Romeins Museum artefaktowi przyjrzeli się Walter Crist z Uniwersytetu w Lejdzie i współpracownicy. Wyniki swoich analiz opisali w czasopiśmie „Antiquity".

Gra z Coriovallum

CC BY 4.0.

Wykorzystując system Ludii, który pozwala na tworzenie własnych gier planszowych – i już wcześniej był wykorzystywany do rekonstrukcji starożytnych gier odkrywanych przez archeologów – przy użyciu sztucznej inteligencji badacze przetestowali 130 prawdopodobnych zestawów reguł Ludus Coriovalli i sprawdzili, który z nich najbardziej odpowiada śladom pozostawionym na planszy przez starożytnych graczy.

Pod uwagę brano głównie dwa typy gier – takie, w których celem jest ustawienie obok siebie sekwencji (np. trzech) pionków, oraz takie, w której chodzi o zablokowanie przeciwnika. Ślady zużycia planszy pokazały, że najbardziej prawdopodobny jest właśnie ten drugi typ gry. Choć badacze nie wiedzą, czy rozgrywka trwała aż do zablokowania rywala, przez określoną liczbę tur, czy do uzyskania blokady na konkretnych polach.

Badacze zaznaczają, że Ludus Coriovalli przypominało skandynawską Haretavl (Zając i psy), w której gracz kontrolujący jednego pionka próbuje wyrwać się obławie przeciwnika, który posiada trzy pionki. Reguły Haretavl opisano w wieku XIX, ale najstarsze plansze do tej gry pochodzą ze średniowiecza. Zarówno w Haretavl, jak i w Ludus Coriovalli, zagrać można na portalu internetowym ludii.games.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

eprasa.pl 93c52441ba

ROBERT PAŁKA / NETFLIX

Sandra Drzymalska i Tomasz Schuchardt w serialu Neftliksa „Lalka”

Co kryje „Lalka”

KULTURA ▪ Pierwsze sceny „Lalki” Bolesława Prusa są zaskakująco współczesne. Oto w czasie gdy Europa zdaje się być u progu wojny i ledwo co wybrano nowego papieża, inteligenci z okolic Krakowskiego Przedmieścia plotkują przy piwie o nowych interesach jednego z najbogatszych Warszawiaków. Z toczonych w modnej knajpce rozmów wyłania się portret człowieka, który drażni niemal wszystkich, bo nie chce przynależeć do żadnego z rzemieślniczych cechów. Do tego robi wokół siebie niepotrzebne zamieszanie. Niby handlarz, a zapisał się na wyższą uczelnię. Tylko po co mu to było, skoro po roku rzucił studia i zaciągnął się do wojska.

Dziś nie tylko stołeczna inteligencja plotkuje o nowych ekranizacjach powieści Prusa, a powody są co najmniej dwa – to trailery zapowiadanego na jesień serialu Neftliksa (robi go Paweł Maślona) oraz kinowej wersji „Lalki” w reż. Macieja Kawalskiego. Filmowe zajawki obu produkcji nabiły w ciągu kilku dni na samym YouTubie ponad pół miliona wyświetleń, wiele osób ma oczywiście swoich faworytów i faworytki w postaciach Wokulskiego i Łęckiej. Wdzięczny temat do dyskusji.

Przed nami w ogóle wiele nowych przekładów klasyki, także na język filmu. W kinach lecą właśnie nowe „Wichrowe wzgórza” w reżyserii Emerald Fennell (autorki świetnego filmu „Obiecująca. Młoda. Kobieta”), które zebrały wiele negatywnych recenzji (wyjątkowo trudno nam zaakceptować nowe spojrzenie na coś, co znamy od lat). Za moment będziemy oglądać również „Dumę i uprzedzenie” w sześciu odcinkach (reżyseruje Euros Lyn, ten od „Heartstoppera”) oraz nowe wcielenie „Rozważnej i romantycznej” (reż. Georgia Oakley). Widzowie BBC obejrzą też serial „The Other Bennet Sister” o losach jednej z bohaterek Jane Austen. Jak widać, wraca moda na kino kostiumowe. Tylko co się pod tym kostiumem kryje?

„Lalka”, jak uczą lekcje profesora Ryszarda Koziołka, pokazuje nam wprost, jak istotnym instrumentem przemocy są pieniądze. Laboratorium tych obserwacji, jak też modelem nowoczesnego społeczeństwa, jest u Prusa sklep, w którym każdą rzecz da się przeliczyć na ruble, a naskórkowość zawieranych znajomości rodzi chwilową tylko bliskość, bez trwałego znaczenia. „Lalka” to w ogóle opowieść w równej mierze o miłości, jak i przemocy, wszak poczciwy Ignacy Rzecki całkiem serio wyznaje kult autorytarnego sposobu sprawowania władzy.

Profesor Koziołek pokazał nam też, jak ważną inspiracją dla dzieła Prusa był „Hrabia Monte Christo” Aleksandra Dumasa. W szczególności motyw zemsty, którą kieruje się we wszystkich swoich działaniach Wokulski. „Lalka” i jej bohaterowie reprezentują też krytyczny moment rozczarowania zarówno wzorcami romantycznymi, jak i obietnicami składanymi przez naukę i postęp. „Nieraz myślę sobie – zdradza nam czterdziestolatek (!) Rzecki – czy naprawdę jest jaki plan, wedle którego cała ludzkość posuwa się ku lepszemu, czyli też wszystko jest dziełem przypadku, a ludzkość czy nie idzie tam, gdzie ją popchnie większa siła?”. Dobre pytanie na dziś.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 93c52441ba

TEMAT TYGODNIKA

DOKTOR CHAT

Sztuczna inteligencja diagnozuje coraz szybciej, myli się coraz rzadziej. Czy lekarze będą nam jeszcze potrzebni?

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Dwa lata temu Gemini zalecał wzbogacanie diety o „jeden mały kamień dziennie", by była bogatsza w witaminy i minerały, a ChatGPT poprawnie diagnozował zaledwie dwie na dziesięć chorób dziecięcych. Mimo to już wtedy pytania o zdrowie zadawał im co trzeci użytkownik – a dziś zdrowie stało się jedną z najczęstszych kategorii zapytań do chatbotów. Według opublikowanych w styczniu danych OpenAI, z jego chatem GPT codziennie kwestie zdrowotne konsultuje 40 mln ludzi.

Nie ma się czemu dziwić. Na wizytę u lekarza trzeba czekać i często trzeba też słono za nią zapłacić. Do tego nie ma pewności, czy doktor znajdzie dość czasu, by wysłuchać pacjenta i przystępnie odpowiedzieć na jego pytania. Tymczasem ChatGPT i jego krewniacy przyjmują za darmo, bez kolejki i całą dobę. A do tego zawsze są gotowi do udzielania wyczerpujących odpowiedzi.

Lekarze z jednej strony narzekają na „doktora Chata", bo w wielu przypadkach bredzi. Często jednak, gdy sami używają takich programów, nie mogą się ich nachwalić.

Więc jak to właściwie jest: chatboty AI w kwestiach medycznych są kompetentne, czy nie? Kiedy pacjenci będą mogli zaufać diagnozom „doktora Chata"? A jeśli tak się stanie, czy lekarze będą nam jeszcze potrzebni?

Błąd w sztuce

„To będzie narzędzie ważniejsze niż stetoskop" – mówił magazynowi „Wired" prof. Robert Pearl z Uniwersytetu Stanforda, były dyrektor generalny Kaiser Permanente, jednej z największych organizacji ochrony zdrowia w USA. Jego zdaniem „żaden lekarz, który chce uprawiać medycynę na wysokim poziomie, nie będzie w stanie tego robić bez dostępu do Chata GPT lub podobnych mu sztucznych inteligencji". Pearl twierdzi, że gdyby nadal kierował instytucją zrzeszającą lekarzy, wymagałby od nich korzystania z AI w codziennej praktyce klinicznej.

Prof. Pearlowi wtóruje Ligia Kornowska, lekarka i liderka polskiej Koalicji AI i innowacji w zdrowiu: – W niedalekiej przyszłości niewykorzystywanie algorytmów sztucznej inteligencji będzie błędem w sztuce, tak jak dziś jest nim niezrobienie tomografii komputerowej pacjentowi przy podejrzeniu zatorowości płucnej.

Kornowska podkreśla jednak, że trzeba wyraźnie rozróżnić powszechnie dostępne chatboty AI, takie jak Gemini czy ChatGPT, od specjalistycznych programów dla lekarzy: – Te drugie, by mogły być wykorzystywane w opiece nad pacjentami, muszą być certyfikowanymi wyrobami medycznymi. Żeby taki certyfikat dostały, muszą mieć potwierdzoną skuteczność, a ryzyko wyrządzenia szkody pacjentowi musi być jasno określone i minimalne.

Algorytm analizuje

W jakiej skali takie certyfikowane programy wykorzystywane są w Polsce, w zasadzie nie wiadomo. Wskazówkę daje raport Centrum e-Zdrowia z marca 2025 r. (nowszego nie ma). Narzędzia oparte na sztucznej inteligencji wprowadziło zaledwie 4,7 proc. placówek uczestniczących w badaniu. Na tle ogółu najlepiej wyglądają szpitale – 13,2 proc. aktywnie używa AI. Wykorzystuje ją głównie w diagnostyce obrazowej (33,9 proc.) i obsłudze pacjentów, np. poprzez wirtualnych asystentów (18,0 proc.). Z narzędzi AI do wspomagania decyzji klinicznych korzysta 16,2 proc.

Z zeszłorocznego badania opublikowanego w magazynie „Nature" wynika z kolei, że amerykańska Agencja Żywności i Leków certyfikowała 1016 programów sztucznej inteligencji do zastosowań medycznych. Najwięcej służy wspomnianej analizie obrazów. To algorytmy, które na podstawie zdjęć rentgenowskich, tomografii komputerowej czy rezonansu magnetycznego wykrywają zmiany nowotworowe, zawały czy złamania i często robią to bardziej precyzyjnie niż człowiek.

Wśród niecertyfikowanych programów są OpenEvidence, który pomaga znajdować i syntetyzować informacje

eprasa.pl 93c52441ba

z recenzowanych czasopism naukowych oraz wytycznych klinicznych (korzysta z niego 40 proc. lekarzy w USA), czy Dragon Copilot, który automatyzuje tworzenie dokumentacji i analizę rozmów z pacjentami (Microsoft w styczniu poinformował, że jego narzędzie jest używane przez 100 tys. dostawców usług medycznych i wykorzystano je podczas 21 mln wizyt).

Gra o bilion dolarów

W zeszłym roku wartość całego rynku *digital health* wyceniano na 300 mld dolarów (to więcej niż PKB Finlandii czy Portugalii) i była to najszybciej rozwijająca się gałąź globalnej e-gospodarki, a do wzrostu przyczyniła się rosnąca popularność chatbotów AI. Cały ten sektor do końca dekady ma osiągnąć bilion dolarów i liderzy branży AI już ścigają się o podział tego tortu.

Zastosowania medyczne są jednym z głównych jego składników. Stąd Google już od dwóch lat udostępnia MedLM, który ma pomagać lekarzom nie tylko w papierologii, ale też w interpretacji wyników badań. Wystarczy, że lekarz wpisze np.: „Pacjent 60 lat, mężczyzna, SBP 150 mmHg, LDL-C 170 mg/dl, palacz. Oblicz ryzyko sercowo-naczyniowe wg SCORE 2", a do tego poprosi system, by zestawił te informacje z najbardziej aktualnymi wynikami badań naukowych i wytycznymi. 7 stycznia 2026 r. OpenAI zaprezentowało ChatGPT for Healthcare, który służy w zasadzie do tego samego, a tydzień później Anthropic przedstawiła własną wersję tej obietnicy, pod nazwą Claude for Healthcare.

Takie narzędzia, choć ich funkcje się dublują, wkrótce mogą się jednak okazać niezbędne w służbie zdrowia. „Literatura medyczna przyrasta w zawrotnym tempie, podwajając się co pięć lat. Przekopanie się przez nią całą to herkulesowe wyzwanie, a lekarze mają coraz mniej czasu" – pisał niedawno „Forbes".

Bot zdaje egzamin

Wszystkie firmy rozwijające AI do rozwiązań medycznych deklarują jednak, że ich programy nie działają samodzielnie, nie zastępują profesjonalnej porady medycznej, diagnozy ani leczenia, i muszą być nadzorowane przez lekarzy. W USA pozwala im to unikać certyfikacji.

Sytuacja w UE jest bardziej skomplikowana. – Mamy do czynienia z komplementarnym funkcjonowaniem regulacji. Istnieją przepisy dotyczące sektora medycznego. Do tego mamy RODO, a 2 sierpnia br. ma zacząć obowiązywać w tym zakresie akt w sprawie sztucznej inteligencji, które zalicza medyczne modele AI do systemów wysokiego ryzyka. W praktyce oznacza to, iż producenci takiego oprogramowania muszą udowodnić, że jest ono bezpieczne i niedyskryminujące – mówi nam dr hab. Dominik Lubasz, ekspert ds. prawa sztucznej inteligencji, autor opracowania RODO dla AI.

By sprostać tym regulacjom, zwłaszcza aktowi w sprawie sztucznej inteligencji, dostawcy tych rozwiązań już dziś przygotowują się do ich wdrożenia tworząc m.in. stosowne systemy zarządzania ryzykiem związanym z wykorzystaniem systemów AI, dostosowując poziom jakości danych wykorzystywanych w tych systemach, czy analizując ryzyka. Przygotowują się zarówno technicznie, infrastrukturalnie, jak i formalnie, opracowując stosowne umowy, zawierające postanowienia gwarancyjne w zakresie m.in. poufności danych pacjentów. Najwięksi gracze już tworzą dla klientów europejskich specjalnie wyodrębnione chmury do przetwarzania danych pacjentów i podpisują umowy, w których pod klauzulą potężnych kar finansowych gwarantują, że powierzone im informacje będą bezpieczne.

Równie ciekawy, jak to, że największe koncerny AI ↦

JERZY SKAKUN DLA „TP"

eprasa.pl 93c52441ba

wystrzegają się choćby sugestii o zastępowaniu lekarzy, jest fakt, iż wyjątkowo ochoczo publikują wyniki, jakie ich programy osiągają w testach takich jak USMLE, rygorystyczny egzamin niezbędny do uzyskania prawa wykonywania zawodu lekarza w USA.

I tak Med-PaLM 2 (jeden z modeli napędzających MedLM) wskazał w nim ponad 85 proc. poprawnych odpowiedzi, a GPT-40 miał ich 90,4 proc. (Grok, wbrew zapewnieniom Elona Muska, wypadł dużo gorzej, osiągając 77 proc.).

Historia marzenia

Zapewnienia koncernów, że sztuczna inteligencja nie zastąpi lekarzy, a z drugiej szkolenie jej na coraz większych zbiorach danych i wyścigi w tym, jak skutecznie może lekarzy zastępować, tylko pozornie stoją ze sobą w sprzeczności. Świętym graalem branży jest bowiem samodzielny i nieomylny diagnosta AI.

Poszukiwanie go zaczęto już blisko 70 lat temu. W przełomowym artykule w magazynie „Science" Robert Ledley, profesor fizjologii, biologii i radiologii, oraz Lee B. Lusted, profesor inżynierii biomedycznej, proponowali, by przypadki medyczne analizować za pomocą narzędzi matematycznych, takich jak logika i teoria gier. „Komputery są szczególnie przydatne, aby pomóc lekarzowi w gromadzeniu i przetwarzaniu informacji klinicznych oraz przypominaniu mu o diagnozach, które mógł przeoczyć" – pisali w 1959 r.

Ich idea zaczęła się materializować kilka lat później, gdy na Uniwersytecie w Pittsburghu opracowano program o nazwie Internist-1.

Powstał dzięki współpracy Harry'ego Pople'a, jednego z pionierów sztucznej inteligencji, z wybitnym diagnostą Jackiem Myersem. Internist-1 próbowano udoskonalać przez dekadę, ale projekt zarzucono, bo wymagał zbyt skrupulatnego wprowadzania danych, analizy trwały zbyt długo, a sam program, gdy już podawał wynik, to w opinii użytkowników „traktował lekarza jako niezdolnego do rozwiązania problemu diagnostycznego".

I choć w kolejnych latach budowano podobne programy, to przełom przyniosły dopiero duże modele językowe, z których najsłynniejszym jest ChatGPT.

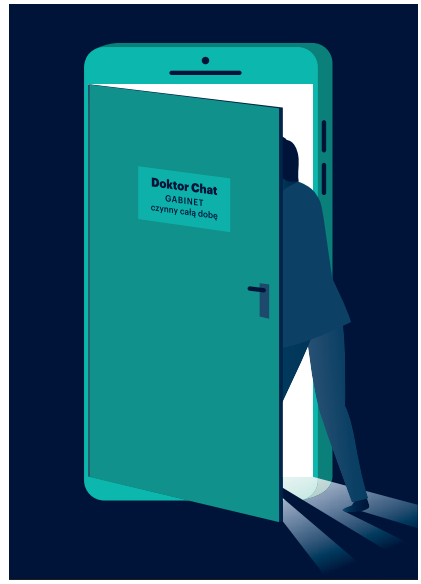

JERZY SKAKUN DLA „TP"

Lekarze z jednej strony narzekają na „doktora Chata", bo w wielu przypadkach bredzi. Często jednak, gdy sami używają takich programów, nie mogą się ich nachwalić.

Sześć tygodni i sześć minut

W lipcu 2025 r. na Uniwersytecie Harvarda doszło do pojedynku, który przywodził na myśl słynny mecz szachowy z 1997 r. między arcymistrzem Garrim Kasparowem a Deep Blue, superkomputerem IBM. Tym razem przeciwnikami byli Daniel Restrepo, wybitny diagnosta z Massachusetts General Hospital, oraz CaBot. Ten drugi to stworzona specjalnie do stawiania diagnoz wersja zaawansowanego „modelu rozumowania" GPT-03. Wytrenowano ją m.in. na publikowanych od ponad stu lat w „The New England Journal of Medicine" analizach trudnych przypadków klinicznych, których istotą jest porównywanie objawów z wynikami badań, w tym histopatologii i sekcji zwłok, aby ustalić właściwą diagnozę.

„Szachownicą" podczas pojedynku Restrepo i CaBot był przypadek 41-latka, który zgłosił się do szpitala po ok. 10 dniach gorączki, bólów mięśni i obrzęku kostek. Na goleniach miał bolesną wysypkę i dwa razy stracił przytomność. Kilka miesięcy wcześniej wszczepiono mu stent wieńcowy. Tomografia wykazała obecność guzków w płucach i powiększenie węzłów chłonnych w klatce piersiowej.

Człowiek i maszyna postawili tę samą diagnozę: zespół Löfgrena. To ostra postać sarkoidozy, rzadkiej choroby zapalnej. Różnica polegała na tym, że Restrepo, by to ustalić i zaprezentować diagnozę, przygotowywał się przez sześć tygodni. CaBotowi zajęło to sześć minut.

Pan doktor halucynuje

Z ogłaszaniem CaBota świętym graalem medycyny AI trzeba się jednak wstrzymać. Choć bezbłędnie rozwiązuje ok. 60 proc. pytań dotyczących najtrudniejszych przypadków klinicznych (co oznacza, że wypada lepiej niż lekarze), to cierpi dokładnie na tę samą przypadłość, co inni jego krewniacy. Bredzi. Zdarza mu się analizować objawy, których pacjent nigdy nie miał, albo wyniki badań, których nigdy nie przeprowadzono. Eksperci nazywają to halucynacjami AI.

– Takie ryzyko można ograniczyć tylko częściowo. Służy temu mechanizm, w którym program najpierw wyszukuje dane w określonym, zweryfikowanym zasobie, i dopiero na tej podstawie generuje odpowiedź. Zwiększa to prawdopodobieństwo jej trafności, ale wciąż pozostajemy w obszarze statystycznego prawdopodobieństwa, a nie gwarantowanej poprawności – mówi Dominik Lubasz.

Nawet, gdyby CaBot przestał zmyślać, to z nim i podobnymi mu wyspecjalizowanymi programami medycznymi jest jeszcze jeden problem. By stały się znakomitymi diagnostami, zdolnymi stwierdzić nawet najrzadsze choroby, muszą być szkolone na wspomnianych już analizach trudnych przypadków klinicznych. To znaczy, że gdy pojawiają się pacjenci uskarżający się na całkiem zwyczajne przypadłości, a takich pełne są izby przyjęć na całym świecie, algorytm... przekombinowuje, albo głupieje.

Mało tego: jak wynika z testów przeprowadzonych m.in. podczas Poland Healthcare Datathon we wrześniu 2025 r. w Gdańsku, AI w medycynie najlepsze wyniki osiąga, gdy jest trenowana na lokalnych danych. Gdy „karmiona" jest da-

eprasa.pl 93c52441ba

Jak pytać „doktora Chata” o zdrowie i nie zrobić sobie krzywdy

- **OPISZ OBJAWY** jak lekarzowi, a nie jakbyś szukał wyników w wyszukiwarce. Podaj czas trwania niepokojących objawów, kolejność ich pojawiania się i nasilenie (np. w skali 1–10), swój wiek, choroby przewlekłe i jakie zażywasz leki. Im więcej kontekstu, tym większa szansa na sensowną odpowiedź.

- **ZMUŚ CHATBOTA** do myślenia różnicowego. Poproś o możliwe rozpoznania z przybliżonym prawdopodobieństwem, „czerwone flagi”, czyli objawy wymagające pilnej pomocy, jasne progi, kiedy musisz podjąć działania.

- **OCZEKUJ PYTAŃ ZWROTNYCH**. Dobry lekarz dopytuje pacjenta. Jeśli chatbot tego nie zrobi, proś model, by przeprowadził rozpoznanie „jak lekarz”.

- **DOPYTUJ.** To, że odpowiedź brzmi logicznie i spójnie, nie znaczy, że jej zastosowanie jest dla ciebie bezpieczne. Zapytaj, jakie są ograniczenia tej porady i co mówią w tej sprawie standardowe wytyczne leczenia. Jeśli chatbot nie wskazuje jasno, kiedy trzeba pilnie zgłosić się do lekarza, albo pomija sprawdzone terapie, potraktuj odpowiedź z dużą ostrożnością.

- **NIE TRAKTUJ AI** jak arbitra leczenia. Przy pomocy programu można próbować wyjaśnić wyniki badań czy uporządkować wiedzę, ale nigdy nie są to w pełni wiarygodne wytyczne do leczenia. Uzyskaną odpowiedź sprawdź w innych źródłach, a najlepiej po prostu skonsultuj z lekarzem.

- **CHROŃ PRYWATNOŚĆ**. Jeśli już musisz wpisać albo wgrać swoje dane wrażliwe, użyj trybu tymczasowego lub usuń historię rozmowy.

- **PAMIĘTAJ O PROPORCJACH.** Z badań wynika, że Polacy chętnie używają AI: aż 77 proc. badanych przez KPMG akceptuje jej wykorzystywanie, choć ufa jej 41 proc. ankietowanych (średnia globalna to 46 proc.). To rozsądna postawa: używać – Tak; bezkrytycznie wierzyć – nie.

- **STOSUJ NAJPROSTSZĄ ZASADĘ.** Czat może być pomocny, np. w przygotowaniu do wizyty lekarskiej. Może podpowiedzieć, jakie pytania warto zadać. Trzeba jednak pamiętać, że w kontekście zdrowotnym to tylko niewielki fragment informacji, a odpowiedzi mogą być nieprawdziwe lub szkodliwe.

© AK, WB

nymi pacjentów z całego świata, umykają jej lokalne wzorce, a ryzyko błędów wzrasta nawet o 30 proc.

Ulga, nadzieja, chat

Przez trzy lata i podczas 17 wizyt u specjalistów żaden z nich nie umiał wyjaśnić, dlaczego Alex cierpi na przewlekły ból, ma napady złości, przestał rosnąć i zaczął kuleć. Zdesperowana matka chłopca, Courtney Morales Hoffman, sama próbowała analizować jego dokumentację, a w końcu wgrała wszystkie wyniki do Chata GPT. Program zasugerował zespół uwięzi rdzenia kręgowego – rzadkie, często ukryte schorzenie. Neurolożka dziecięca, do której zgłosiła się kobieta, szybko potwierdziła tę diagnozę i chłopiec kilka tygodni później przeszedł operację, która pomogła mu wrócić do zdrowia.

Przypadek opisany przez „Journal of Participatory Medicine” odbił się szerokim echem w mediach. „To było wszystko naraz: ulga, poczucie, że ktoś wreszcie mnie wysłuchał, i nadzieja na normalne życie” – opowiadała matka chłopca w programie „Today Show”.

Ta historia nie jest jednak dowodem, że „doktor Chat” może zastąpić lekarza, ale paradoksalnie pokazuje, jak bardzo takie systemy lekarzami nie są i dlaczego – przynajmniej na razie – ich nie zastąpią.

Co naprawdę leczy

„Dialog między lekarzem a pacjentem jest podstawą skutecznej i pełnej współczucia opieki. Wywiad medyczny został określony jako najpotężniejsze, najczulsze i najbardziej wszechstronne narzędzie dostępne dla lekarza” – piszą autorzy badania opublikowanego w „Nature”, podkreślając, że nawet do 80 proc. diagnoz stawia się wyłącznie na podstawie wywiadu klinicznego. Chory zazwyczaj nie wie, które symptomy są ważne, a które błahe. Lekarz jest tym, który dzięki wiedzy i doświadczeniu ma dotrzeć do sedna problemu.

„Sam pacjent może po prostu wiedzieć, które z jego objawów są ważne, by postawić diagnozę” – mówi jednak Robert Wachter, kierownik wydziału medycyny na Uniwersytecie Kalifornijskim i autor bestsellerowej książki „A Giant Leap”, opisującej, jak AI wkracza do służby zdrowia. Tyle że Wachter podkreśla zarazem, że „nawet w przypadku osób komunikujących się bardzo jasno, wyjaśnienie objawów może wymagać osądu, który lekarze doskonalą poprzez lata doświadczenia”.

Potwierdza to niedawne badanie Uniwersytetu Oksfordzkiego, które wykazało, że osoby poproszone o skorzystanie z chatbotów w celu uzyskania pomocy w hipotetycznych sytuacjach medycznych, opisując objawy, pomijały kluczowe informacje. Nie potrafiły też prawidłowo zidentyfikować, które sugestie narzędzi AI były najważniejsze. W rezultacie uzyskały gorsze wyniki niż osoby, które po prostu zwróciły się do Google lub wykorzystały własną wiedzę.

Jak pytać program...

– Chat nie przeprowadzi wywiadu w sposób, jaki zrobiłby to lekarz, jeśli użytkownik go do tego nie skłoni. Dlatego pytanie dotyczące zdrowia nie może być jednym zdaniem, które zwykle wpisujemy do wyszukiwarki. Jeśli już pytać „doktora Chata” o zdrowie, to trzeba opisać objawy i ich kontekst – wyjaśnia Ligia Kornowska. – Można też wprost poprosić, by program zadawał pytania, jak zrobiłby to lekarz. To pomaga uporządkować informacje, ale i tak nie zastąpi prawdziwego wywiadu medycznego.

– Już samo to, w jaki sposób sformułujemy pytanie, silnie wpływa na odpowiedź. Zadanie go w sposób całkowicie neutralny jest trudne – zauważa prof. Dariusz Jemielniak, kierownik Katedry Zarządzania w Społeczeństwie Sieciowym w Akademii Leona Koźmińskiego, ↦

eprasa.pl 93c52441ba

wykładowca Harvarda. Dodaje, że „takie programy mają tendencję do potakiwania, dlatego pytania warto formułować faktograficznie i niekierunkowo”.

– Najlepiej prosić o interpretację danych i możliwe scenariusze, zamiast pytać wprost, czy mam konkretne schorzenie. Dobre używanie modeli często wymaga umiejętności pisania dłuższych, dobrze ustrukturyzowanych promptów, a to jest bariera dla wielu użytkowników – mówi Jemielniak.

...i nie dać się okłamać

Kolejne schody pojawiają się wraz z odpowiedzią programu. Algorytmy chatbotów zostały wyszkolone m.in. na wynikach badań i podręcznikach akademickich. Czyli w zasadzie tak samo, jak powinni być wyszkoleni lekarze. Dzięki temu lekarze i algorytmy „wiedzą”, że np. omdlenie połączone z bólem górnej części brzucha może sygnalizować odwodnienie, ale równie dobrze zagrażające życiu zaburzenia rytmu serca. Chatbot zapytany o takie symptomy zapewne wskaże wszystkie możliwości (lekarz natychmiast by dopytał: czy masz gorączkę? ból w klatce piersiowej? czy ostatnio podróżowałeś?). W efekcie pacjent-laik uzyskuje w nieco bardziej przystępnej formie to, co znalazłby, wertując podręczniki lub tysiące badań na dany temat. Suchą teorię. O ile oczywiście AI mu nie nakłamie.

A powszechnie dostępne chatboty AI kłamią pacjentom dość często. – Badania mówią o kilkudziesięciu procentach przypadków, a nawet jeśli odpowiedź chata jest częściowo prawidłowa, często bywa niepełna – mówi Ligia Kornowska.

– Kluczowe znaczenie ma podejście hybrydowe: najlepsze rezultaty osiąga profesjonalista wspierany przez model, a nie sam model działający autonomicznie. To tzw. podejście Me+AI. Nawet jeśli w określonych warunkach sztuczna inteligencja bywa skuteczniejsza, samo w sobie niewiele to zmienia – podkreśla prof. Jemielniak.

> W zeszłym roku wartość całego rynku *digital health* wyceniano na 300 mld dolarów. To więcej niż PKB Finlandii czy Portugalii.

Niech żyją centaury

W badaniu naukowców z Uniwersytetu Harvarda, które w ubiegłym roku opublikowano w „The Lancet”, część lekarzy analizowała przypadki kliniczne z pomocą Chata GPT. Nie osiągnęli lepszych wyników niż lekarze pracujący bez wsparcia chatbota. Sam chatbot rozwiązywał jednak przypadki trafniej niż ludzie (czyli lekarze mogą mieć z właściwym zadawaniem pytań ten sam problem, co pacjenci).

W kolejnym eksperymencie zespół zmienił sposób współpracy. Jedną grupę lekarzy poproszono o zapoznanie się z analizą AI przed rozpoczęciem własnej diagnozy, drugą o przedstawienie modelowi wstępnej diagnozy i zapytanie programu o drugą opinię. Tym razem obie grupy osiągnęły wyższą trafność niż lekarze pracujący samodzielnie, a pierwsza z nich była dodatkowo szybsza i skuteczniejsza w proponowaniu dalszych kroków diagnostycznych. Gdy chatbot miał pełnić rolę „drugiej opinii”, często nie ignorował wstępnej diagnozy lekarza, mimo takiego polecenia. Jego analiza pozostawała zakotwiczona w pierwotnym rozpoznaniu.

Systemy łączące zdolności człowieka i sztucznej inteligencji nazywane są „centaurami”. Z ich wykorzystywaniem wiąże się ryzyko, że lekarze zaczną nadmiernie polegać na niedoskonałych wciąż narzędziach i stopniowo utracą zdolność samodzielnego rozumowania diagnostycznego. W jednym z niedawnych badań gastroenterolodzy, którzy regularnie korzystali z systemów AI do wykrywania polipów podczas kolonoskopii, radzili sobie wyraźnie gorzej, gdy musieli polegać wyłącznie na własnych umiejętnościach. Problem ten jest doskonale udokumentowany w wielu innych, pozamedycznych dziedzinach i pojawia się coraz częściej.

Idź do przychodni

Mniej więcej dwa lata temu, gdy na masową skalę zaczęliśmy korzystać z chatbotów AI, Gemini zalecał jedzenie kamieni, a ChatGPT był w stawianiu diagnoz równie skuteczny co wtedy, gdyby nimi rzucał, stanęliśmy na progu rewolucji w zastosowaniach AI. I trzeba uczciwie przyznać, że jest wielu ludzi, którym takie programy – nawet te dostępne komercyjnie – pomogły uratować zdrowie, a nawet życie. W większości jednak pozwalają nam one jedynie na zaspokojenie potrzeby zrobienia w obliczu kryzysu czegoś, czegokolwiek, zanim pomoże nam lekarz.

Wkrótce tę potrzebę będziemy mogli zaspokajać jeszcze pełniej, bo na rynku zaczną się pojawiać programy kierowane specjalnie do pacjentów. Pionierem w styczniu stała się OpenAI z jej aplikacją GPT Health (jeszcze niedostępną w Europie).

W pogoni koncernów za bilionowym tortem podejmujemy jednak nieprawdopodobne ryzyko. I bynajmniej nie chodzi tylko o naszą prywatność, ale o umiejętności lekarzy, których żadne aplikacje szybko nie zastąpią.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja: www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

eprasa.pl 93c52441ba

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”

fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem.
I o nią głównie staramy się dbać.
Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy
za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami,
nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki

Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.
Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.

OFERTA CENOWA:

InPost	Roczna	cena **686 zł**
	Półroczna	cena **366 zł**

Zamówienia prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	cena **687 zł**
	Półroczna	cena **367 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 93c52441ba

KRAJ

STRAŻ PRZEDNIA

MARCIN DUMA, BADACZ OPINII:

Kiedyś Polską rządził podział na tych, którzy zyskali na transformacji ustrojowej, i tych, którzy stracili. Dzisiaj rysuje się nam podział wokół tego, jak wyszliśmy z kryzysu pandemiczno-inflacyjnego.

MAREK KĘSKRAWIEC: Czy Polacy są zadowoleni z życia bardziej niż rok temu, czy też frustracja w nas narasta?

MARCIN DUMA: To, co dzisiaj czują Polacy, jest elementem szerszych i głębszych procesów. Także w obrębie makroskali: co najmniej Europy, a może nawet świata. Najciekawsze jest chyba to, że z tych goniących Zachód staliśmy się jego strażą przednią. Jako społeczeństwo wraz z naszą gospodarką, dziś 20. na świecie, wykazaliśmy się większą odpornością i zdolnością do adaptacji.

Niż inne społeczeństwa?

Niż sami siebie podejrzewaliśmy. Zdołaliśmy w pewnych kluczowych kwestiach – bezpieczeństwa wewnętrznego, napięć społecznych, jakości usług i infrastruktury, poziomu cyfryzacji, czystości naszych miast i wsi – wyprzedzić kraje, do których zazwyczaj się odnosiliśmy. Nie możemy mieć już kompleksów wobec Europy i USA. Szybciej podnieśliśmy się po dwóch poważnych ciosach, które świat przyjął w ostatnich latach: to pandemia i kryzys polityczno-ekonomiczny w związku z wojną w Ukrainie.

W IBRiS-ie analizowaliśmy te zjawiska w ramach cyklicznego projektu Światowid, który diagnozował, co dzieje się w sercach i umysłach Polaków, i to już od 2021 roku, kiedy wciąż byliśmy pod dojmującym wpływem pandemii.

Do jakich wniosków wówczas doszliście?

Że tuż przed pandemią wygrzebaliśmy się z podziału, który dominował w Polsce po 1989 roku: na tych, którym się w czasach transformacji ustrojowej udało, i na tych, którzy uznali się za przegranych. To uczucie rozwarstwienia właściwie przestało się ujawniać jeszcze przed pandemią, albo inaczej: stało się mało ważne. Obserwowaliśmy ten proces od roku 2016, z apogeum w 2019. Wówczas ci, którzy w latach 90. uważali, że mają bilety na wagon trzeciej klasy, zorientowali się, że ten wagon został zlikwidowany, a oni siedzą już w drugiej klasie.

Ale przecież nie zlikwidowaliśmy nędzy i ubóstwa. Tak żyje wciąż niemal dwa miliony Polaków, w tym 400 tys. seniorów.

To oczywiście prawda, lecz jednocześnie w Polsce doszło do ogromnego awansu majątkowego szerokich rzesz ludzi, którzy po upadku komunizmu zostali w tyle – często z powodów niekoniecznie zależnych od nich samych, ale w wyniku gorszego punktu startu, choćby domu, w którym się nie przelewało. Dlatego niełatwo było im o wykształcenie gwarantujące wyższe zarobki, nie jeździli na wakacje, nie mogli uczestniczyć w atrakcyjnej kulturze konsumpcji. Czuli się przez to gorsi.

To wrażenie w dużej mierze rozmyło się przed pandemią – redystrybucja naszego sukcesu gospodarczego i cywilizacyjnego sięgnęła wtedy bardzo szeroko. Tyle tylko, że w momencie, kiedy znaleźliśmy się w apogeum zadowolenia, przyszedł covid. On nie spowodował, że nagle mieliśmy mniej pieniędzy. To był bardziej wstrząs mentalny. Przypomnieliśmy sobie wtedy, że istnieją zagrożenia, z którymi nic nie jesteśmy w stanie zrobić; one po prostu na nas spadają i już.

W jaki sposób z tego lęku wyszliśmy?

W 2021 r. po badaniach fokusowych mówiliśmy o potrzebie wykreowania nowej nadziei i konieczności budowy innego ładu, popandemicznego. W Europie tę rolę spełniał wielki projekt Unii nowej generacji, który miał przestawić kraje członkowskie na inne tory dzięki ogromnym pieniądzom. W Polsce oprócz miliardów euro z KPO mieliśmy jeszcze Nowy Ład, i niezależnie od tego, jak kry-

eprasa.pl 93c52441ba

WOJCIECH KRYŃSKI / FORUM

Warszawa, czerwiec 2022 r.

tycznie go oceniali śmy, usłyszeliśmy komunikat: wychodzimy z pandemii, robimy nowe otwarcie.

Świat wsadził kij w szprychy tego projektu.

Kiedy to wszystko się rozpędzało, otrzymaliśmy drugi cios: nadeszła krwawa wojna wywołana przez Putina, a do naszego kraju napłynęły tłumy ukraińskich uchodźców. Ta wojna dotknęła nas już nie tylko na poziomie mentalnym, ale uderzyła wprost w nasze portfele. Byliśmy w Europie bardzo zależni od Rosji, więc odwracając się od niej przeżyliśmy szok z powodu gwałtownie wzrastających cen paliw i energii, które doprowadziły do skokowego wzrostu inflacji.

Bardzo wiele osób straciło wtedy poczucie stabilności finansowej, bo ich budżety domowe przestały się bilansować. Niektórzy, można powiedzieć, poszli pod lód. Ale co ciekawe, kiedy w grudniu 2024 r. rozmawiałem z kolegami socjologami w Japonii, pytałem na przykład, jak na nich wpłynęła inflacja. Najpierw mówili, że nie odczuli tych 3 proc., ale potem przyznali, że biorąc pod uwagę na krótko spięte finanse ogromnej liczby Japończyków, to te 3 proc. zadziałało prawie tak jak nasze kilkanaście. Co ważne, inflacja już nie jest u nas problemem.

Czyli w sumie powinniśmy się wtedy cieszyć?

Tak dobrze nie było. W pierwszym etapie ceny rosły tak szybko, że nawet solidny wzrost zarobków z poprzednich lat nie był w stanie tego zrekompensować. Tak naprawdę dopiero w styczniu 2025 r. wzrost średniej płacy dogonił średni wzrost cen. Nasze oszczędności zaś, wedle GUS, stały się wręcz rekordowe i stale je gromadzimy; konsumpcja też wzrasta. Z badań IBRiS wynika, że co prawda wciąż istnieje duża grupa ludzi, którzy nie wrócili do poziomu życia sprzed pandemii, ale generalnie mamy się z czego cieszyć.

Jesteśmy w Europie ewenementem. Jeśli spojrzymy na kraje skandynawskie, to im się jeszcze ten powrót nie udał, mimo że inflacja była tam dużo niższa. My z tych obydwu szoków – pandemii i wojny – już wyszliśmy. Poobijani, ale ekonomicznie bezpieczni, w dodatku na pozycji *pole position*.

Znajomy szwedzki polityk, zresztą były członek rządu, powiedział mi, że w jego kraju, gdzie narciarstwo jest powszechne, klasy ludowej nie stać dziś na wyjazd na narty. Rodziców było stać, dziadków też, a ich już nie. I nie mówię tu o zagranicznych, drogich kurortach. Oczywiście poziom życia typowego Szweda nadal jest wyższy niż Polaka, ale mocno doskwiera mu różnica między ↦

eprasa.pl 93c52441ba

↦ tym, co teraz, a życiem przed początkiem pandemii.

Czy my to potrafimy docenić?

Jeśli popatrzymy na ostatnie badanie CBOS z grudnia, to zauważymy, że rekordowy w historii odsetek Polaków ocenia dobrze albo bardzo dobrze swoją sytuację finansową. W sumie to 67 proc., i jest ich nawet więcej niż w szczytach z 2019 r. A stało się to mimo silnych turbulencji politycznych w naszym kraju, kryzysu konstytucyjnego, a potem zmiany rządów i trudnej kohabitacji, podczas której zaciekle walczą ze sobą dwa najważniejsze ośrodki władzy.

Oczywiście mamy wciąż w sobie liczne obawy. Wiedząc, co osiągnęliśmy, bardziej boimy się to stracić, i dlatego z niepokojem patrzymy na polityczne starcia. Im jest nam lepiej, tym więcej lęków zaczynamy odczuwać.

Mamy więcej do stracenia?

Oczywiście, i w przeciwieństwie do poprzednich dziesięcioleci, w razie czego nie możemy wziąć torby i wyemigrować. Zbudowaliśmy zbyt wiele, by się tego łatwo pozbyć. Od lockdownu z marca 2020 r. wiemy, że możemy stracić wolność, możemy stracić zdrowie i pieniądze. Dotarło do nas, jak malutcy jesteśmy wobec młynów historii: czy to jako jednostki, czy jako polskie społeczeństwo, a nawet wspólnota europejska.

Do tych przesuwających się płyt tektonicznych doszły jeszcze zmiany w głównym ziemskim imperium, pojawił się Donald Trump.

Od ponad roku patrzymy, jak rozpada się stary ład międzynarodowy i jakiej erozji ulega NATO. A mieliśmy taki komfort: USA nas bronią, my się rozwijamy pod ich parasolem, trochę jadąc na gapę w sprawach uzbrojenia, i wszystko jest poukładane. Europa daje Polsce pieniądze, a my budujemy nasz złoty wiek. I nagle to się zaczyna psuć, a nasz wpływ na wydarzenia jest praktycznie żaden.

> Wiedząc, co osiągnęliśmy, bardziej boimy się to stracić, więc z niepokojem patrzymy na polityczne starcia. **Im jest nam lepiej, tym więcej lęków odczuwamy.**

Możemy zawsze szczeknąć na księżyc, pisząc ostrą wiadomość na platformie Elona Muska.

I właściwie nic poza tym. Po zmianach w geopolitycznej strategii USA poczuliśmy, że świat zaczyna się zmieniać w sposób, który będzie coraz mocniej zagrażał naszemu bezpieczeństwu. Każdy Polak, nawet jeśli nie uważał na lekcjach historii, chociażby przez osmozę przyjął tę prawdę, że jak na świecie coś się dzieje złego, to między Bałtykiem a Tatrami przemieszczają się, w lewo lub w prawo, wielkie armie. A ci, co tam mieszkają, tracą wszystko: domy, mieszkania, biznesy, cały ten kapitał, który udało im się zakumulować. Plus wolność, a nawet życie.

To jest część polskiego DNA, na które dziś musimy nałożyć obawę, że gdy już nam się wreszcie udało stworzyć nowoczesne państwo, to właśnie porzuca nas ojciec z USA, główny gwarant bezpieczeństwa.

Coś rzeczywiście się kończy, ale to dotyczy całego świata zachodniego. Czy my reagujemy bardziej konstruktywnie, skoro uważa Pan, że jesteśmy w straży przedniej?

Koniec jest zawsze początkiem czegoś nowego, ale dziś znaleźliśmy się w najgorszym momencie, zawieszenia – i ono wpływa na nasze poczucie bezpieczeństwa. Dotyczy to także polityków; na szczęście jest wśród nich spora grupa, która zastanawia się: skoro już dobiliśmy do tego miejsca, które opuściliśmy na początku 2020 r., to czy mamy szansę znów się tak dynamicznie rozwijać?

To jest trochę rozmowa o CPK, o atomie. Ostatnio prezes Kaczyński wspomniał też o Porcie Hallera, który miałby powstać niedaleko przyszłej elektrowni jądrowej. Pomysł jest dość fantastyczny, ale opiekuje się naszym lękiem o to, czy sprawy idą w dobrą stronę. Czy nasze elity zagwarantują nam coś więcej niż ciepłą wodę w kranie? My przecież chcemy dalej się napędzać, bo już wiemy, że jesteśmy w stanie się bogacić, a potem ten urobek, mniej lub bardziej sprawiedliwie, ale jednak rozdzielać szeroko.

To chyba nie są lęki wyłącznie o wielkie inwestycje?

Oczywiście, że nie. Jest w nas zaszyty lęk o rodzinę, o portfel, o miejsce pracy, o to, czy będziemy mogli sobie pozwolić na zagraniczne wakacje i polecieć tam samolotem. Jesteśmy w innym miejscu niż kiedyś, więc martwimy się o to, byśmy nie stanęli w miejscu. Skoro już dogoniliśmy świat, to ciśnijmy dalej. Jak nie teraz, to kiedy? Jak nie my, to kto?

Słucham Pana i zastanawiam się, czy to ciągłe wzmożenie polityczne, walka Nawrockiego z Tuskiem, sprawa Ziobry – czy to nas jeszcze obchodzi?

Są liczni ludzie, dla których jest to ważne. Świadczy o tym frekwencja w wyborach do parlamentu i prezydenckich. Ale tak naprawdę cała ta powieść, którą snuję od 38 minut, zmierza do pewnego finału. Nasze lęki są rozłożone horyzontalnie: jedni boją się o sytuację materialną, inni martwią wojną polityków, która blokuje rozwój kraju. Kolejnych przeraża kryzys NATO albo wizja rozlania się wojny poza Ukrainę.

Niemniej najważniejsze jest to, że tak jak kiedyś Polską rządził podział na ludzi, którzy po 1989 r. zyskali na transformacji, i tych, którzy stracili

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy Pragi-Północ w Warszawie pod sygnaturą akt II Ns 709/25 toczy się postępowanie z wniosku Corpus Iuris NFIZW w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Adamie Mieczysławie Boguckim, zmarłym 30 czerwca 2022 r. w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałym w Warszawie przy ul. Brzeskiej 15/17 m. 3.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tut. Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

eprasa.pl 93c52441ba

– tak dzisiaj rysuje się nam podział na tych, którzy wyszli zwycięsko z tej walki pandemiczno-inflacyjnej oraz tych, którzy nie mają takiego poczucia. Podział na Polskę liberalną i Polskę solidarną już nie organizuje nam życia.

Czy dotyczy to indywidualnych historii, czy też któraś grupa społeczna jest wyjątkowa?

Ludzie, którzy identyfikują się jako klasa niższa, odpowiadają nam w badaniach, że są już na tym poziomie, na którym byli w 2019 r., albo nawet na wyższym. Możliwe, że mieli niższy próg oczekiwań, ale subiektywnie czują, że ich potrzeby są zaspokajane. Podobnie uważa klasa wyższa i średnia wyższa, ale już na pewno nie klasyczna klasa średnia. Ci ludzie mają poczucie rozczarowania, bo mimo wysokich często kompetencji, mają problemy finansowe i są niepewni o pracę. Widzą, że zawód stolarza czy hydraulika – ciężki i być może mocniej skomplikowany niż obsługa komputera – jest dziś bardziej opłacalny i bardziej konkretny.

Na dodatek ci przedstawiciele dawnej klasy niższej okazują się zaskakująco interesujący.

Już w raporcie IBRiS z 2021 r. zauważyliśmy, że współczesna gra w klasy ma inny charakter. Ludzie, którzy awansowali z trzeciego wagonu, za wszelką cenę starali się udowodnić, iż są pełnoprawnymi pasażerami. Ubierali się odpowiednio, zaczęli bywać w tych samych miejscach, powielać postawy, np. stosunek do aborcji. Inna zaś grupa przestała się wstydzić swoich konserwatywnych poglądów i na przekór wszystkiemu połączyła tradycjonalizm z korzyściami płynącymi z nowoczesności.

Z kolei klasa średnia źle zniosła proces zastępowania pewnych zawodów przez sztuczną inteligencję, czy też szerzej – robotyzację.

A na końcu tego procesu może być odtworzenie wagonu trzeciej klasy, gdzie już nie ma gniazdka do ładowania smartfonu, znowu są brudne okna, ogrzewanie zepsute, a w toalecie cuchnie i nie ma wody. Można z tym żyć, ale ma się poczucie porażki oraz degradacji, zwłaszcza gdy jest się o dwie raty za mieszkanie od niewypłacalności.

BARTEK SYTA / IBRIS

MARCIN DUMA jest badaczem opinii i rynku oraz założycielem Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych IBRiS.

Najciekawsze jest to, że sporo w Polsce ludzi, którzy byli wygranymi transformacji, ale dziś czują się przegrani. Albo przegrali transformację, natomiast dobrze poradzili sobie z pandemią. Pociesza mnie zwłaszcza to, że gdy patrzę na Polskę, to widzę, iż przeszliśmy już sporą część tego procesu rewolucji, związanego z AI. Różne *call centers* i ośrodki przetwarzania faktur powędrowały od nas do Indii. Czy to spowodowało jakąś totalną zapaść? Nie.

Zarazem zmienia się atmosfera w całej Europie. Powstają nowe twory polityczne, które odzwierciedlają m.in. eskalujące problemy wokół imigracji. My zaś oglądamy rolki turystów pełnych zachwytu, jak to u nas bezpiecznie i czysto. Czy za tym kryje się rosnący odsetek Polaków opowiadających się za polexitem?

Ktoś uważnie śledzący trendy wynikające z badań CBOS nie powinien być zaskoczony, że już co czwarty Polak byłby gotowy wyjść z Unii Europejskiej. Można założyć, że takich ludzi będzie przybywać.

Te rolki, o których pan wspomniał, mogą czasem drażnić powierzchownością, ale z drugiej strony zaskakują nas i budują poczucie dumy. Tak bardzo byliśmy skupieni na gonieniu Niemców, że nie zauważyliśmy, kiedy ich w pewnych aspektach wyprzedziliśmy. Nie zgromadziliśmy co prawda aż takiego kapitału, ale mamy nowsze drogi, stacje benzynowe, stadiony, dworce, wyższy poziom usług i cyfryzacji. Prawie nie mamy bezdomnych na ulicach, nie boimy się zuchwałych rabunków.

W jednym z naszych badań 82 proc. osób zgodziło się ze stwierdzeniem, że nie ma lepszego miejsca do życia niż Polska. I paradoksalnie, choć duża część tego sukcesu wiąże się z Unią Europejską, to obecna sytuacja zachodniej Europy nie działa dobrze na nasze nastroje prounijne.

Czujemy się lepsi?

Myślimy trochę jak Brytyjczycy przed brexitem: co tam jeszcze mamy gonić? Co możemy od nich jeszcze dostać? Kłopoty? Trochę zapominamy, że jesteśmy silniejsi gospodarczo w dużej mierze dzięki członkostwu w UE. Bez niego nawet podróżowanie po Europie byłoby mocno utrudnione, co ciężko sobie wyobrazić młodym Polkom i Polakom. To trochę tak jak zachodnia Europa nie była w stanie wyobrazić sobie życia w bloku wschodnim.

Nasze różne wyobrażenia po pandemii, po doświadczeniach z kryzysem migracyjnym na granicy, a potem z wojną w Ukrainie – zostały mocno przewartościowane. Znikła niemal wszechobecna do niedawna agenda progresywna.

Wspomnieliśmy o tym wcześniej. Społeczeństwo akceptuje już fakt, że można być konserwatystą, a zarazem człowiekiem nowoczesnym. Poza tym progresywizm nie rozwiązał głębokich problemów ekonomicznych, a dyskusja o aborcji nie pomogła wyjść z zapaści NFZ.

Dziś dyskutujemy o CPK, zwanym od niedawna Portem Polska, o elektrowniach atomowych, nowych portach morskich czy o Tarczy Wschód. To o nie, o tę „nową Gdynię", się kłócimy. Te tematy są dla nas ważne, bo rozwój Polski to też gwarancja naszego osobistego awansu. Widzimy zarazem, że Francja i Niemcy mają zadyszkę, więc może nadchodzi również moment, w którym ktoś inny powinien ponieść sztandar wspólnoty? Polska ma szansę napędzać przemianę zjednoczonej Europy w świadomą swej siły globalną potęgę. I nawet jeśli nasze przywództwo w Unii to oczekiwanie na wyrost, to już uzyskanie pozycji na poziomie Włoch czy Holandii, może być nie tyle marzeniem, co realnym zadaniem do wykonania.

©℗ Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

eprasa.pl 93c52441ba

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Kolumbarium na Cmentarzu Powązkowskim. Warszawa, 1 listopada 2024 r.

Remont trudniejszy niż ekshumacja

MARCIN KĘDZIERSKI

SPOŁECZEŃSTWO | Kiedy pod koniec 2021 roku przez Polskę przetaczała się trzecia fala pandemii, w niektórych gminach pojawiły się obawy, że potrzebne będą masowe mogiły. Nie był to wyłącznie ponury żart.

Podczas dwóch lat covidu, zamiast „zwyczajowych" 400 tys. zgonów rocznie, notowaliśmy pół miliona; i to nadmiarowe 100 tys. sprawiło, że samorządy zaczęły myśleć o odkładanej latami polityce cmentarnej. Dziś jednak muszą znacznie przyspieszyć swe działania – w perspektywie dekady ze względu na strukturę demograficzną będziemy co roku rejestrować 500 tys. zgonów bez żadnych specjalnych okazji. Z prognoz wynika, że „cmentarna górka" potrwa co najmniej do połowy lat 40. XXI w., o ile po drodze nie przydarzy się jakaś pogłębiająca problem katastrofa, pokroju kolejnej pandemii lub wojny.

Zrzućmy problem na parafię

W Polsce dominują lokalne cmentarze zarządzane przez wspólnoty wyznaniowe – według różnych danych stanowią 65-75 proc. z ok. 10 tys. Dokładnej liczby nie sposób jednak ustalić, gdyż dane publikowane przez GUS, GIS czy Ministerstwo Cyfryzacji różnią się od siebie. Centralny rejestr cmentarzy, który miał w pełni działać od 1 stycznia 2026 r., nadal nie wyszedł poza programy pilotażowe. W Polsce funkcjonuje dziś tylko komercyjny portal Grobonet.com, prowadzony przez producenta oprogramowania do zarządzania cmentarzami. W bazie ma ok. 600 cmentarzy, ale trudno go nazwać realną alternatywą wobec publicznego rejestru, który gwarantowałby dostęp do informacji z całej Polski i robił to pod kontrolą państwa. To szczególnie ważne ze względu na ochronę danych osobowych.

Wieszczenie problemów z pochówkiem może być zaskakujące w kraju, w którym przez lata funkcjonowało przekonanie, iż jeśli parafia ma cmentarz, to się wyżywi, bo stanowi on stabilne źródło dochodu. Sytuacja zmieniła się w momencie, w którym na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat doszło do urealnienia stawek za dostarczanie wody, a przede wszystkim za wywóz śmieci. W efekcie koszty utrzymania cmentarzy zaczęły przekraczać przychody, a wielu proboszczów pod naciskiem wiernych obawiało się podnosić stawki opłat cmentarnych.

Warto nadmienić, że cmentarze parafialne były niejednokrotnie wykorzystywane w osobliwy sposób. Na jeden z tych górnośląskich (znajdujący się obok garaży) mieszkańcy regularnie przychodzili zaopatrywać się w wodę. Proboszcz pół żartem, pół serio mówił, że patrząc tylko na odczyt licznika wody, można by na cmentarzu prowadzić plantację ryżu.

Głównym kłopotem okazały się jednak rosnące ceny wywozu śmieci, spowodowane nowelizacją ustawy o utrzymaniu czystości i porządku w gminach.

eprasa.pl 93c52441ba

W niektórych miejscach koszty w ciągu pięciu lat wzrosły trzykrotnie i dziś nawet niewielkie parafie muszą przeznaczać rocznie na ten cel co najmniej kilkanaście tysięcy złotych. Tymczasem odpady cmentarne, nawet jeśli podlegają segregacji, w dużej części nie nadają się do recyklingu.

Grobowa cisza

W dużych miastach problem ten rośnie w sposób geometryczny. Np. dla 12 cmentarzy komunalnych w Krakowie wiąże się on z wydatkami rzędu 4 mln zł rocznie. Przy okazji, postępujący wzrost kosztów funkcjonowania miejskich nekropolii skutkuje ważną zmianą organizacyjną. W przeszłości cmentarze komunalne funkcjonowały jako zakłady budżetowe, które odpłatnie realizowały wyodrębnione zadania sektora finansów publicznych i w praktyce samorząd nie musiał do nich dopłacać. Obecnie zdecydowana większość z nich została przekształcona w organizmy należące do gmin, co oznacza, że swoje wydatki pokrywają wprost z budżetów jednostek samorządu terytorialnego. To zresztą kolejny argument, który zniechęca zwłaszcza mniejsze gminy do tworzenia cmentarzy komunalnych.

Generalnie, cmentarze w Polsce przestały być intratnym „biznesem" i coraz większa liczba proboszczów chętnie pozbyłaby się tego wątpliwego dobrodziejstwa. Czasem się to udaje, zwłaszcza w bardzo małych miejscowościach, gdzie zainteresowanie zarządzaniem zgłasza lokalny zakład pogrzebowy. Przeważnie jednak trwa „ping pong" z gminami, które ustawowo są zobowiązane do zapewnienia pochówków. Większość z nich umywa od tego zadania ręce, cedując je w milczący sposób na Kościół i oczekując, że to on rozwiąże problem. Tyle że w dobie sekularyzacji coraz więcej pogrzebów ma charakter bezwyznaniowy, więc parafie oczekują większego zaangażowania gmin. Albo w postaci utworzenia cmentarza komunalnego, albo pomocy w zarządzaniu cmentarzami parafialnymi (także poprzez udostępnianie gruntów).

Na „cmentarnych postulatach" trudno wygrać wybory samorządowe. Istnieją bardziej atrakcyjne tematy, a ten na dodatek generuje konflikty – kto chciałby mieć cmentarz w sąsiedztwie? W efekcie samorządowcy dla świętego spokoju wolą w tej kwestii utrzymywać grobową ciszę.

Zestaw trudnych warunków

W większych miastach, w których już funkcjonują cmentarze komunalne, ogromnym wyzwaniem jest brak miejsca. Władze niechętnie przeznaczają nowe tereny na takie cele, tym bardziej że w świetle prawa lokalizacja musi spełnić szereg warunków. Teren pod cmentarz musi być suchy i przepuszczalny, w strefie zieleni publicznej lub nadającej się pod zieleń, z dostępem do dróg. Wymaga też ujęcia w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego, wraz ze strefą ochronną: minimum 50 m od granicy cmentarza bez zabudowy mieszkalnej i 100 m od ujęć wody. Ponadto zaleca się usytuowanie go na wzniesieniu, i to tak, by najczęściej wiejące wiatry kierowały się w stronę cmentarza, minimalizując ryzyko przenoszenia zapachów i zanieczyszczeń. Nawet jeśli te ostatnie warunki mają charakter fakultatywny, znalezienie odpowiedniej lokalizacji dla nowej nekropolii jest wyzwaniem.

Dodatkowym problemem są przepisy w zakresie grobów ziemnych i murowanych. Te pierwsze (stanowią ok. 60 proc.) po upływie 20 lat mogą być wykorzystane ponownie, chyba że rodzina opłaci miejsce na kolejny okres. Inaczej wygląda sytuacja w przypadku grobów murowanych – te w praktyce mają charakter „wieczysty" i nie podlegają ponownemu wykorzystaniu. Oznacza to, że zgodnie z obowiązującym prawem niemal połowa grobów jest praktycznie nie do ruszenia.

Do tego dochodzi zjawisko określane mianem „kultury grobów", która w Polsce w jakimś stopniu zastępuję kulturę pamięci o zmarłych. Trudno jest bowiem uciec od wrażenia, że społeczna celebracja 1 listopada koncentruje się w wielu przypadkach na rywalizacji, który grób jest większy, bardziej przystrojony i bardziej napakowany zniczami. Równocześnie obserwujemy też inne zjawisko: porzucania grobów. Jeśli dotyczy to murowanej mogiły, to choćby się zawaliła, niewiele da się z tym miejscem zrobić.

Paradoksy kremacji

Potencjalnym remedium na niedobory miejsc do pochówku mogłaby stać się rosnąca popularność kremacji. Raport Unii Metropolii Polskich z 2023 r. podaje, że w miastach należących do UMP odsetek takich pogrzebów stanowi już 60 proc. (na cmentarzach komunalnych). A z załączonych do raportu badań opinii publicznej wynika, że połowa Polaków deklaruje poparcie dla tej formy pochówku.

W tym kontekście warto zauważyć, że nawet Kościół katolicki, który kiedyś surowo zabraniał kremacji, od 1963 r. oficjalnie na nią zezwala. Od 1977 r. obowiązuje też decyzja Konferencji Episkopatu Polski dopuszczająca obrzędy religijne nad urną – niby tylko w szczególnych sytuacjach, ale doświadczenie ostatnich lat pokazuje, że wyjątki stały się normą do tego stopnia, że biskupi sami dziś celebrują uroczystości pogrzebowe nad urnami.

Upowszechnienie kremacji mogłoby zatem stanowić pewne lekarstwo na brak miejsc, ale jak zwykle diabeł tkwi w szczegółach. Dla przykładu: spopielone prochy nie stanowią zagrożenia sanitarnego, można by zatem tworzyć specjalne cmentarze wyłącznie z kolumbariami, które nie musiałyby spełniać warunków lokalizacyjnych przewidzianych w ustawie. Problem w tym, że pochodzi ona z 1959 r. i siłą rzeczy nie przewiduje powszechnych dziś zwyczajów.

Po drugie, kolumbaria na gruncie prawa budowlanego są traktowane jak budynki, które wymagają projektu architektonicznego, nadzoru, a co ważniejsze, okresowych remontów. Zważywszy na fakt, że taka forma pochówku zaczęła się upowszechniać pod koniec XX w., wiele kolumbariów dobija do 30 lat i powoli zaczyna wymagać niezbędnych prac. Aby je przeprowadzić, niezbędne jest czasowe przeniesienie urn w inne miejsce. To jednak na gruncie polskiego prawa traktowane jest jak ekshumacja, którą w zwykłych warunkach można przeprowadzić za zgodą Państwowego Powiatowego Inspektora Sanitarnego na wniosek rodziny zmarłego.

Haczyk tkwi w tym, że wystarczy, by choć jedna rodzina nie przychyliła się do takiego wniosku, a remont okaże się w praktyce niewykonalny. Podobnie jak w przypadku „recyklingu" porzuconych grobów murowanych, także w kwestii remontów kolumbariów przepisy wiążą ręce zarządcom cmentarzy.

Kwadratura koła

Doświadczenia zarówno cmentarzy na wsiach, jak i w największych polskich miastach dowodzą, że stoimy w obliczu ↦

eprasa.pl 93c52441ba

↦ poważnych problemów, których nie da się rozwiązać co najmniej bez zmian prawnych. Obecna ustawa ma 67 lat, jest z zupełnie innej epoki, a w gruncie rzeczy stanowi powielenie przepisów uchwalonych jeszcze w II Rzeczypospolitej (rozporządzeniem Prezydenta RP z marca 1933 r.). Jedyną istotną zmianą było osłabienie roli Kościoła w zarządzaniu cmentarzami – np. odebrano parafiom możliwość ustalania stawek opłat cmentarnych, a kompetencję tę przekazano Wojewódzkim Radom Narodowym. Sytuacja zmieniła się w maju 1989 r., kiedy w ramach ustawy o stosunkach państwo–Kościół cały akapit dotyczący opłat cmentarnych został wykreślony. Nie wprowadzono jednak w zamian żadnego mechanizmu kontrolnego, w efekcie do dziś mamy do czynienia z wolną amerykanką w tym biznesie.

Co prawda, jak wskazałem wcześniej, wielu proboszczów obawia się gniewu parafian i unika nawet uzasadnionych podwyżek – zdarzają się jednak i takie przypadki, w których „przedsiębiorczy" proboszczowie potrafią osiągać spore zyski. W jednej z podkrakowskich parafii, której cmentarz „obsługuje" trzy inne kościoły, stawki opłat dla nie-swoich parafian zostały potrojone. Nie istnieje przy tym żadna procedura odwoławcza. Rozwiązaniem byłoby utworzenie nowych cmentarzy komunalnych, ale tu wracamy do niechęci gmin. Koło się zamyka.

Jak to możliwe, że przez ponad 35 lat istnienia III RP nie dorobiliśmy się nowych przepisów, choć rzeczywistość społeczna o nie woła? Wydaje się, że istnieją dwie podstawowe bariery. Pierwsza z nich zasadza się na „filozofii" prawa – czy kwestie pochówku i grobów powinny być regulowane na gruncie prawa cywilnego, czy też prawa administracyjnego? To drugie rozwiązanie mogłoby zdecydowanie ułatwić zarządzanie cmentarzami, jest jednak społecznie nieakceptowalne, bo grób stanowi własność i część rodzinnego majątku. Ten spór nie ma zatem charakteru czysto doktrynalnego, ale też emocjonalny.

> Do niedawna panowało przekonanie, że jeśli parafia ma cmentarz, to się „wyżywi". Wszystko się zmieniło, **gdy doszło do urealnienia stawek za dostarczanie wody oraz wywóz śmieci.**

Drugą barierą jest rozproszenie odpowiedzialności – w Polsce nie ma jednej instytucji, która odpowiadałaby w kompleksowy sposób za politykę cmentarną. Mamy Państwową Inspekcję Sanitarną, która nadzoruje kwestie warunków lokalizacji cmentarza oraz ekshumacji zwłok (ale także prochów, co wielkiego sensu już nie ma). Mamy Ministerstwo Zdrowia, pod które podlega Inspekcja Sanitarna. Mamy Ministerstwo Infrastruktury, które odpowiada za kwestie standardów technicznych i sanitarnych. Mamy Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Ministerstwo Cyfryzacji, które zajmują się problematyką ewidencji cmentarzy i grobów. Są wreszcie jednostki samorządu terytorialnego, które zarządzają nekropoliami komunalnymi, oraz parafie z ich własnymi cmentarzami.

Brakuje za to wyraźnej koordynacji działań, a dodatkowo nikt nie jest do końca odpowiedzialny za ten ważny obszar działania państwa.

Ku ogrodom pamięci

W obecnej sytuacji jakimś rozwiązaniem byłoby powołanie pełnomocnika rządu, i z taką sytuacją mieliśmy do czynienia w latach 2021-2023. Wówczas prace nad nowelizacją ustawy o cmentarzach pilotował Wojciech Labuda, pełnomocnik Prezesa Rady Ministrów ds. ochrony miejsc pamięci. Niestety, wraz z końcem kadencji Sejmu w 2023 r. projekt przerwano, a nowy rząd ani nie powołał swojego pełnomocnika, ani nie podjął tej tematyki od nowa.

Nie jest to wielkim zaskoczeniem. Próby nowelizacji ustawy z 1959 r. były w III RP podejmowane kilkukrotnie (ostatnio w latach 2015-2019 w Ministerstwie Zdrowia) i zwykle kończyły się w ten sam sposób. Wydaje się więc, że nawet w świetle narastających wyzwań nie dojdzie szybko do podjęcia działań mających na celu całościową koordynację polityki cmentarnej.

Myśląc realistycznie, w krótkim okresie koniecznym zadaniem jest podjęcie prac nad punktową nowelizacją przepisów, choćby w zakresie stawek opłat cmentarnych, warunków lokalizacji cmentarzy urnowych, ekshumacji prochów czy wreszcie statusu prawnego grobów murowanych. W dalszej perspektywie nie uciekniemy jednak od konieczności wprowadzenia bardziej kompleksowych działań, które uregulują choćby funkcjonowanie takich miejsc jak „ogrody pamięci" – wyznaczone przestrzenie na terenie cmentarzy, gdzie rozsypywane są prochy zmarłych. Tym bardziej że takie przedsięwzięcia już zaczynają powstawać, zwłaszcza w zachodniej części kraju (Wrocław, Opole, Poznań, Szczecin), niezależnie od braku regulacji.

Rzeczywistość nie znosi próżni, dlatego jeśli nie chcemy mieć pochówkowego „dzikiego Zachodu", a przy nadzwyczajnych wydarzeniach nie chcemy obawiać się masowych mogił na współczesnych „cmentarzach cholerycznych" (które do pandemii wydawały się artefaktem niemal prehistorycznej przeszłości) – musimy zabrać się na poważnie za politykę cmentarną. Na poważnie, bo choć czas ucieka, to (cmentarna) wieczność może nie poczekać. © MARCIN KĘDZIERSKI

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Brzesku Wydział I Cywilny pod sygn. I Ns 54/20 prowadzi postępowanie z wniosku BEST Niestandaryzowany Fundusz Inwestycyjny Zamknięty Wierzytelności z siedzibą w Gdyni, o stwierdzenie nabycia spadku po Danucie Mikulec z d. Michalskiej, c. Zygmunta i Krystyny zmarłej dnia 04 lipca 2022 r. w Krakowie, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Czchowie, ul. Cmentarna 2. Zmarła była wdową, wedle dotychczasowych ustaleń nie miała dzieci ani rodzeństwa.

Sąd wzywa spadkobierców Danuty Mikulec do zgłoszenia się do tut. sądu i udowodnienia swych praw do spadku w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

eprasa.pl 93c52441ba

Przyszłość wielorazowa

JOANNA KĄDZIOŁKA, POLSKIE STOWARZYSZENIE ZERO WASTE:

EKOLOGIA | Frustracje tych, którzy nie mogą oddać opakowań w ramach nowego systemu kaucyjnego, są zrozumiałe. Ale winne nie są przepisy, tylko sklepy i operatorzy. Dajmy im czas.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Korzystała już Pani z nowych kaucji?

JOANNA KĄDZIOŁKA: Tak, ale prawdę mówiąc, niewiele. Staram się funkcjonować w duchu „zero waste", więc nie kupuję raczej plastikowych i metalowych opakowań.

Wielu Polaków zdążyło już się z nowymi porządkami zapoznać i wynikło z tego sporo frustracji. Do tego wrócimy – najpierw przypomnijmy, o co w tym wszystkim chodzi.

System obejmuje butelki z tworzyw (PET), puszki oraz wielorazowe butelki szklane. Chodzi o opakowania, na których jest znaczek kaucji i kod kreskowy, który jest sczytywany przez automat albo kasjerkę/ kasjera, by móc nam zwrócić pieniądze. Cel jest prosty: zwiększenie poziomu tego, co nazywamy selektywną zbiórką opakowań. System kaucyjny to – w odróżnieniu od selekcyjnej zbiórki odpadów, gdzie opakowania bywają zanieczyszczone – gwarancja czystego surowca, nadającego się do ponownego użytku. Ten system jest jedynym, który pozwala na wysoki poziom zbiórki opakowań.

Wysoki, czyli jaki?

Na Litwie w pierwszym roku obowiązywania przepisów zbierano już 74 proc. opakowań, a w roku drugim – 90 proc. Podobnie było na Słowacji. W Polsce takich danych siłą rzeczy jeszcze nie mamy, choć wiemy, że w ciągu pierwszych trzech miesięcy – od października do grudnia, które stanowiły okres przejściowy – zebrano pół miliona sztuk opakowań. Dopiero teraz wkraczamy w fazę rozruchową systemu, i najdalej do końca roku zobaczymy, jak on naprawdę działa.

Na razie chyba kiepsko: słychać i widać głównie oznaki frustracji.

Są problemy z logistyką, komunikacją, z oporem detalistów. Bywa, że nie działają automaty kaucyjne. W innych miejscach sklepy zobowiązane do odbioru opakowań odsyłają klientów, jeszcze inne mają nieczytelny system skupu, w efekcie czego klient nie wie nawet, gdzie i do kogo się udać, by otrzymać zwrot. Bardzo ważne jest to, byśmy sobie jasno powiedzieli, kto ponosi za te uchybienia odpowiedzialność.

MATERIAŁY PRASOWE POLSKIEGO STOWARZYSZENIA ZERO WASTE

JOANNA KĄDZIOŁKA jest edukatorką ekologiczną. Prezeska zarządu Polskiego Stowarzyszenia Zero Waste.

Kto?

Według mnie to nie wina nowych przepisów, które zostały dobrze skonsultowane z organizacjami. Rozliczać powinniśmy te sieci handlowe, które nie zapewniły ani automatów, ani też porządnej zbiórki ręcznej. Podobnie z operatorami systemu, których obowiązkiem jest prowadzenie działań edukacyjnych.

Był czas, by działanie tego systemu przećwiczyć. Chyba nie wszyscy to zrobili.

Proszę wybaczyć, ale konsument ma prawo powiedzieć: guzik mnie obchodzi, czy winny jest rząd, czy sklep. Nie chcę płacić za to samo dwa razy. Raz za droższy produkt, z doliczoną ceną opakowania, drugi raz w ramach opłaty śmieciowej.

W stu procentach się zgadzam – konsument ma prawo do frustracji. To w ogóle najgorsze, co może się wydarzyć. Bo jeśli ten klient raz poniesie fiasko, próbując zwrócić opakowanie, to może drugi raz już nie spróbuje. Namawiam jednak do prób i do rozliczania odpowiedzialnych podmiotów.

Pamiętajmy też, że na razie minęło ledwie kilkanaście tygodni działania nowych przepisów pełną parą. Nie wiem, czy to jest jakieś pocieszenie, ale np. Węgry i Rumunia, które wprowadzały ten system niedawno, borykały się z tymi samymi problemami.

Ile czasu powinniśmy sobie dać?

Mam nadzieję, że obecny rok jest ostatnim z problemami. Pamiętajmy, że ten system ma sens, i że w ramach jego funkcjonowania wszyscy gramy do jednej bramki.

Żeby przeciętny konsument miał poczucie, że gra do bramki, musi ten sens zrozumieć. Niech mu Pani pomoże.

W Zero Waste mówimy, że przyszłość powinna być wielorazowa, ale ja bym dodała, że teraźniejszość również. To jest, najkrócej mówiąc, opowieść o środowisku, klimacie i naszym zdrowiu. O środowisku, bo butelki dzięki temu systemowi znikają z naszego pejzażu – dane estońskie pokazują, że o ile przed wprowadzeniem kaucji wśród odpadów na poboczach dróg 80 proc. stanowiły opakowania na napoje, po wejściu w życie przepisów odsetek ten wyniósł 10 proc. O klimacie, bo ten nasz pierwotny plastik, czyli ropa naftowa, jest nadal używany, ale w mniejszym stopniu. O zdrowiu, bo mikroplastik przenika do gleby, potem do oceanów i mórz. A potem my, jedząc np. ryby, to wchłaniamy.

Niezależnie więc od słusznych frustracji, warto pamiętać, że ten nowy system jest dla nas. ©℗

eprasa.pl 93c52441ba

OLGA

Drenda: *Tańczyć i płakać*

Częścią wiedzy fachowej sprzedawcy płyt winylowych jest świadomość, że wybierając się na targi, należy spodziewać się charakterystycznego typu klienta i przygotować zawczasu odpowiedni asortyment. Nie chodzi o jazz, „współczechę", rocka progresywnego czy inne gatunki, które mogą odruchowo kojarzyć się z kolekcjonerstwem, lecz o europejską muzykę dyskotekową lat 80., Sandrę, CC Catch, Savage. Każdy roztropny sprzedawca powinien mieć w zanadrzu szczególnie zapas płyt Sandry, bo jest gwarantowane, że na stoisku pojawi się zainteresowany nabywca. Prawdopodobnie korzystając z niespodziewanego renesansu winyli, kupił sobie w supermarkecie niedrogi nowoczesny gramofon i odbudowuje małą płytoteczkę. A nie ma wierniejszego i dokładniej zdefiniowanego nabywcy niż człowiek, który chce w nieskończoność powracać do wakacji nad jeziorem latem 1987 roku.

Możecie nie wierzyć, ale zmienicie zdanie, gdy traficie na prawdziwego „Sandrowca". Kilka lat temu miałam przyjemność podróżować z takim człowiekiem, kierowcą. Jego radość, gdy uświadomił sobie, że jedzie z kimś, komu temat przebojów lat 80. również jest nieobcy, była nieopisana. Zaczął włączać swoje ulubione remiksy i podkręcać głośność akurat tam, gdzie przypadały najlepsze fragmenty. Znacie być może ten moment, gdy ktoś zrozumiawszy, że może rozgadać się na ukochany temat bez końca, wpada w swój żywioł: to zdarzyło się właśnie wtedy. Wielka to satysfakcja, przyczynić się do czyjegoś entuzjazmu niewielkim kosztem.

Tu przychodzi bowiem czas na wyznanie – ja „kontynentalne" disco lat 80. doceniam, reaguję nań pozytywnie i słucham z uwagą, choć jednocześnie zdaję sobie sprawę, że to nie jest zawsze muzyka w profesjonalnym sensie tego słowa „dobra". Syntetyczne, plastikowe brzmienia, łzawe melodie, nieporadna angielszczyzna – to wszystko oczywiście prawda. Ale prawdą jest także co innego. Tym dawno już dorosłym fanom z nowymi gramofonami nie chodzi jedynie o wspomnienia. Oni przywiązali się tak do muzyki, która odpowiada rozrywkowymi środkami na potrzebę tajemnicy i poezji, która pozwala jednocześnie tańczyć i płakać.

Czasem tylko dyskotekowa kula rozumie twój smutek i żal!

OLGA DRENDA

Owszem, w tamtych czasach producenci z Anglii i USA tworzyli pełne poloru brzmienie dla artystów, których sceniczna charyzma przypominała doskonale uszyty strój. Trudno było do czegokolwiek się przyczepić; image gładki jak rysunek aerografem, produkcja, w której słychać dobrze wydane pieniądze, która kojarzy się z eleganckim klubem, szykiem kurortów i wielkich miast. Świetnie się bawisz, ale nie płaczesz. Za to produkcje z kontynentu, z Niemiec, Francji, Włoch (a także czasem z Polski!) miały w sobie jednocześnie coś z cekinowego bazaru, imprezy na sali gimnastycznej i posągowego dostojeństwa godnego filmu „Metropolis". To były hity do tańca, ale jednocześnie o temperaturze działu mrożonek, skąpane w niebieskim neonie, sunące monumentalnie przez przestrzeń jak transatlantyki.

Taki efekt udaje się chyba tylko sprawnym rzemieślnikom bez doświadczenia w wyrachowanym budowaniu marki, trochę strzelającym w ciemno. Czasami działo się to mimochodem, niezależnie od intencji ich twórców, którzy po prostu chcieli wydawać i zarabiać jak najwięcej. Choć nie zawsze, bo przecież kompozytor hitów Sandry, a wtedy przy okazji jej mąż, Michael Cretu, marzył o mistyce syntezatorów, co potem realizował z Enigmą. Niedaleko też do dyskoteki od rocka progresywnego i muzyki filmowej, co udowodnił Claudio Simonetti z grupy Goblin.

Ale historia z rozmownym kierowcą niedawno powtórzyła się, choć w okolicznościach właściwych dla lat 20. Tym razem spotkałam człowieka, który słuchał piosenek wygenerowanych w programie Suno i zgromadzonych pod pseudonimem jednej, również fikcyjnej artystki o nazwisku Anya Blaze. W fabryce disco to *nihil novi*, zwłaszcza we Włoszech twarzy jednego modela towarzyszyło często kilka głosów różnych profesjonalnych wokalistów. Metoda „na Milli Vanilli" nie budziła tam kontrowersji. W przypadku Anyi Blaze mamy do czynienia z większym niedbalstwem, bo twórcy tego projektu nie chciało się nawet wygenerować tej samej postaci do teledysków – to przypadkowe animacje złożone z twarzy o charakterze, jak mówi się dzisiaj, randomowym.

Ale utwory słuchane przez mojego towarzysza podróży zostały stworzone tak, by trafiać w upodobania miłośnika nostalgicznej dyskoteki. Automat perkusyjny wybijał rytm dostojnie i nieśpiesznie, był pogłos i melancholijna melodia. To mogło się podobać. Niestety, ja nie zapamiętałam żadnej z piosenek. Może zabrakło charakterystycznie niezdarnej lirycznej sałatki słownej znanej z tekstów, powiedzmy, Modern Talking? Składniki do produkcji wzruszeń zostały z pewnością umiejętnie wyemulowane. Ale czy skutecznie, zapewne za jakiś czas powie mi dopiero kolejny przypadkowo napotkany rozmówca. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl 93c52441ba

REKLAMA

recepcja@zamekjanowpodlaski.pl
+ 48 83 379 08 50
www.zamekjanowpodlaski.pl

ARCHE
ZAMEK
JANÓW PODLASKI

ul. Zamkowa 1
21-505 Janów Podlaski

eprasa.pl 93c52441ba

REPORTAŻ

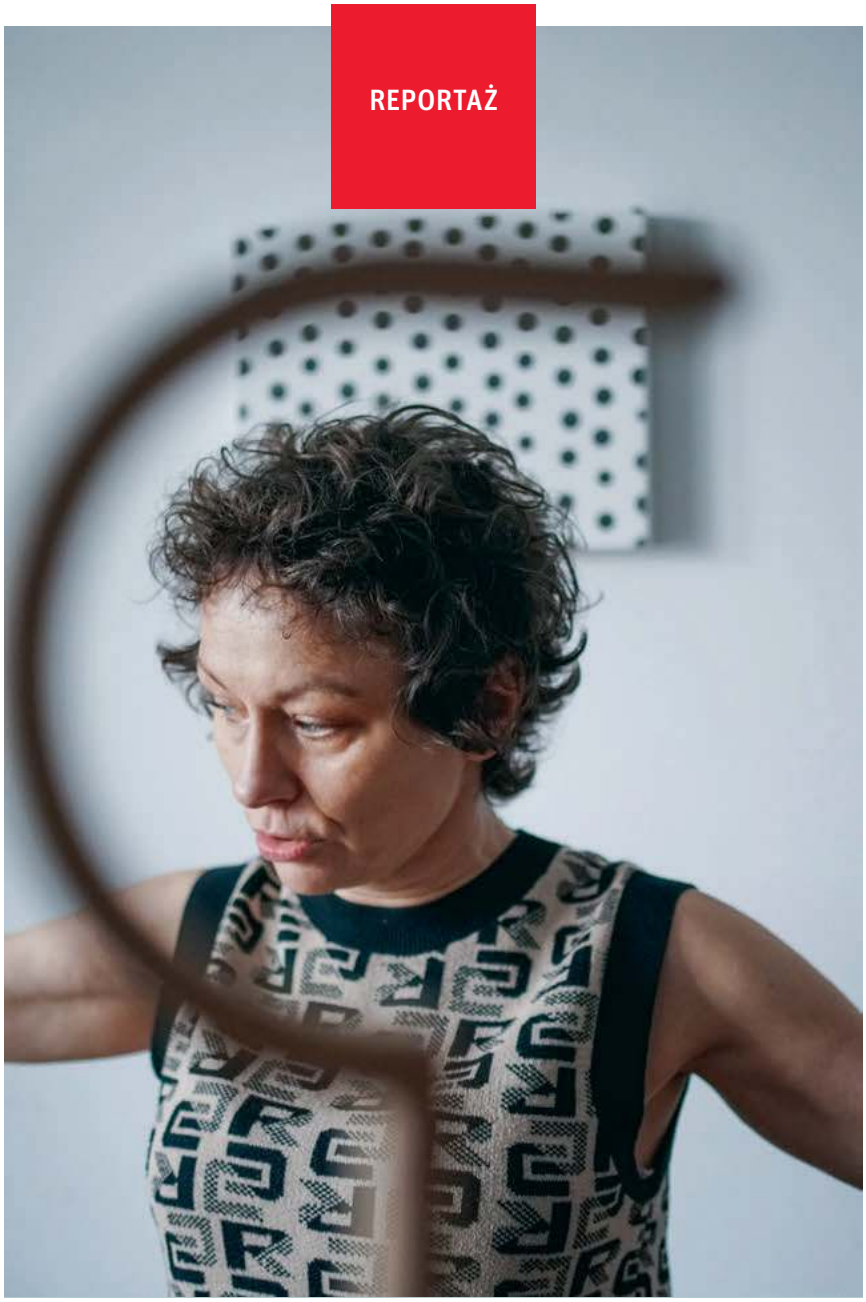

MILENA LIEBE / ARCHIWUM ZACHĘTY – NARODOWEJ GALERII SZTUKI

Karolina Wiktor, luty 2026 r.

LUBIĘ CIEBIE KOCHAĆ

Jeśli przekraczasz wstyd i otwierasz się na bliskość, to i twoje funkcje poznawcze zaczynają lepiej działać. Zdrowiejesz, bo ktoś cię dotyka.

ANNA GOC

Tamtego wieczoru tańczyła. Byli na koncercie. On zapamiętał, że ktoś podbiegł do baru i krzyknął, że zemdlała. Ona, że ból był silniejszy niż zwykle: – Jakby mi ktoś głowę włożył do imadła i zacisnął – mówi.

Lubiła tańczyć, ale odkąd pamięta, pojawiał się wtedy ból. Miała na niego sposób: wystarczyło, że zatrzymywała ciało na kilka minut.

Tym razem był silniejszy.

Od teraz pamiętał tylko on, że przyjechało pogotowie i zabrało ją do szpitala. Lekarze pytali: co piła? co brała?, bo skoro młoda, bo skoro z koncertu... to na pewno. Że w międzyczasie zadzwonił do jej rodziców. I że poprzysiągł sobie – znajdzie typa, który dosypał jej coś do kieliszka i naśle na niego bandziorów. Bandziorów też znajdzie.

1 Karolina Wiktor miała wtedy 30 lat. Był koniec sierpnia 2009 r. Za kilka dni miały z Aleksandrą Kubiak, z którą współtworzyła duet performerski Grupa Sędzia Główny, wyjechać na rezydencję twórczą do Pekinu, a wracając – już sama chciała przejechać Rosję koleją transsyberyjską.

– Karol leżała jak zwiędły listek. Przelewała się przez ręce, nie miała żadnych władz w ciele – mówi Piotr Rypson, wtedy jej partner, dzisiaj mąż. – Lekarze kręcili głowami, niewiele mówili. Być może próbowali nas ustrzec przed złą wiadomością.

Czekał z rodzicami Karoliny dobę, i kolejną. Było lato, w szpitalu szalały komary.

Pęknięcie tętniaka, wylew krwotoczny podpajęczynówkowy – usłyszeli w Szpitalu Bielańskim, następnym, do którego ją przewieźli. I jeszcze: że tętniak był dobrze schowany.

W międzyczasie lekarze próbowali wybudzić Karolinę. – Moja ukochana odzyskała przytomność na chwilę i miała pewien plan, na realizację którego silnie mnie namawiała – żebyśmy natychmiast ze szpitala uciekli, albo chociaż wyszli na papierosa – mówi Piotr.

I zwraca się do Karoliny: – Mówiłaś wtedy piękne rzeczy, tylko że one przynależały do literatury fantastycznej. Opo-

eprasa.pl 93c52441ba

wiadałaś o ludziach, których spotkałaś, o niesamowitych sytuacjach, które ci się przydarzyły. To były rwane ciągi obrazów, które samorzutnie wyświetlał źle funkcjonujący wtedy mózg.

Po pierwszej operacji usłyszeli od lekarzy, że kluczowe będą najbliższe doby.

Trzy dni później nadszedł drugi wylew.

– Człowiek o złotych rękach i powierzchowności chochlika. Błyskotliwy, szybki w ruchach, niezwykle zwinny – wspominają prof. Anatola Dowżenkę, neuroradiologa.

To on ją uratował.

2 Gdy się wybudziła, była w szpitalnej sali sama.

Pamiętała koncert, to, że tańczyła i że pojawił się ból. Nie zdawała sobie sprawy, że minęły dwa miesiące.

Spojrzała na pokłute od wenflonów ręce. Rozejrzała się po sali. Zatrzymała wzrok na stojącym przy jej łóżku wózku i była pewna, że nie czeka na nią. Spróbowała się podnieść i wtedy poczuła, że nie jest w stanie. Jej mięśnie nie działały, ciało było skręcone.

Do sali weszła pielęgniarka, stanęła nad nią i coś mówiła. Karolina usiłowała odpowiedzieć. – Przepraszam bardzo, o co w ogóle chodzi! – krzyczała w myślach.

Tak, krzyczała.

– Mamy sporo opisów tego, co się dzieje w mózgu pacjenta po udarze. Jednak bardzo brakuje opisu tego stanu z perspektywy chorego – mówi.

– Jak wtedy jest?

Surrealnie.

3 Szpital był w remoncie. Miała wrażenie, że odgłosy wiertarek pamiętała jeszcze ze śpiączki. Podobnie jak głos pielęgniarza, który pomagał jej potem w rehabilitacji.

– Rezydencja na Kamczatce – mówi o szpitalu. – Dwa lata przed wylewem wniknęłam w rosyjską literaturę, w mechanizmy totalitaryzmu. Pojechaliśmy na Krym, jeszcze ukraiński, przez postsowieckie wsie. W jednej z nich natknęliśmy się na Wołgę.

Wołga po udarze wróci, w książce, którą Karolina napisze: „Wołgą przez Afazję".

– Po wybudzeniu weszłam w afazję, w przestrzeń czerni. Moja wyobraźnia znalazła się w Zonie, w strefie szarej, niczyjej. Nie mogłam mówić, nie mogłam tworzyć. Byłam w strefie przygranicznej, pomiędzy życiem a śmiercią – mówi.

I dodaje: – Afazja jest total'liryzmem.

4 W szpitalu słyszała: proszę nie wstawać z wózka, bo się pani przewróci.

Ale wstawała.

I się przewracała.

I wdrapywała się z powrotem na wózek.

I słyszała: proszę nie wstawać z wózka, bo się pani przewróci.

Ale wstawała.

I znów, i znów.

Aż kolejnego dnia wstała i poszła.

Powoli, krok za krokiem. Najpierw do łazienki. Spojrzała w lustro, na pokrytą wypryskami skórę, ledwo siebie rozpoznała. Potem na przezroczystą skórę. Ważyła nieco ponad 40 kilo. Pomyślała, że jej ciało jest mądre, a skóra zaczęła już przygotowania do śmierci.

Coraz więcej dowiadywała się o tym, co działo się z jej ciałem. Najpierw nazwy: „niedowład połowiczny prawostronny". Potem, co oznaczają w praktyce.

– Połowa naszego ciała jest porażona – mówi Karolina. Połowa, a więc i usta, i przełyk, i pierś, i brzuch. Na początku czułam to tak, jakby tej części ciała nie było. Jakbym kończyła się w połowie.

Mięśnie były w spastycznym napięciu. Siadała na krześle, jedną rękę kładła na kolano, drugą też próbowała, ale ta nie chciała zostać. Pomagała sobie sprawną ręką: udawało się, ale tylko na chwilę. Jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze. Dłoń uderzała o udo, znów uciekała.

Rehabilitantka poprosiła, by położyła się na macie, zamknęła oczy. Przy obu dłoniach zostawiła ciężarki. Gdy Karolina otwierała oczy, dawała jej je do rąk. Czuła – jest jeden, z lewej strony świata, jest drugi, a więc jest i druga strona świata. Znów zamykała oczy, sprawdzała, czy są, czuła je.

– Zaburzenie funkcji poznawczych, których doświadczają osoby po udarze, oznacza też to, że gubią się w przestrzeni i w czasie – mówi Karolina. – Jednak żadnych map, które pomogłyby nam w tej nowej rzeczywistości się odnaleźć, także w powrocie do siebie, nie ma.

5 Nazwa druga, której się uczy: afazja sensoryczna. Słyszała wypowiadane przez innych słowa, ale nie potrafiła mówić.

Na początku wypowiadała ciągle jedno słowo: „jedenaście".

– Jak się pani nazywa?

– Jedenaście.

– Kiedy się pani urodziła?

– Jedenaście.

I jeszcze jedno się udawało: „ku**a".

Uparła się, żeby nauczyć się mówić: „Karolina" i „1979".

Chodziła wieczorami na koniec ciemnego szpitalnego korytarza, gdzie pod oknem stały dwa fotele. Odwracała je w stronę okien, patrzyła, co się za nimi dzieje. „A" – próbowała otworzyć usta do samogłoski. I obserwowała odbicie ust w szybie. Luster prawdziwych nie znosiła.

– Proszę zapisać słowo „dom" – mówiła neuropsycholożka z Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie.

Karolina patrzyła na nią uważnie. Jak ma to zrobić? – Litery były magmą, nie widziałam ich logiki, ciąg przyczynowo-skutkowy nie istniał. W głębokiej pamięci miałam słowo „dom" i wszystkie litery, które się na nie składają, ale nie potrafiłam ich właściwie złożyć – mówi. – Nie mogłam przywołać litery „d" z głębokiej pamięci do teraźniejszości.

Na rehabilitację też potrzebowała czasu.

– Karol pracuje wizualnie, więc pojechaliśmy do Muzeum Plakatu. Po chwili dała znać, że musimy natychmiast wyjść – mówi Piotr Rypson. – Nie potrafiła mi tego powiedzieć, ale widziałem, jak podziałały na nią plakaty, których naturą jest to, że najsilniej jak potrafią, mają nam coś zakomunikować. Jeśli nie da się ich odcyfrować, stają się wizualną przemocą. Dla osoby o tak ustrojonym aparacie poznawczym musiała to być tortura.

– Sztuka została ze mną, zmieniły się tylko narzędzia. Nie używam już ciała, jak przed wylewem, bo ono jest mi potrzebne do życia, a nie do kreacji artystycznej – mówi Karolina. – Jednak sztuka, która dawniej pozwalała mi przekraczać granice, dzisiaj wciąż mi to daje.

Zaczyna pisać: raz jedną ręką, raz drugą. Obiema, od lewej do prawej, od prawej do lewej. – Mózg lubi nasze dłonie – mówi. – I one pomogły mi w rehabilitacji, uruchomiły nowe połączenia w moim mózgu.

– Litery były rozsypane, wybrakowane. Nawet jeśli udawało mi się złożyć z nich słowo, a potem ze słów zdanie, ↦

eprasa.pl 93c52441ba

↦ to przechodząc do kolejnego, nie pamiętałam, co było w poprzednim. Otwierałam książkę albo gazetę, a tam chaos. Coś ci pokażę – mówi i wychodzi z pokoju.

Wraca z pudłem pełnym drewnianych kształtów. – To moje litery, tak wyglądała moja rzeczywistość.

Rozkładamy je na stole, próbujemy odgadnąć, co znaczą, co z nich da się zrobić. Litery, co do których nie masz pewności, które są czegoś pozbawione. Myślisz: no ale zaraz, to niby „M", a może „W". „Ł", a może „T", a to kawałek „A"?

Tak wymyśliła Alfabet Brakującej Czcionki, czyli litery, które powstały z braku.

6 Gdy wychodziła ze szpitala, wiedziała: przeszła udar, ma afazję, ma niedowład połowiczny, nie miesiączkuje.

Nie wiedziała: jak ma teraz żyć.

– Na początku nie chciałam z nikim rozmawiać, więc to, że nie mogłam mówić, nawet mi przez jakiś czas pomagało. Czułam się jak samochód, który jest naprawiony, można nim już jeździć. Nic ponadto – mówi. – Niepełnosprawność po udarze jest nagła i całkowita, zarówno fizyczna, jak mentalno-poznawcza, a nawet biochemiczna.

Zamieszkała u rodziców.

Musiała zrobić zdjęcie do legitymacji osób z niepełnosprawnością. Próbowała lewą ręką zrobić makijaż, ale nie wychodziło. Więc płakała i wściekała się.

Musiała założyć stanik, bo jechali do babci na święta. Próbowała jedną ręką, ale nie potrafiła. Więc ryczała, z bezsilności i złości.

– Żyłam. Świetnie! Ale nie mogłam się rozwijać, nie mogłam tworzyć rzeczywistości na własnych zasadach. I wtedy przyszła myśl, że chciałabym polecieć złotym samolotem – mówi.

Wyjechała windą na 9 piętro. Stanęła przed oknem. – I wtedy przyszła jeszcze jedna myśl: skoro zaplanowałaś to wszystko, zadbałaś skutecznie o to, by nikt ci nie przeszkodził, to może nie jest z tobą aż tak źle?

Wróciła do mieszkania i zadzwoniła do neurolożki, że weźmie antydepresanty.

7 Zaczęła spacerować i medytować w ruchu. – Funkcje poznawcze działają, gdy widzisz przestrzeń i kontekst. Im więcej chodziłam, tym lepiej mówiłam – opowiada.

Po trzech miesiącach wrócił też okres.

Najpierw wychodziła na 15 minut, potem na coraz dłużej i dalej, aż do trzech godzin. Dochodziła do niewielkiego stawu na obrzeżach Konina. Siadała na pomoście, zapisywała słowa, krótkie teksty, o których myślała po drodze. Także te, których nie potrafiła wypowiedzieć. W domu prosiła tatę, by zapiski czytał na głos. Ona też próbowała, a gdy jej się nie udawało, notowała kolejne formy słów. Formy afazyjne – jak je nazywa. Tak powstał „Słownik afazyjny".

„Kołuje – całuje".

„Krytyka Potyliczna – Krytyka Polityczna".

„Kultura nieruchawa – synonim współczesnego »udarowca« lub osoby zdrowej, np. opiekującej się chorym – nie ma nawyku ćwiczenia ciała, »zapominając, że mózg to też mięsień«".

„Nie rozumiem z tobą – nie rozmawiam z tobą".

„Poszczęściorze – szczęścia, zdrowia".

„Regirija – religia".

„Zdziwimy się – zdzwonimy się".

Próbowała coraz więcej czytać. Najpierw poezję, potem krótkie teksty o tym, jak działa mózg.

„Czym tak naprawdę jest niepełnosprawność? To przecież tylko Inna Sprawność, prawda...?...))))" – pisała na blogu afazja.blogspot.com.

I jeszcze:

„Nagle ze sprawnych fizycznie osób, światłych, oczytanych, mówiących różnymi językami, w jednym momencie całkowicie bezsilni. A świat, który nas otacza jest niby ten sam, ale jak bardzo różny... od tego sprzed wielkiego wybuchu mózgu".

Rodzice wymyślili grę w chińczyka. – Mieli świetne poczucie humoru, więc złościliśmy się w czasie gry i zaśmiewaliśmy na zmianę. W powrocie do komunikacji ważne jest nie tylko używanie słów, lecz także komunikatów niewerbalnych i emocji – mówi.

– „Dddzzzzyyy", „bulalala" – krzyczy. – Nasze pokiereszowane udarem usta zaczynają działać, a dzięki temu pojawiają się pierwsze słowa.

8 Opowiadają na zmianę.

Karolina: – Gdy przez kilka miesięcy po udarze mieszkałam u rodziców, Piotr pracował nad książką „Nie gęsi: polskie projektowanie graficzne 1919-1949" dla Karakteru. I wysyłał mi obrazy, które obrabiałam w Photoshopie.

Piotr: – Karolina była w tym zawsze lepsza ode mnie.

Karolina: – To mnie uruchomiło! Zobaczyłam, że świat znów jest trochę większy niż moja Zona, rzeczywistość przygraniczna.

Piotr: – Wysyłałem ci też wiersze Peipera, Brzękowskiego.

Karolina: – A ja nagle zdałam sobie sprawę, że potrafię je przeczytać ze zrozumieniem!

Piotr: – Albo: „Hymn do maszyny mego ćała" Czyżewskiego.

Karolina: – Który oczywiście znałam wcześniej.

Piotr: – Po udarze Karol straciła możliwość konstruowania komunikatów językowych. Język rozlatywał się na litery, a same litery stały się nieporęcznymi narzędziami. Znalazła się w sytuacji, którą można odnieść do tego, co robili poeci awangardowi w dwóch pierwszych dekadach XX w., np. Rosjanie z zaumnym językiem, czy niemieccy dadaiści. Czyli z przekroczeniem granic konwencjonalnego języka, rozbiciem go na podstawowe elementy sylabiczne, odniesieniami do echolalii, do gaworzeń dziecięcych, przyśpiewek, lalilulі, balabula, które dają szansę na przełamanie konwencji językowej i zbudowanie nowej poetyki. Karol uruchomiła z całego swojego zasobnika językowego jakieś niespotykane możliwości konstruowania sensów, także w poezji wizualnej i konkretnej.

Karolina: – W książce „Wołgą przez Afazję" jest tekst „do centrum siebie", w którym piszę, że „koło się zamyka na języku".

9 – Tato, chcę wracać do Piotra, do Warszawy – powiedziała po kilku miesiącach.

– Ale jak? Sama? A jeśli coś ci się stanie? Jak wezwiesz pomoc?

Wściekała się.

Wyjęła kartkę, zapisała: „Nazywam się Karolina Wiktor, jestem po wylewie i udarze. Gdyby coś się stało...".

– Wróciłam do taty: „Podpisz" – poprosiłam.

Tak powstał „Paszport Afazjanina" – dokument, który osoba po udarze z afazją może wydrukować i mieć zawsze przy sobie. Poza informacjami, czym jest afazja i jakie są jej objawy, jest też zapis: „W przy-

eprasa.pl 93c52441ba

Karolina Wiktor, „Wrosnąć", 2023, sitodruk

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTKI

padku jakiegokolwiek niepokoju związanego z moim zachowaniem lub zdrowiem np. utrata świadomości, opadanie powieki lub brak koordynacji ruchów, proszę zadzwonić z mojego telefonu do najbliższego szpitala, w którym jest oddział neurologii, lub do członków mojej rodziny". Numery ratunkowe: 112 i 999 oraz miejsce na wpisanie numeru bliskich.

10 – Twoje mięśnie są porażone. I stajesz naga przed kimś. Właśnie taka jesteś. Jeśli masz obok człowieka, który dobrze cię rozumie i kocha, nie ma znaczenia, czy jesteś prawa, czy lewa, czy skręcona. Możesz przestać się wstydzić – mówi Karolina. – A jeśli przekraczasz wstyd i otwierasz się na bliskość, to i twoje funkcje poznawcze zaczynają lepiej działać. Zdrowiejesz, bo ktoś cię dotyka. Bez dotyku i bliskości, bez emocji, wyjście z udaru byłoby trudniejsze.

Na kontrolę pooperacyjną weszli razem. Karolina powiedziała, że jest w ciąży. Lekarz najpierw spojrzał na Piotra, on potwierdził, lekarz usiadł. – Karolina, jesteś mutantem – powiedział do mnie.

Zebrali konsylium. Powiedzieli, że mają prawo do aborcji. Powiedzieli, że ciąża w tym stanie jest ryzykowna. Powiedzieli, że Karolina może mieć kolejny udar.

– Ale ja urodzę – odpowiedziała.

– Pewna jesteś? – zapytał Piotr.

Przytaknęła.

– Skoro przeżyłam, skoro doprowadziłam moje ciało do takiego stanu, to czy teraz mam zrezygnować? Oszaleliście! Puknijcie się w głowę – mówi dzisiaj.

Wciąż nie miała czucia w połowie ciała, także piersi. Prowadził ją ginekolog, który odbierał poród jej mamy, więc czuła się bezpieczna. Była pod stałą opieką neurologów.

– W piątym miesiącu już wiedziałam, że córka jest zdrowa, że ciąża przebiega zgodnie z planem. Byłam na ciążowym haju. I wtedy zobaczyłam na murze napis „odpowiedzialność". Przyszła inna myśl: co ja najlepszego zrobiłam? Czy sobie poradzę? Będę przecież niepełnosprawną matką.

„Dlatego nie pytaj kobiety z krainy Afazji, czy jest szczęśliwa przy nadziei??? Bo to jest najtrudniejsze z pytań, jakie możesz jej zadać" – napisała w książce „Wołgą przez Afazję".

11 Gdy była w ciąży, wpadła na pomysł konferencji dla osób takich jak ona – po udarze i z afazją. Zorganizowała ją w 2014 r. w Zachęcie, pt. „Kultura i neuronauka". Później stworzyła projekt NeuroUżyteczna, dzięki któremu stara się wspierać ludzi z podobnymi doświadczeniami. Prowadzi blogi: www.afazja.blogspot.com i www.poezjawizualna.blogspot.com, gdzie publikuje poezję, a na Facebooku profil „Kultura i Neuronauka".

Podkreśla, że udar mają coraz młodsi. Że jest jedną z najczęstszych przyczyn śmierci. I że w Polsce zwykle nie zleca się profilaktycznych badań głowy, a jej ból – ignoruje. Że jeśli młoda kobieta przechodzi udar i traci miesiączkę, nie wspiera się jej w rehabilitacji.

Raz się wściekła. – W dyskusji internetowej głos zabrała kobieta, której mąż przeszedł udar i miał afazję. Kobieta zapytała neurolożkę, czy może wnioskować o ubezwłasnowolnienie męża. Nie wytrzymałam i odpowiedział jej, że jeśli rehabilitacja będzie dobrze prowadzona, to mąż będzie się podpisywał za pół roku. Jeśli go pani ubezwłasnowolni, być może nie podpisze się już nigdy – opowiada Karolina.

– Chciałabym uruchomić innych po udarze, jak uruchamiałam siebie – mówi. – Choć przecież nie zrobiłam tego sama.

12 Karolina: – Gdy mieszkałam u rodziców, Piotr dzwonił codziennie wieczorem. Nie potrafiłam mówić, ale mogłam słuchać. I zaśmiewać się z tego, co mi opowiadał. Okazało się, że to była świetna rehabilitacja.

Piotr: – Nie chciałem, żeby siedziała na Kamczatce sama.

Karolina: – Raz udało mi się powiedzieć do słuchawki: „Lubię ciebie kochać".

©℗ ANNA GOC

Od 20 lutego można obejrzeć wystawę Karoliny Wiktor w Zachęcie – Narodowej Galerii Sztuki, która będzie próbowała odpowiedzieć na pytania: „Jak porozumiewać się ze światem, gdy choroba uniemożliwia dotychczasowe formy komunikacji? Jak kobiety z niepełnosprawnością doświadczają macierzyństwa? Jak stawać się matką w procesie rehabilitacji? I co to znaczy »odzyskać głos« w świecie, który nie zna twojego alfabetu".

eprasa.pl 93c52441ba

ŚWIAT

OBRONA BEZ KOŃCA

Nic nie wskazuje na to, aby piąty już rok pełnoskalowej wojny Rosji przeciwko Ukrainie, zaczynający się 24 lutego, miał być jej rokiem ostatnim.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Najkrótsze podsumowanie aktualnego stanu rosyjskiej agresji mogłoby brzmieć następująco. Ukraina z uporem się broni i – mimo ogromnego zmęczenia – dalej będzie się bronić, bo nie ma lepszego wyjścia.

Rosja napiera na froncie, choć bez strategicznych sukcesów, a zarazem udaje, że negocjuje porozumienie pokojowe. Prezydent Donald Trump niezmiennie uważa, że może zakończyć wojnę, choć jedynym wygranym wielomiesięcznych negocjacji jest Kreml. Europa pozostaje kluczowym sojusznikiem Ukrainy, starając się nie antagonizować Trumpa i utrzymując jednocześnie stanowcze podejście do Rosji.

Spróbujmy przyjrzeć się bliżej wielowymiarowej sytuacji wokół Ukrainy.

Na froncie bez większych zmian

Zacznijmy od sytuacji na froncie, bo to działania militarne pozostają kluczowe dla dalszego rozwoju wydarzeń politycznych.

Jakkolwiek Rosja bardzo chciałaby doprowadzić do przełamania ukraińskich pozycji i móc się wreszcie pochwalić sukcesami, to nic nie wskazuje, aby miało się to wydarzyć. Kreml i rosyjska propaganda próbują zaklinać rzeczywistość, jednak rosyjskiej postępy na froncie są cały czas niewielkie.

W ciągu ostatniego roku wojska rosyjskie zajęły około 0,8 proc. terytorium państwa ukraińskiego. Po czterech latach pełnoskalowej agresji nadal jedna piąta Donbasu znajduje się pod kontrolą Kijowa. W ostatnich miesiącach największym sukcesem Rosji było zajęcie aglomeracji pokrowskiej, zdobycie przyczółków w obwodzie dniepropietrowskim oraz wyparcie – po wielu miesiącach walk – sił ukraińskich z obwodu kurskiego.

Ponadto, licząc od 24 lutego 2022 r., zabitych lub rannych zostało już – według szacunków amerykańskiego Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych, opublikowanych w styczniu – ok. 1,2 mln rosyjskich żołnierzy.

Opór mimo zmęczenia

Z pewnością nie o takie zwycięstwo chodzi Putinowi. Kreml nie traci jednak nadziei, że jest zdolny odmienić los tej wojny.

Popatrzmy teraz na sytuację po drugiej stronie frontu. Siły obrońców uczyniły w trakcie czterech lat trwania tego konfliktu znacznie więcej, niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić w pierwszych dniach po 24 lutego 2022 r., gdy zaczynała się pełnoskalowa inwazja – włącznie z samymi obrońcami.

Ich największym sukcesem jest wciąż skuteczne powstrzymywanie naporu armii rosyjskiej. Choć Ukraińcy znajdują się w głębokiej defensywie, to regularnie potrafią uderzać w głębi Rosji. Przykładem operacja „Pajęczyna" – bezprecedensowe ataki na bazy rosyjskich bombowców strategicznych i zniszczenie co najmniej siedmiu z nich. Regularne stały się również ataki dronowe na rosyjskie rafinerie, co doprowadziło do deficytów paliw i spowodowało dla Kremla wielomiliardowe straty.

Ukraina pokazuje, że jest w stanie podnosić Rosji koszty prowadzenia przez nią agresji. To ważne, choć to nadal zbyt mało, aby pozbawić agresora nadziei na wygraną.

Pozory negocjacji

Nowym elementem obrazu sytuacji stały się w ciągu ostatniego roku negocjacje

eprasa.pl 93c52441ba

KOSTIANTYN LIBEROV / LIBKOS / GETTY IMAGES

Drogi w strefie frontowej, służące do zaopatrzenia i ewakuacji, są dziś chronione siatkami antydronowymi. Nie zawsze jest to skuteczne: zniszczone ukraińskie pojazdy na drodze między Drużkiwką a Konstantynówką w obwodzie donieckim. Ukraina, 11 lutego 2026 r.

z Kremlem, zainicjowane przez administrację Trumpa. Dziś można stwierdzić, że przyniosły one dokładnie to, czego należało się spodziewać – zupełnie nic.

Jakiekolwiek rozmowy pokojowe mogą zakończyć się tylko wówczas, gdy obie strony wyrażają taką wolę. W tym przypadku końca wojny chce Ukraina, jednak nie za cenę utraty suwerenności. Nie chce go natomiast Rosja, której celem było i jest nadal podyktowanie Kijowowi swoich maksymalistycznych warunków.

Jedna i druga strona przystąpiły do tych rozmów przy pośrednictwie i pod presją Stanów Zjednoczonych, ale ich motywacje są zasadniczo odmienne. Rosja pozoruje swoją rzekomo dobrą wolę, w istocie grając na czas i próbując przekonać Trumpa, że to Kijów nie chce pokoju. Jednocześnie Kreml konsekwentnie mówi, czego oczekuje od Ukrainy i od Zachodu. Ważne jest, aby odpowiednio czytać komunikaty rosyjskiej dyplomacji.

Niezmienne żądania Kremla

Z tego specyficznego języka wyłania się zwłaszcza kluczowe żądanie Putina, jakim jest „usunięcie źródeł konfliktu" (to dosłowny cytat). Oznaczające, mówiąc wprost, koniec ukraińskiej suwerenności. To właśnie wolna, proeuropejska i demokratyczna Ukraina jest bowiem w percepcji rosyjskiej ową „praprzyczyną" wojny.

Generalny cel Kremla pozostaje zatem niezmienny, ewoluować mogą jedynie taktyczne działania na rzecz jego osiągnięcia.

W obecnym wariancie tej taktyki rosyjskie warunki sprowadzają się więc do żądania wycofania się wojsk ukraińskich z całości Donbasu. A zatem rosyjska dyplomacja próbuje osiągnąć to, do czego nie jest w stanie doprowadzić rosyjska armia. Za pośrednictwem Trumpa sprawić, że Ukraińcy wycofają się z obecnych pozycji.

Dlaczego to tak ważne dla Moskwy? W Donbasie znajdują się silne ukraińskie ↦

eprasa.pl 93c52441ba

↦ umocnienia, cały czas rozbudowywane na zapleczu linii frontu. Ich porzucenie otworzyłoby siłom rosyjskim szeroką drogę do zajęcia sąsiednich regionów – centralnej już Ukrainy.

Rosyjska pułapka

Sondaże pokazują, że ponad połowa społeczeństwa ukraińskiego sprzeciwia się wycofaniu z Donbasu. Kreml rozumie, że jeśli administracji amerykańskiej uda się wykręcić ręce Zełenskiemu, wywoła to poważny konflikt wewnętrzny na Ukrainie. Część frontowych jednostek mogłaby wręcz nie wykonać rozkazu odwrotu. To wszystko byłoby gotowym przepisem na chaos na Ukrainie, który ułatwiłby Rosji realizowanie zamierzonych celów.

Nic dziwnego, że Kijów nie zamierza wpadać w rosyjską pułapkę. Z jednej strony, aby nie narazić się na gniew Trumpa, pokazuje swoją dobrą wolę, w tym co do różnych ustępstw. Z drugiej natomiast strony prezydent Zełenski twardo powtarza, że lepiej nie zawrzeć żadnej umowy, niż zmusić naród do zgodzenia się na niekorzystną.

W takim otoczeniu, niezwykle trudnym, Ukraina negocjuje mądrze i nadal udaje się jej wychodzić z zastawianych przez Rosję sideł.

Recepta na chaos

Zadziwiającym paradoksem historii jest, że ukraińskiej walce na froncie militarnym towarzyszy starcie na froncie dyplomatycznym z kluczowym do niedawna, amerykańskim sojusznikiem.

Kijów słusznie przekonuje, że częścią porozumienia pokojowego muszą być zachodnie gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy. Odpowiedni dokument został już nawet wynegocjowany z Waszyngtonem, choć nie wiadomo, co dokładnie zawiera. Według przecieków prasowych, warunkiem ich wejścia w życie miałoby być przeprowadzenie na Ukrainie w najbliższych miesiącach wyborów prezydenckich.

OLEKSANDR GIMANOV / AFP / EAST NEWS

Akcja ratownicza po nalocie na Odessę, 27 stycznia 2026 r.

Byłaby to w istocie realizacja postulatu Rosji, która zarzuca władzom ukraińskim brak legitymizacji (kadencja prezydenta Zełenskiego skończyła się w 2024 r., ale obowiązujący w kraju stan wojenny sprawia, że zgodnie z prawem urzęduje on dalej). Wybory w warunkach wojny to recepta na rozhermetyzowanie państwa i wywołanie wewnętrznych sporów politycznych.

Zimno i ciemno

Traktowanie przez Rosję negocjacji pokojowych wyłącznie taktycznie najlepiej widać po towarzyszących im zmasowanych atakach rakietowych i dronowych na ukraiński system energetyczny. Nigdy wcześniej w historii współczesnych wojen agresor nie próbował sparaliżować na podobną skalę infrastruktury krytycznej państwa-ofiary (konflikt rosyjsko-ukraiński jest zresztą „laboratorium" w wielu sferach).

Rosji sprzyja wyjątkowo mroźna zima. Ataki na elektrownie, sieci dystrybucyjne i elektrociepłownie spowodowały, że w części największych ukraińskich miast normą stały się długotrwałe wyłączenia dostaw energii i ciepła. W szczególności dotyczy to Kijowa, gdzie od wielu tygodni niemal tysiąc wielkopowierzchniowych bloków pozbawionych jest ogrzewania i prądu. W zasadzie odpowiada to definicji kryzysu humanitarnego.

Poddawany długotrwałym i zmasowanym atakom, system energetyczny Ukrainy mimo wszystko wciąż działa. Ukraińscy energetycy dokonują technicznych cudów, skutecznie go reanimując. Społeczeństwo zaś wyczekuje wiosny.

Niszcząc systematycznie infrastrukturę krytyczną, Rosja liczy, że w ten sposób złamie morale Ukraińców – tak aby w końcu było im wszystko jedno, na jakich warunkach skończy się wojna, byle tylko się skończyła. Tymczasem większość społeczeństwa nie tyle popada w defetyzm, co jeszcze bardziej nienawidzi wszystkiego, co rosyjskie.

Europejskie plecy

Trzy czwarte Ukraińców negatywnie ocenia dziś politykę administracji Donalda Trumpa. Trudno się temu dziwić. W sytuacji, gdy w ciągu ostatniego roku wsparcie militarne i finansowe z USA spadło niemal do zera (za broń produkowaną w Stanach, a dostarczaną Ukrainie, płacą obecnie Europejczycy, a także kilka innych krajów), kluczowa dla dalszego oporu stała się Europa.

To ona jest teraz głównym źródłem pomocy wojskowej, finansowej i humanitarnej. Pomocy, bez której prowadzenie wojny stałoby się praktycznie niemożliwe. Europejczycy są również wsparciem dla Ukraińców w negocjacjach prowadzonych pod auspicjami Trumpa – torpedują niekorzystne dla Kijowa propozycje. Jak ważna to rola, najlepiej świadczy fakt, że Kreml nieustająco krytykuje Europę.

Stosunek Kijowa do Unii Europejskiej jest jednak specyficznym połączeniem: z jednej strony zrozumienie, że jest ona niezbędna dla przetrwania Ukrainy, z drugiej strony otwarcie wyrażane rozczarowanie i krytyka.

Jej bodaj najmocniejszym wyrazem było wystąpienie styczniowe Zełenskiego

eprasa.pl 93c52441ba

na Forum Ekonomicznym w Davos. Zarzucił w nim Europie zagubienie i brak woli politycznej do bardziej zdecydowanego działania, wzywając do większej odwagi.

Choć w wielu miejscach ta diagnoza unijnych problemów i bolączek była słuszna, to jednak Kijów powinien się zastanowić, czy publiczne jej wyrażanie nie przynosi więcej szkód niż pożytku.

Granice wytrzymałości

W zaczynającym się, piątym już roku wielkiej wojny z coraz większą siłą będzie powracać pytanie: jak długo jeszcze? Dotyczy ono również kondycji rosyjskiej gospodarki i licznych, maskowanych problemów Rosji.

Kreml niezmiennie ma nadzieję, że uda mu się przekonać administrację Trumpa, aby oddzielić „kwestię ukraińską" (jak ją nazywa) od reszty relacji amerykańsko-rosyjskich. W tym celu kusi prezydenta USA i jego otoczenie rzekomymi wielkimi możliwościami biznesowymi, którym – rzecz jasna – musiałoby towarzyszyć co najmniej złagodzenie sankcji. Waszyngton na razie opiera się pokusom.

Jak więc długo jeszcze? W większym stopniu niż Rosji, pytanie to dotyka granic wytrzymałości ukraińskiego państwa i społeczeństwa. Sami Ukraińcy nie są w stanie określić, ile jeszcze będą zdolni wytrzymać. Rosyjska determinacja, aby doprowadzić do zwycięstwa niemal za wszelką cenę, spotyka się z ukraińską determinacją do obrony życia i wolności – połączoną z przekonaniem, że obecnie nie ma alternatywy niż dalsza obrona.

Ukraina walczy więc nadal i wciąż pozostaje na tyle silna, aby nie dopuścić do większych przesunięć frontu. Liczy zarazem, że Europa będzie ją wciąż wspierać, i że szaleństwa Trumpa uda się okiełznać.

Tragizm sytuacji tkwi w tym, że scenariusz dalszego trwania wojny jest najbardziej prawdopodobny. Będzie ona trwała, dopóki Rosja będzie uważała, tak jak dzisiaj, że może ją wygrać.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia.

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jedna z ogrzewalni ustawiona przez władze miasta w rejonie darnyckim. Mieszkańcy mogą się tu ogrzać i naładować telefony. Kijów, 27 stycznia 2026 r.

Najgorsze to stracić nadzieję

PETRO BALOG OP, PRZEOR KLASZTORU DOMINIKANÓW W KIJOWIE:

WOJNA W UKRAINIE | Każda pomoc jest wsparciem nie tylko materialnym, ale także psychicznym. Daje poczucie, że nie jesteśmy sami.

JACEK TARAN: Jak wygląda życie codzienne w Kijowie?

PETRO BALOG OP: To życie pomiędzy nalotami. Zwykle zaczynają się późnym wieczorem i trwają do rana. Za dnia miasto funkcjonuje w miarę normalnie. Jeździ metro, autobusy, ludzie chodzą do pracy. Oczywiście nie jest to życie radosne. A nocami są naloty, drony, zniszczenia. Taka codzienność. Ludzie próbują z tym żyć.

Ile jeszcze wytrzymają?

Trudno powiedzieć. Na razie Ukraina się trzyma dzięki wsparciu z Unii Europejskiej i USA. To wsparcie wystarczające, by nie umrzeć, ale nie takie, które zapewniłoby bezpieczeństwo. To w pewnym sensie cud, że to wszystko wciąż się trzyma.

Wróg chce, abyśmy sami zaczęli prosić o kapitulację. Temu służą ataki na ludność cywilną i infrastrukturę. Chodzi o to, byśmy zaczęli błagać o „pokój", który w istocie będzie kapitulacją.

Jakie są nastroje wśród ludzi, z którymi Ksiądz rozmawia?

Większość jest zdecydowanie przeciw kapitulacji. Wiemy, co oznacza „pokój" narzucony przez Rosję. Nawet jeśli oni mówią: „Oddajcie Donbas, zaakceptujcie rosyjski Krym, a przestaniemy strzelać", to jest pytanie: co dalej? Mamy czekać rok, dwa lata, aż Rosja wzmocni się po tym, jak zostaną zdjęte sankcje i znów na nas ruszy? Taka jest Rosja. Najlepiej dla nas byłoby wejść do NATO i uzyskać realne gwarancje bezpieczeństwa. ↦

eprasa.pl 93c52441ba

JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kijów – mieszkańcy osiedla Trojeszczyna przy jednym z punktów niezłomności. 18 stycznia 2026 r.

↦ **O jakie gwarancje chodzi?**

O takie, jakich Rosja nie akceptuje. Ona respektuje tylko siłę. Dopóki widzi słabość, stosuje agresję i represje. Rosja nie napadła dotąd na żadne silne państwo. Napada na słabszych. Jeśli Ukraina będzie państwem silnym, uzbrojonym, wtedy będzie można mówić o realnych rozmowach. Tymczasem czego żąda Rosja? Naszej demilitaryzacji. A po co? Żeby nas zjeść. Nie możemy się zgodzić na to, żeby być zjedzonym.

Nieprawdziwa jest teza, że Ukraińcy są tak zmęczeni, że zgodzą się na jakikolwiek pokój?

Część społeczeństwa rzeczywiście jest zmęczona. Część się zastanawia: „Może trzeba zgodzić się na warunki Rosji?". Są takie głosy. Przywołuje się analogie: w 1940 r. Związek Sowiecki zaatakował Finlandię, Finowie stracili Karelię, ale obronili państwo. Niektórzy powołują się więc na przykład Finów i mówią: „U nas może być tak samo, oddamy Donbas i będzie pokój". Moim zdaniem nie można w to wierzyć. Trafniejsza jest tu analogia do Hitlera, któremu Europa oddała Czechosłowację, licząc, że się uspokoi. Nie uspokoił się.

Także Putin się nie uspokoi. Apetyt rośnie wraz z bezkarnością. Przecież Rosja zaczęła od inwazji na Gruzję. Potem był Krym. Wcześniej Naddniestrze. Za każdym razem pojawiało się oburzenie, ale realnej kary nie było. Rosja była bezkarna, więc robiła dalej to samo.

Pomoc, która płynie na Ukrainę, ma znaczenie także psychologiczne?

Każda pomoc jest wsparciem także mentalnym. Daje poczucie, że nie jesteśmy sami. Pomoc z Polski jest wyraźnie odczuwalna. Jesteśmy za nią bardzo wdzięczni. Archidiecezja krakowska zebrała ponad pięć milionów złotych na generatory. To realna pomoc dla konkretnych ludzi. Mam nadzieję, że w ślad pójdą inne diecezje, także inne kraje, bo tych generatorów nie starczy dla trzech milionów ludzi – tyle żyje wciąż w Kijowie.

Przez te cztery lata pełnoskalowej wojny zmieniło się na Ukrainie myślenie o Zachodzie, Europie?

To rzecz złożona. Np. USA pomagają, ale wcześniej to one były jednym z państw gwarantujących niepodległość Ukrainy. Oddaliśmy broń atomową, w 1994 r. zostało to zapisane w memorandum. Mieliśmy nadzieję, że w zamian będziemy mogli żyć jako niepodległe państwo w granicach, które wtedy istniały.

Do tego ta niepewność. Trump coś zapowiada, czasem robi coś innego. Z kolei w Unii Europejskiej wszystko przebiega wolno. Można wręcz odnieść wrażenie, że w czasie II wojny światowej decyzje podejmowano szybciej. Kończy się czwarty rok pełnoskalowej wojny i 12 lat wojny w ogóle, licząc od aneksji Krymu, a Europa wciąż nie potrafi zdecydować się na działania adekwatne do skali zagrożenia. To coś, co na Ukrainie jest mocno odczuwane.

Pomoc z Europy mogłaby być skuteczniejsza?

Jesteśmy świadomi, że Europa nie jest gotowa na wojnę na taką skalę. Nie ma dziś zbyt wielu zasobów, którymi mogłaby pomagać, więc nie chce oddawać wszystkiego, co jeszcze posiada. Rosja produkuje uzbrojenie na ogromną skalę. Mam nadzieję, że Niemcy, Polska, Francja i inne kraje Unii, a także Wielka Brytania zaczną inwestować więcej w obronność. I że gdy Rosja to zobaczy, może zrozumie, że nie ma miejsca na imperializm.

W swojej pracy spotyka Ksiądz ludzi, których wiara zmieniła się przez wojnę – osłabła albo przeciwnie, wzmocniła się?

eprasa.pl 93c52441ba

Spotykam jednych i drugich. Jest powiedzenie, że na froncie nie ma niewierzących. To nieprawda. Nie ma tu jednej historii. Jeden człowiek w chwili zagrożenia się modli, a drugi nie.

Mam znajomego, który był z nami w zakonie, później odszedł. Gdy wybuchła wojna, poszedł na front. Ponieważ studiował teologię, zrobili go świeckim kapelanem. Opowiadał mi o różnych sytuacjach. Zdarza się, zwłaszcza podczas ciężkich ostrzałów, że ktoś modli się tak, że on nigdy nie widział takiej modlitwy, nawet w klasztorze. Ale to wyjątki. Opowiadał, że jak w niedzielę chodzi po oddziale i pyta, kto chce przyjść na wspólne spotkanie czy modlitwę, to często jest odsyłany do wszystkich diabłów.

Jak rozmawiać z ludźmi o przebaczeniu?

W Instytucie Nauk Religijnych św. Tomasza, który prowadzimy w Kijowie, rozmawiamy o tym, jak będzie wyglądać kwestia przebaczenia po wojnie. W Kazaniu na Górze Jezus, mówiąc o przykazaniu „nie zabijaj", mówi też o nienawiści rodzącej się w sercu. To aktualne słowa. Naszym zadaniem jako chrześcijan jest pomagać ludziom, którzy widzą śmierć, zabite dzieci i zniszczenia, by nienawiść nie zatruła ich serc. Nienawiść niszczy przede wszystkim tego, kto nienawidzi. Wrogowi o to chodzi: abyśmy stali się tacy jak on. Nie chcemy tacy być.

Oczywiście, każdy ma prawo do gniewu. Problem zaczyna się, gdy gniew zamienia się w nienawiść, która zatruwa duszę. Tak, mówienie o tym podczas wojny jest trudne. Łatwo mówić o miłości nieprzyjaciół z bezpiecznego miejsca, z Rzymu, z Waszyngtonu. Inaczej, gdy trzeba głosić kazanie ludziom pod ciągłym ostrzałem, którzy każdego dnia słyszą o kolejnych ofiarach.

Łatwo tu o błąd?

Tak. Jak wtedy, gdy w Watykanie próbowano nieudolnie organizować gesty pojednania, gdy Ukrainka i Rosjanka niosły razem krzyż. To był przekaz, że ofiara i agresor niosą wspólny krzyż. Tymczasem my na razie niesiemy różne krzyże.

Jezus, gdy przebaczał swoim oprawcom, nie twierdził, że oni też niosą krzyż. To oni Go krzyżowali. Tego elementu wtedy w Watykanie zabrakło: zrozumienia, że nie wolno stawiać na jednym poziomie ofiary i oprawców. Przebaczenie nie oznacza zrównania agresora z ofiarą.

ARCHIWUM PRYWATNE

PETRO BALOG OP (ur. 1977) jest teologiem, przeorem klasztoru dominikanów w Kijowie. Wykładowca i były dyrektor Instytutu Nauk Religijnych św. Tomasza w Kijowie. Doktor teologii (doktorat napisał na UAM w Poznaniu). Autor książek i artykułów m.in. o relacjach między Kościołami Wschodnimi tradycji kijowskiej. Po polsku ukazała się jego książka „Podwójna koinonia. Projekt połączenia Kościoła greckokatolickiego i Kościołów prawosławnych na Ukrainie" (Wydawnictwo W Drodze, Poznań 2022).

Trzeba mówić o przebaczeniu, ale jednocześnie nazywać rzeczy po imieniu. Ofiara pozostaje ofiarą, a oprawca – oprawcą. Powinien mieć świadomość swojej winy. Tylko na takim fundamencie można myśleć o prawdziwym przebaczeniu.

Co mówić, gdy ktoś prosi o pocieszenie?

Najgorsze, co może się wydarzyć, to utrata nadziei. Dotyczy to nie tylko rodzin, które straciły kogoś bliskiego, ale też żołnierzy. Oni sami to mówią: stracić nadzieję to jest najgorsze, co może się zdarzyć. Dlatego tak ważne jest, by ludziom uświadamiać: nie wolno się poddawać, nawet jeśli wydarzyła się straszna tragedia. Chodzi o to, żeby pomóc człowiekowi utrzymać wiarę w to, że życie będzie trwać dalej. Że po tym dramacie świat będzie nadal istniał, nawet jeśli dziś trudno to sobie wyobrazić.

Na swoim blogu pisze Ksiądz, jaki będzie świat po Trumpie.

To raczej opowieść o tym, jakie będą Stany Zjednoczone po Trumpie i jaki to będzie miało wpływ na świat. Mówi się, że „wszystko się zmieniło", że „świat jest już inny". Jednak wciąż mam nadzieję, że to nie jest zmiana ostateczna.

Nie staję ani po stronie prawicy, ani lewicy. Trump był jednak reakcją części społeczeństwa USA, która była głęboko niezadowolona i głosowała nie „za kimś", ale „przeciw komuś". Oczywiście jego działalność mocno polaryzuje Amerykę. Obawiam się, że po nim może się pojawić mechanizm odwetu: wygra ktoś tylko dlatego, że jest „przeciw Trumpowi", a nie dlatego, że proponuje coś sensownego. To z kolei może prowadzić do jeszcze większej radykalizacji z drugiej strony.

Potrzebny jest ktoś wyważony. To dotyczy także Europy. Kiedyś istniała w Europie tradycja partii chrześcijańskich. Dziś ona zanika. Wprowadzanie chrześcijańskiej moralności do polityki nie polega na narzucaniu innym wiary. Nauczanie Kościoła, choćby w kwestii wolności religijnej, mówi jasno: trzeba szanować i wierzących, i niewierzących.

Politycy niekoniecznie powinni deklarować się jako religijni, ale powinni działać w duchu Ewangelii. Jeśli ktoś chce sprawować władzę w państwie i rządzić wszystkimi obywatelami, a nie tylko własnym elektoratem, to powinien być mężem stanu, a nie liderem jednej grupy.

A jaki będzie świat po Putinie?

To jeszcze trudniejsze pytanie. W USA są silne tradycje demokratyczne. Stany długo były wzorem demokracji i nawet poważne kryzysy da się tam jakoś przepracować.

Z Rosją jest inaczej. Zmieniały się systemy: carat, Związek Sowiecki, Jelcyn, Putin. Po Putinie też ktoś przyjdzie. Pytanie brzmi: co zrobić z całym tym dziedzictwem, z mentalnością, która kształtowała się przez stulecia? Rosja jest dziedzicem nie tyle Rusi Kijowskiej, co bardziej Ordy Mongolskiej. To odcisnęło piętno na rosyjskim myśleniu o władzy, państwie i człowieku. Dlatego po Putinie czeka Rosję żmudny proces. Zmiana systemu politycznego to jedno, ale zmiana mentalności to coś trudniejszego.

©℗ Rozmawiał JACEK TARAN

eprasa.pl 93c52441ba

Nowa mapa Eurazji

PIOTR KŁODKOWSKI

DEBATA | Czy Europejczycy mogą sprzymierzyć się z Azjatami dla swojego bezpieczeństwa? Pytanie to wcale nie jest abstrakcyjne – przyjrzyjmy się możliwym opcjom.

W XVI stuleciu Europa żyła w strachu przed potęgą Imperium Osmańskiego. Wydawało się, że jest ono niepokonane i będzie nieustannie poszerzać swoje włości.

Przekonanie to podzielał Ghiselin de Busbecq, ambasador Świętego Cesarstwa Rzymskiego w Stambule z lat 1554–62. Tak pisał w jednym ze swoich listów: „Turcy posiadają zasoby, które czynią ich potężnym imperium: nieporównaną siłę, nawyk zwyciężania, wytrzymałość w ciężkich chwilach, jedność, dyscyplinę, wstrzemięźliwość i czujność". Dalej ambasador ubolewał, że po europejskiej stronie „jest ogólna bieda, prywatny luksus, nadwątlona siła militarna, upadek ducha, brak wytrzymałości i ćwiczeń".

Najgorsze zaś jest to, dodawał Busbecq, że wróg „przyzwyczaił się do zwycięstw, a my do klęsk. Czy można mieć wątpliwości co do wyniku wojny? Jedynie Persja działa na naszą korzyść, ponieważ wróg, kiedy spieszy się do ataku, musi mieć baczenie na zagrożenie z tyłu. (...) Kiedy Turcy poradzą sobie z Persją, skoczą nam do gardeł, wspomagani potęgą całego Wschodu; nie mam odwagi powiedzieć, jak bardzo jesteśmy nieprzygotowani".

Te spostrzeżenia mogły wówczas wydawać się trafne. Dziś wiemy, że ambasador się mylił. Europa wcale nie była bezradna wobec Osmanów. Przeciwnie: to państwa europejskie, nawet jeśli podzielone, zaczęły po latach dominować, zaś Wysoka Porta powoli traciła swój imperialny status, aby na początku wieku XX, po I wojnie światowej, dokonać żywota.

Scenariusze wielowariantowe

Podobnym realizmem w swoich analizach cechowali się ci, którzy w wieku XX wieszczyli długie trwanie Związku Sowieckiego. Jak również ci, którzy przepowiadali wieloletnie panowanie Pax Americana. Ambasador de Busbecq miał i będzie miał jeszcze licznych naśladowców.

Rzecz jest jednak bardziej złożona. Ghiselin de Busbecq i jego następcy się mylili, owszem, ale nie tak całkowicie. Bo przecież Imperium Osmańskie przekształciło się w Turcję, co by nie powiedzieć – regionalne mocarstwo z drugą największą armią w NATO (po amerykańskiej). Rosja zaś nie jest dziś potęgą na miarę Związku Sowieckiego, jednak nadal zaliczana jest do grona mocarstw o światowym wpływie i ma duży potencjał destrukcji.

Słowem: nawet nietrafność przewidywań ma granice, a scenariusz przyszłych wydarzeń powinien być zawsze wielowariantowy. Trudno sensownie odpowiedzieć na pytania zero-jedynkowe: czy to Chiny, czy też USA będą dominować w przyszłości. Albo: czy dojdzie do czołowej konfrontacji państw demokratycznych z autorytarnymi. Lub też, czy Globalne Południe pokona ostatecznie świat Zachodu?

Odpowiedzi powinny być tu zniuansowane, nawet jeżeli niezbyt trafia to w gusta polityków, publicystów i odbiorców lubiących proste schematy.

„Dżu-dżitsu" i „boks": dwa podejścia

Nie tylko Chiny, także inne kraje Azji odgrywają coraz większą rolę w polityce Europy: Indie, Japonia, Korea Południowa, Wietnam. Rosyjska agresja w Europie ma implikacje także w Azji, a konflikty azjatyckie mogą wpłynąć na poziom bezpieczeństwa Starego Kontynentu.

Indyjski politolog Parag Khanna zwraca uwagę na różnicę w prowadzeniu polityki w świecie europejsko-amerykańskim i świecie azjatyckim. Europa, Rosja i USA często decydowały się na bezpośrednią konfrontację, na „boks" – powiada ten jeden z najciekawszych komentatorów azjatyckich – gdy tymczasem wiele krajów Azji stosuje metodę „dżu-dżitsu": uskoków, markowania uderzeń i oszukiwania wroga, by uniknąć konfrontacji bezpośredniej, a przynajmniej zredukować ją do minimum.

Przykład Rosji nie potrzebuje rozwinięcia. Podobnie interwencje USA w Afganistanie, Iraku czy ostatnio Wenezueli. Kraje Azji działają inaczej. Chiny, choć zbroją się na potęgę, nie prowadzą znaczących interwencji poza granicami. Pekin buduje swą pozycję dzięki gospodarce, technologiom, zręcznej polityce zagranicznej (w tym korumpowaniu obcych oficjeli), wywiadowi i globalnej propagandzie. Także Indie, wydające wiele na zbrojenia, unikają konfliktów, a starcia z Pakistanem są szybko kończone metodami dyplomatycznymi.

To nie oznacza, że państwa azjatyckie nie są gotowe na przejście z politycznego „dżu-dżitsu" do militarnego „boksu". Niełatwo jednak określić, gdzie za każdym razem byłaby czerwona linia. Niewykluczone, że w jej zdefiniowaniu będą miały udział państwa Zachodu, przede wszystkim USA.

Doktryna Primakowa w wydaniu Putina

Nawet mocarstwa potrzebują sojuszników, by zabezpieczać interesy i realizować cele. Przykładem strategia Kremla. Już w latach 90. XX w. Rosja pojęła, że nie może sama konkurować z USA i Zachodem. Stąd Jewgienij Primakow (szef wywiadu, dyplomacji i wreszcie premier) przedstawił doktrynę „trójkąta współpracy" z partnerami nie-zachodnimi: Chinami i Indiami.

Putin potwierdził wagę doktryny Primakowa. Już wiele lat temu mówił, że dla Rosji „Azja jest głębią strategiczną". Dziś używa jej jako zaplecza: z Iranu dostaje drony, z Korei Północnej amunicję i żołnierzy biorących udział w wojnie z Ukrainą. Ale Moskwie chodzi o coś jeszcze: konstruowanie platform umożliwiających podważanie porządku globalnego – tego, w którym świat euroatlantycki, głównie USA, ma nadal sporo do powiedzenia.

Przykładami BRICS+ i Szanghajska Organizacja Współpracy (SzOW), których członkami są Rosja, Chiny i Indie. Obie

eprasa.pl 93c52441ba

NATHAN LAINE / GETTY IMAGES

Prezydent Francji Emmanuel Macron i Narendra Modi, premier Indii, podczas szczytu AI Action Summit. Paryż, 11 lutego 2025 r.

platformy, skupiające kraje Globalnego Południa, stawiają sobie za cel budowę „wielobiegunowego świata". Proponują alternatywne formy współpracy wobec tych struktur, w których kluczową rolę grają kraje Zachodu.

Do grupy BRICS+ zaliczają się zarówno czołowi producenci ropy (Rosja, Iran, ZEA), jak i czołowi jej konsumenci (Chiny i Indie), co umożliwia Rosji osłabianie skutków sankcji. Dzięki obniżonym cenom za rosyjską ropę, Chiny i Indie mogły dotąd taniej finansować swój rozwój, a Moskwa mogła podtrzymywać swój budżet i kontynuować wojnę.

Owszem, Rosja jest słabszym partnerem Chin. Ale uczestnictwo w BRICS+ oraz SzOW daje jej możliwości kontrowania Zachodu. Dodajmy, że stara sowiecka narracja o rzekomo antykolonialnej polityce Moskwy, choć w Europie skompromitowana, jest dobrze pamiętana w krajach Globalnego Południa. Rzecz jasna, chodzi tu o potępianie dawnego kolonializmu europejskiego, nigdy rosyjskiego. Doktryna Primakowa w wydaniu Putina ma się dobrze.

Indyjskie obawy wobec Chin

Wielu dyplomatów, akademików i polityków twierdzi, że SzOW oraz BRICS+ stają się dziś czymś na kształt „China+" – narzędziami służącymi głównie interesom Pekinu. Pogląd ten głosi, że dzięki nim Chińczycy (z poparciem Moskwy i Teheranu) mogą „reformować" współczesny świat w mocnej kontrze wobec Unii Europejskiej i USA.

Ale to nie takie proste. Nie wszyscy członkowie tych ugrupowań podzielają antyzachodnie, a bardziej nawet antyamerykańskie resentymenty Chin i ich sojuszników. Wśród nich zaś najważniejsze są Indie – najludniejsze państwo świata, mocarstwo nuklearne, a wkrótce trzecia gospodarka globu.

Delhi od lat nie kryje obaw przed chińskim ekspansjonizmem, a zwłaszcza kontrolą przez Pekin głównych arterii wodnych na Oceanie Indyjskim – nawet jeżeli przykrywa to dyplomatycznymi frazesami o współpracy korzystnej dla obu stron.

Nic zatem dziwnego, że już w 2017 r. ówczesny szef sztabu generalnego, a później dowódca armii indyjskiej, generał Bipin Rawat oświadczył, że „Indie muszą być gotowe do walki na dwa i pół frontu". Co oznaczało stawienie jednocześnie czoła oddziałom chińskim i pakistańskim. Przy czym to „pół frontu" odnosiło się do operacji na terenie Kaszmiru, rejonu spornego z Pakistanem, skądinąd wiernego sojusznika Chin.

Rozsądną opcją zawsze jest zatem konstrukcja sojuszu Europy i USA ↦

eprasa.pl 93c52441ba

↦ z państwami, które – tak jak Indie – obawiają się imperialnej polityki Pekinu. Stąd też zainicjowanie w 2007 r. formatu QUAD (*Quadrilateral Security Dialogue*) przez japońskiego premiera Shinzo Abe we współpracy z szefem rządu Australii Johnem Howardem, indyjskim premierem Manmohanem Singhem i wiceprezydentem USA Dickiem Cheneyem.

Wyrafinowana strategia Delhi

QUAD nie jest wyłącznie platformą polityczną, ma też wymiar militarny, którym są wspólne ćwiczenia morskie. W 2017 r. premierzy Abe, Turnbull, Modi i prezydent Trump obwieścili plany ściślejszej współpracy w regionie Indo-Pacyfiku. Co było wyzwaniem wobec Chin, które już wcześniej nazwały ów sojusz „azjatyckim NATO" (raczej nietrafnie).

Kilka lat później, w marcu 2021 r., czterej sygnatariusze oświadczyli, że „podzielają wizję wolnego i otwartego Indo-Pacyfiku" oraz „opartego na regułach porządku morskiego na akwenach Mórz Wschodnio- i Południowochińskiego". Napięcia między Chinami a QUAD (i każdym z partnerów osobno) opisywano w kategoriach „nowej zimnej wojny" w regionie. W końcu w marcu 2022 r. szef chińskiej dyplomacji Wang Yi oświadczył, że Pekin „obawia się powtórzenia w Azji takiego konfliktu, jaki trwa między Rosją a Ukrainą".

Indie realizują w ten sposób politykę „równego dystansu": budują dobre relacje z Rosją i współpracę gospodarczą z Chinami, ale zbroją się na potęgę – bojąc się ich dominacji, a dodatkowo pragnąc wzmocnić swoją pozycję w relacjach z USA i krajami Azji, głównie Japonią. Owszem, uczestniczą w BRICS+ i SzOW, zgadzają się na swoją obecność w „trójkącie Primakowa". Ale głównie po to, by nie dopuścić do zbyt mocnych związków Pekinu z Moskwą. To wyrafinowana strategia, pasująca do metafory „dżu-dżitsu".

Teraz sprawy nabrały przyspieszenia: rząd w Delhi zadeklarował właśnie, że rezygnuje z zakupów rosyjskiej ropy (a przynajmniej znacząco je zredukuje). W odpowiedzi Trump wycofuje się z ceł na indyjskie towary. Co z tego wyniknie? Bliskie partnerstwo USA–Indie byłoby opłacalne dla obu stron. Oczywiście pod warunkiem, że Trump będzie postępować racjonalnie (przynajmniej w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa).

NATO JEST W GŁĘBOKIM KRYZYSIE. USA, najważniejszy gwarant porządku zrodzonego po II wojnie światowej, traktują półkulę zachodnią jako swoją strefę wpływów: nie chcą dalej zapewniać bezpieczeństwa Europie ani wspierać Ukrainy w jej walce z Rosją.

JAK POWINNA ZACHOWAĆ SIĘ POLSKA? Wciąż stawiać na Stany Zjednoczone, wierząc, że w momencie próby wypełnią swe zobowiązania? Skupić się na zacieśnieniu współpracy z europejskimi członkami NATO? Grać na czas, budując alternatywną koalicję państw, które – jak my – czują się zagrożone przez Rosję Putina?

NA ŁAMACH „TYGODNIKA" publikujemy debatę o polskiej strategii bezpieczeństwa, rozpoczętą artykułem Zbigniewa Parafianowicza i kontynuowaną tekstem Piotra Oleksego i Damiana Szacawy, a następnie Sławomira Dębskiego. Ciąg dalszy cyklu w następnym numerze.

Wszystkie materiały dostępne są w serwisie **TygodnikPowszechny.pl/debata-bezpieczenstwo**

Azjatyckie opcje Europy

Tymczasem Rosja, choć osłabiona gospodarczo wojną, nie rezygnuje z imperialnych ambicji. BRICS i SzOW są wyzwaniem dla Zachodu. Chiny budują sieć sojuszy, które mogą zagrozić stabilności Europy, a Trump osłabia więzy transatlantyckie. Do tego dochodzą podziały ideologiczne w samej Europie, ciągłe zagrożenie masową migracją, słabnąca gospodarka. Tak, to może budzić niepokój o Europę, jak w czasach ambasadora de Busbecqa.

Z drugiej strony jej potencjał technologiczny, jej innowacyjność (zgoda, że podważana przez przedsięwzięcia USA i Chin), wielkość demograficzna czy możliwości militarne wciąż dowodzą wysokiej globalnej pozycji Europy. Co więcej, zniuansowana polityka zagraniczna (unijna i realizowana indywidualnie) pozwala na jej odpowiednie usytuowanie na euroazjatyckiej mapie.

Przykłady dają do myślenia. Za pierwszej kadencji Trumpa, gdy Stany wycofały się z porozumień o wolnym handlu w Azji, Unia Europejska pospieszyła z własnymi ofertami, podpisując takie umowy z Japonią i Wietnamem. Teraz, za drugiej kadencji Trumpa, Unia finalizuje porozumienia z Indiami i Indonezją. W 2023 r. Wielka Brytania i Japonia podpisały umowę o współpracy wojskowej, a Francja rozważa podobną z Filipinami.

Paryż jest zresztą od dawna aktywny w Azji, budując relacje z Indiami w obszarze wojskowym i technologii jądrowej. Francja dostarcza sprzęt lotniczy i udostępnia armii indyjskiej własne bazy na Oceanie Indyjskim i południowym Pacyfiku. Uczestniczy też we wspólnych ćwiczeniach i jest zainteresowana zacieśnieniem współpracy z krajami QUAD.

Aparna Pande z think-tanku Hudson Institute uważa nawet, że to Francja zastąpi w przyszłości Rosję jako partner strategiczny dla Indii, podważając tym doktrynę Primakowa. Dziś nie jest to realistyczne. Ale w ciągu najbliższych lat, kto wie?

Łuk bezpieczeństwa euroazjatyckiego

Tymczasem w państwach Azji Wschodniej i w Australii, podobnie jak w Indiach, imperialna polityka Chin jest od lat powodem do niepokoju o własne bezpieczeństwo, zaś sojusz Pekinu z Moskwą budzi skojarzenia agresji w Ukrainie z sytuacją wokół Tajwanu.

Nic dziwnego, że Japonia, Korea Południowa i Australia są wśród czołowych donatorów pomocy dla Kijowa, w tym amunicji dostarczanej bez rozgłosu. Tokio przeznaczyło ponad 15 mld dolarów dla Ukrainy (i planuje wydatkowanie kolejnych 3,5 mld). Japończycy są zresztą gotowi do współpracy z Europejczykami: wspólnie z Włochami i Brytyjczykami planują konstrukcję myśliwca szóstej generacji, co byłoby zapowiedzią mocniejszych relacji wojskowych. Podobne procesy mają miejsce w naszej części kontynentu – przykładem polska kooperacja z Koreańczykami.

Unia Europejska nadaje instytucjonalne ramy wzajemnym kontaktom, podpisując w 2024 r. umowy o współ-

eprasa.pl 93c52441ba

pracy w dziedzinie bezpieczeństwa i obronności z Japonią i Koreą Południową, a Australia zacieśnia relacje z NATO.

W ten sposób stopniowo tworzy się nieformalny „łuk bezpieczeństwa euroazjatyckiego” – choć trudno dziś stwierdzić, jaki przybierze kształt i jaka będzie w nim rola USA.

To „łuk” o charakterze obronnym, z założenia blokujący ekspansjonistyczne plany Rosji i Chin, próbujący zredukować wspomnianą „głębię strategiczną” Kremla w Azji. Zadanie jest piekielnie trudne i rozłożone na lata. Wymagające działań dyplomatycznych w stylu „dżu-dżitsu”, ale z zachowaniem potencjału do militarnego „boksu”.

Rozwiązanie optymalne

Oczywiście największym wyzwaniem – i dla Unii, i dla jej poszczególnych krajów – są stosunki z Chinami. Nie ma co ukrywać: polityka Pekinu szkodzi bardziej interesom amerykańskim niż europejskim, choć współpraca z Moskwą i pośrednie finansowanie jej awanturniczej strategii są zagrożeniem także dla Europy i Polski. Jednak czołowa konfrontacja z Rosją i Chinami jednocześnie, i to z niepewnym wsparciem USA, byłaby samobójcza. Dlatego warto brać pod uwagę koncepcję prezydenta Macrona o strategicznej autonomii Europy w konflikcie USA–Chiny.

Innymi słowy: optymalnym rozwiązaniem byłoby usytuowanie się Europy nie jako strony w sporze Chin z Ameryką, lecz jako trzeciego bieguna trójkąta strategicznego. Dzięki czemu nie tyle unika się wciągnięcia w konflikt, ile stara się osłabić ryzyko zbyt mocnego konfliktu między dwoma mocarstwami. Trochę to przypomina strategię indyjską wobec Pekinu: współpracę tam, gdzie to korzystne obopólnie, i blokowanie ekspansji Chin przez system sojuszy tam, gdzie to konieczne ze względów bezpieczeństwa.

Rzecz jasna czerwoną linię stanowiłaby agresja Chin na Tajwan: wówczas trudno byłoby mówić o jakiejkolwiek współpracy. Ale to scenariusz dystopijny, o skutkach niemożliwych do przewidzenia.

Współczesny naśladowca ambasadora de Busbecqa powiedziałby, że zagrożenie znów czyha ze Wschodu, tym razem w postaci sojuszu chińsko-rosyjskiego, a Europa nie jest przygotowana do jego odparcia. Niewykluczone jednak, że znów by się pomylił, i że Europejczycy, mimo podziałów i sporów, będą w stanie wyjść zwycięsko z konfrontacji, a przynajmniej uchronić cały kontynent przed agresją militarną czy ekonomiczną. I to dzięki współpracy na całym kontynencie euroazjatyckim. © PIOTR KŁODKOWSKI

Autor jest profesorem UJ i profesorem wizytującym na University of Rochester, stały współpracownik „TP”, w latach 2009-14 był ambasadorem w Indiach. Ostatnio wydał książkę „Azjatycka Wielka Gra. Indie i Azja Południowa w sporze o regionalną i globalną dominację w XX i XXI wieku”, za którą otrzymał Nagrodę im. J. Długosza. Autor dziękuje ambasadorowi Tomaszowi Orłowskiemu za cenne wskazówki.

REKLAMA

festiwal
nowe epifanie
18.02 – 29.03
warszawa 2026
teatr / taniec / performans / muzyka / film
czyniąc sobie
ziemię poddaną
Program festiwalu i bilety:
noweepifanie.pl
17.
nowe ε pifanie
Organizator
Współfinansowanie
Mecenat

eprasa.pl 93c52441ba

HISTORIA

SIOSTRY W KAPTURACH

Gdy w średniowiecznym Kościele nastał czas fermentu, także one chciały coś zmienić. Beginki: pobożne kobiety, pragnące żyć w ubóstwie i duchu Ewangelii. Opowiedzmy ich historię.

ANNA BRZEZIŃSKA

ALAMY / BE&W

Portret fotograficzny młodej beginki z książką, z albumu Carela Frederika Cordesa, 1882-1900 r.

eprasa.pl 93c52441ba

Ich oddolny ruch narodził się prawdopodobnie u schyłku XII stulecia w diecezji Liège; dziś to francuskojęzyczna część Belgii. W europejskim chrześcijaństwie był to czas duchowego ożywienia. Wielu świeckich, mężczyzn i kobiet, rozczarowanych Kościołem – jego odejściem od ubóstwa i pokory – zaczęło szukać osobistych dróg kontaktu z Bogiem. Chcieli naśladować Chrystusa. Ale nie chcieli (lub nie mogli) ubrać sutanny czy habitu.

Papiestwo, podejrzliwe wobec idei powszechnego apostolstwa – a zwłaszcza kobiet usiłujących wspiąć się na kazalnicę – zajmowało wobec tych ruchów zmienne stanowisko. Franciszek i Klara zostali świętymi. Wielu innych, im podobnych, uznano jednak za heretyków.

Nowy rodzaj świętych

Pierwsze beginki miały szczęście: zyskały potężnego adwokata w osobie Jakuba z Vitry, późniejszego biskupa Akki w Palestynie. Jego duchową matką była Maria z Oignies, jedna z pierwszych beginek.

Gdy na początku XIII w. Jakub pisał żywot Marii z Oignies – to pierwszy hagiograficzny tekst poświęcony świeckiej kobiecie – przedstawił w nim beginki jako wspólnotę „świętych dziewic". Takich, które – choćby pochodziły z bogatych rodzin – z miłości do Chrystusa odrzucają ziemskie dostatki, by żyć w pokorze i ubóstwie.

W osobie Marii z Oignes (zmarłej w 1213 r., w wieku 36 lat) i jej towarzyszek Jakub widział nowy rodzaj świętych. Podkreślał ortodoksyjny charakter ich wspólnoty. Pisał, że beginki – w przeciwieństwie do heretyków – darzą szacunkiem Kościół i nie podważają roli sakramentów. Zdołał nawet przekonać papieża Honoriusza III, że „pobożne kobiety" z Flandrii i Brabancji prowadzą godne pochwały życie chrześcijańskie.

W oczach im współczesnych beginki wymykały się fundamentalnemu podziałowi na świeckich i duchownych. Nie składały ślubów zakonnych, lecz żyły jak zakonnice, zachowując ubóstwo i czystość. Ich decyzja o dołączeniu do wspólnoty nie była, jak w zakonach, ostateczna: w każdej chwili mogły odejść, wrócić do zwykłego życia, wyjść za mąż. Pracę fizyczną (w szkołach, szpitalach, przytułkach) łączyły z modlitwą i ascezą.

Niektóre poświęcały się kontemplacji, inne wiodły aktywne życie „w świecie". Gdyż, jak pisał XIII-wieczny francuski poeta Rutebeuf, beginka może być zarówno Martą, jak i Marią.

Skomplikowane relacje

Członkinie tych nowych wspólnot w nieuchronny sposób porównywano z mniszkami. Niemiecki cysters Cezary z Heisterbachu pisał z aprobatą, że beginki żyją wśród świeckich, noszą świecki ubiór, lecz miłością do Boga przewyższają inne wspólnoty zakonne.

Jednak część duchowieństwa widziała w nich w najlepszym razie kobiety pozbawione kontroli i opieki duchowych przewodników. Utyskiwano, jakoby podszywały się pod zakonnice, na dodatek samodzielnie czytając i komentując Pismo Święte. Szybko też zaczęto zarzucać im związki z herezjami. Łączono je z albigensami, z begardami, tzw. herezją wolnego ducha czy wreszcie z potępionymi przez Kościół spirytuałami.

Skomplikowane były także relacje beginek z zakonami żebrzącymi. Niektóre z kobiet szukały protektorów, opiekunów duchowych i spowiedników wśród dominikanów czy franciszkanów. Przykładowo najstarsza społeczność beginek w Prowansji, znana jako „panie z Roubaud", została założona przez Dulcelinę, siostrę franciszkanina Hugona z Digne; przesycał ją duch franciszkańskiego ubóstwa.

Jednak w innych miejscach zdarzało się, że członkowie zakonów żebrzących postrzegali beginki jako konkurentki do datków – oraz jako model świętości konkurencyjny wobec modelu zakonów świeckich.

„Oblubienice Chrystusa"

Oskarżano je też o hipokryzję. Wilhelm z Saint-Amour, XIII-wieczny francuski teolog, pisał, że beginki obcinają włosy i noszą skromne stroje, gdyż chcą wydawać się bardziej świątobliwe niż inne kobiety. Grzeszą jednak obłudą, dowodził Wilhelm, bo udają strojem zakonnice, choć nimi nie są. Na dodatek słuchają fałszywych kaznodziejów i zbierają datki, które należy dawać prawdziwym biednym.

Bardziej dosadnie wyrażał się wspomniany poeta Rutebeuf: przypisywał on beginkom niemoralność i dowcipkował, że w Paryżu jest wiele beginek, które noszą szerokie suknie, ale on, Rutebeuf, nie potrafi powiedzieć, co robią pod nimi.

Rutebeuf zaznaczał przy tym, że nie śmie źle mówić o beginkach, bo król tego nie zniesie. Dla przetrwania tych wspólnot kluczowe było bowiem poparcie władców i lokalnych społeczności. Ogromne znaczenie miała też bulla Grzegorza IX z 1233 r. „Gloriam virginalem" (Chwała dziewictwa), w której papież nazywał beginki oblubienicami Chrystusa i chwalił ich sposób życia.

Rozproszone, różnorodne

Z czasem wspólnoty beginek z miast Brabancji i Flandrii rozprzestrzeniły się po Europie – od francuskiej Prowansji aż po Śląsk. Nigdy nie utworzyły jednego spójnego modelu życia – czegoś na wzór własnej reguły zakonnej. Pozostawały bardzo różnorodne – co zresztą przyczyniało się do ich sukcesu.

Niektóre beginki mieszkały więc wraz ze swoimi rodzinami lub we własnych domach, z jedną lub kilkoma towarzyszkami. Inne łączyły się w małe wspólnoty pod opieką miejscowych duchownych. Jeszcze inne wybierały wielkie beginaże – wspólnoty funkcjonujące na kształt klasztorów, otoczone murami i żyjące według zasad, pod zwierzchnictwem przełożonych. Czasem beginki tworzyły też własne parafie, a czasem wędrowały między miastami. Te ostatnie budziły największe obawy duchownych.

Różnie też rozumiały ewangeliczne ubóstwo. Beginki z Langwedocji zachowywały je rygorystycznie. Żarliwie wsparły spirytuałów w ich sporze z papiestwem, a gdy zostali oni potępieni, wraz z nimi cierpiały represje. Lecz kobietami, które w początkach XIV w. płonęły w Langwedocji na stosach jako beginki, faktycznie często były tercjarki franciszkańskie, które już św. Bonawentura określał pojęciem „beghine".

Niektóre z nich – jak Na Prous Boneta, francuska beginka z Carcassonne, stracona w 1328 r. jako heretyczka – uważały, że Kościół, wyrzekając się ewangelicznego ubóstwa, całkowicie odszedł od nauczania Chrystusa i teraz przewodzi mu papież-antychryst.

Z pracy własnych rąk

To zamieszanie pojęciowe wiązało się z faktem, że w wiekach XIII i XIV słowo „beginka" (po francusku *béguines*) miało ↦

eprasa.pl 93c52441ba

ALAMY / BE&W

Zakonnice i zakonnicy na XIX-wiecznej rycinie, beginka pierwsza z lewej.

↦ wiele znaczeń, a i świeckie pobożne kobiety określano wieloma mianami. Na dodatek natura źródeł historycznych sprawia, że dziś, po wiekach, łatwiej dostrzec nam heretyczki niż bezimienne pobożne niewiasty, które całe życie spędziły w służbie Bogu i bliźnim, nie dając nikomu okazji do zgorszenia czy obmowy.

Niepiśmienną Na Prous Bonetę z południa Francji, która widziała w sobie żywy sakrament i wyglądała rychłego końca czasów, w istocie mało łączyło z tymi beginkami, które prowadziły szkoły w Valenciennes na północy Francji czy w Mechelen (dziś w Belgii). Jeszcze mniej miała ona wspólnego z szacowną paryską mieszczką i beginką Marie Osanne. Ta, jak wiele paryskich beginek, zajmowała się produkcją i handlem jedwabiem; w rejestrze podatkowym z 1292 r. figurowała wśród najbogatszych kupców.

Dla tych beginek z Paryża praca rąk stanowiła integralną część życia religijnego. Produkcja jedwabiu, w której się specjalizowały, wymagała kapitału i kontaktów handlowych. Paryskie beginki mogły się w nią angażować, jako że – zgodnie z miejscowym modelem dziedziczenia – niezamężnym kobietom przypadała tam część rodzinnego majątku.

Nawet beginki mieszkające w królewskim beginażu – utworzonym w 1254 r. przez króla Francji Ludwika Świętego na wzór wielkich flandryjskich beginaży – zachowywały kontrolę nad osobistym majątkiem.

Beginki, które posiadały stosowny kapitał, prowadziły więc w Paryżu warsztaty i tworzyły sieci produkcyjno-handlowe, dając pracę i wsparcie uboższym siostrom. W efekcie w Paryżu słowo „beginka" nie musiało oznaczać członkini wspólnoty, lecz po prostu nabożną i niezamężną kobietę, żyjącą z pracy własnych rąk.

Pod groźbą herezji

Największym zagrożeniem dla wszystkich tych kobiecych wspólnot było podejrzenie o herezję. Zaś punktem zwrotnym w historii ruchu „pobożnych kobiet" stał się sobór we Vienne (południowa Francja) i uchwalona tam konstytucja „Cum de quibusdam mulieribus" (O niektórych kobietach), w której beginki potępiono i nakazano im powrót do świeckiego życia.

Papież Klemens V i dostojnicy kościelni, zebrani w latach 1311-1312 we Vienne, opisali w niej beginki jako kobiety, które nikomu nie przyrzekają posłuszeństwa i nie wyrzekają się własności, w żadnym więc wypadku nie mogą być uważane za zakonnice, choć noszą tzw. habity beginek. Przede wszystkim zaś zarzucono im rozpowszechnianie heretyckich twierdzeń na temat artykułów wiary i sakramentów.

Czy zarzuty były zasadne? Trzeba pamiętać, że na gruncie duchowości beginek wyrosło wiele wybitnych mistyczek, których bynajmniej nie potępiono za herezję. To np. Hadewijch (pisząca po niderlandzku) czy Mechtylda z Magdeburga (pisząca po dolnoniemiecku).

Jednak pisma innych rzeczywiście budziły kontrowersje. Symbolem tych sporów stała się Małgorzata Porete, spalona w Paryżu na stosie w 1310 r. za złamanie kościelnego zakazu posiadania, kopiowania i rozpowszechniania książki, którą napisała.

Książką tą było „Zwierciadło prostych dusz": traktat o możliwości mistycznego zjednoczenia z Bogiem. Doskonała dusza, pisała w nim Małgorzata, nie potrzebuje do zbawienia Kościoła z jego sakramentami i mszą, ani nawet dobrych uczynków, bo gdy stanie się jednością z Bogiem, nie będzie grzeszyć ani pragnąć czegokolwiek złego i wbrew Bogu.

Jej poglądy potępiono, lecz „Zwierciadło..." pozostało tekstem wpływowym, kopiowanym i czytanym w klasztorach; doczekało się też wielu tłumaczeń na języki narodowe.

Czas prześladowań

W dekadę po egzekucji Małgorzaty, angielski teolog John Baconthorpe nazwał ją beginką, która napisała małą książkę przeciwko duchowieństwu i została za to spalona. Dziś niektórzy historycy uważają, że na radykalne postanowienia soboru we Vienne, który miał miejsce tuż po jej śmierci, wpływ mogły mieć właśnie poglądy Małgorzaty.

Przede wszystkim jednak – co słusznie zauważył już John Baconthorpe – na losach beginek zaważyły niechęć i podejrzliwość między nimi a duchownymi. Po Vienne lokalni duchowni, uzbrojeni w papieskie potępienie, doprowadzili do wielu prześladowań – zwłaszcza w Nadrenii, Turyngii czy Alzacji, gdzie beginki płonęły na stosach. Część wspólnot opustoszała. Ich mieszkanki szukały opieki miejscowego duchowieństwa, wstępowały do zakonów, wracały do rodzin albo uciekały.

eprasa.pl 93c52441ba

Gdzieniegdzie jednak po prostu zmieniano nazwy wspólnot – i raptem beginki stawały się po prostu „pobożnymi dziewicami i wdowami" pod protekcją miejscowego biskupa, nadal ciesząc się „starożytnymi przywilejami".

Beginki szanowano na wielu dworach i wkrótce ich dobroczyńcy jęli zabiegać w Rzymie o aprobatę dla wspólnot od dawna powiązanych z ich rodami. Niebawem papież skorygował wcześniejsze potępienie, wskazując, że istnieją też ortodoksyjne beginki, których nie wolno prześladować.

Teraz jednak należało odróżnić beginki „dobre", ortodoksyjne, od tych „złych", heretyckich.

Proces w Świdnicy

Próbą takiego oddzielenia „ziarna od plew" był także proces, który w 1332 r. w śląskiej Świdnicy przeprowadził trybunał kierowany przez inkwizytora Jana ze Schwenkenfeldu.

Mieszkanki tamtejszego beginaża wypowiadały się o duchownych z pogardą i – jak relacjonowała jedna z nich, Adelajda – twierdziły, że gdyby mogły głosić kazania, robiłyby to lepiej niż kapłani. Własne modlitwy uważały za skuteczniejsze niż modlitwy księży.

Utrzymywały też, że mają w sobie taką boskość, iż nie muszą oddawać czci Eucharystii, gdyż jest ona tylko symbolem. I że wystarczy, jeśli któraś weźmie kawałek chleba i wypowie nad nim słowa „Oto ciało moje", a zostanie on przeistoczony, jak w sakramencie sprawowanym przez kapłana.

Z taką samą dezynwolturą świdnickie „siostry w kapturach" traktowały obowiązek uczestniczenia w niedzielnej mszy. Młodsze członkinie wspólnoty zeznały podczas procesu, że starsze w niedzielę zajmują się przędzeniem, szyciem i innymi pracami w warsztacie tkackim, twierdząc, że taka praca nie jest grzechem. Nie zachowywały też postów, nie spowiadały się i zniechęcały młodsze do spowiedzi. Praca rąk, ubóstwo oraz bardzo surowe umartwienia miały wystarczyć, by zapewnić im zbawienie.

Ich poglądy niepokojąco przypominały błędy, jakie w bulli „Ad nostrum" przypisano herezji wolnego ducha – i nic dziwnego, że przyciągnęły uwagę inkwizytora.

Przekonane o doskonałości

Niewykluczone, że na wszczęciu postępowania inkwizycyjnego zaważył konflikt w świdnickiej wspólnocie, a konkretnie – sprzeciw młodszych sióstr wobec surowości form ascezy narzucanych im przez starsze.

Starsze siostry wymagały bowiem od młodszych bezwzględnego posłuszeństwa, mówiąc, że muszą się ugiąć. Ich praktyki pokutne przybierały krańcowe formy. Adelajda zeznała, że z powodu nierozważnych ćwiczeń i pozbawionych umiaru biczowań jedna z sióstr popadła w obłęd. Gdy została znaleziona u trędowatych, tłumaczyła, że osiągnęła taką doskonałość, że nie musi jeść ani pić, gdyż żywi ją Chrystus.

Jednak wieloletnie mieszkanki świdnickiej wspólnoty były przekonane o doskonałości swojej pobożności. „My jesteśmy tymi, które zachowują dziesięć przykazań", miały mawiać, „my jesteśmy tymi, które podążają za radami Ducha Świętego, my jesteśmy tymi, które żyją według Ewangelii, mamy prawdziwą wiarę, którą chcemy wyznawać i poddawać próbie przed królami i książętami".

Broniąc własnego modelu pobożności, przekonane o uświęcającej roli pracy, przywoływały obraz Maryi pracującej w świątyni przy czyszczeniu i wykonywaniu innych prac służebnych. Gdyby tego nie czyniła, nigdy nie stałaby się matką Chrystusa, twierdziły. Przekonywały też, że gdyby Chrystus miał się teraz narodzić, wciąż można by było znaleźć tak czystą dziewicę, jaką była Maryja. Jak się można domyślać, właśnie w gronie beginek.

Po wiekach

Akta procesowe się nie zachowały. Dokument notarialny z 1332 r. z zeznaniami świdnickich beginek (wydany w 2017 r. przez Pawła Krasa, Tomasza Gałuszkę OP i Adama Poznańskiego) nie zawiera sentencji wyroku, nie wiemy więc, jak się skończył ich proces.

Zdaje się jednak, że wspólnota przetrwała, bo kilka dekad po procesie w Świdnicy nadal żyły beginki. Gdyż, jak z przekąsem pisał Jan Busch, XIV-wieczny niemiecki reformator życia zakonnego, kto chciałby potępić wszystkie beginki i siostry w Niemczech, musiałby wysłać większość chrześcijan do piekła.

W XIV stuleciu kolejne domy beginek powstawały w Sandomierzu, Krakowie, Kazimierzu, Poznaniu, Wrocławiu i wielu większych i mniejszych europejskich miastach. Uposażane i wspierane przez nabożnych dobroczyńców, także członków panujących rodów i miejskiego patrycjatu.

Beginki nadal modliły się i pracowały, lecz świat wokół nich się zmieniał, a reformacja i kontrreformacja przyniosły nowe formy religijności. Pomimo to niektóre z niderlandzkich wspólnot przetrwały aż do naszych czasów. © ANNA BRZEZIŃSKA

MARY EVANS PICTURE LIBRARY / BE&W

Rycina przedstawiająca beginkę z ilustrowanego dzieła francuskiego księdza i historyka L'Abbé Tirona „Historia i stroje zakonów religijnych, cywilnych i wojskowych", 1845 r.

eprasa.pl 93c52441ba

REKLAMA

MELISANA
Klosterfrau
Original

Dostępna bez recepty.

200 *lat tradycji** *w leczeniu:*

- BÓLU BRZUCHA I WZDĘĆ NA TLE NERWOWYM
- WSPOMAGAJĄCO PRZY OBJAWACH PRZEZIĘBIENIA I GRYPY
- POWYSIŁKOWEGO BÓLU MIĘŚNI
- TRUDNOŚCI Z ZASYPIANIEM

MELISANA
Klosterfrau
Original

Płyn doustny, płyn na skórę

HISTORIA MELISANY

* Historia Melisany sięga 1815 roku i legendarnej bitwy pod Waterloo. To wtedy zakonnica Maria Clementine Martin opracowała recepturę na bazie leczniczych ziół, pomagającą żołnierzom w stanach napięcia i bólu. Jej preparat zyskał uznanie króla Prus i stał się podstawą kultowej formuły produkowanej nieprzerwanie do dziś.

MEL.2025.06.02.2

Melisana Klosterfrau Original, płyn doustny, płyn na skórę. Produkt złożony. Wskazania do stosowania: Stosowanie doustne: w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w celu ułatwiania zasypiania, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagająco jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach i powysiłkowych bólach mięśni. Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o.

Tradycyjny produkt leczniczy roślinny z określonymi wskazaniami wynikającymi wyłącznie z długotrwałego stosowania.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Nie przekraczaj maksymalnej dawki leku. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

eprasa.pl 93c52441ba

PRAWDA | WOLNOŚĆ SŁOWA
NIEZALEŻNOŚĆ | RZETELNOŚĆ
WIARYGODNOŚĆ | DIALOG
MIŁOŚĆ SPOŁECZNA | WOLNOŚĆ
DEMOKRACJA | ZNACZENIE
AUTENTYCZNOŚĆ | PRAWA
CZŁOWIEKA | DZIEDZICTWO
PAMIĘĆ | ODPOWIEDZIALNOŚĆ
SPOŁECZEŃSTWO | UCZCIWOŚĆ
GODNOŚĆ | SZACUNEK | DOBRO
NAUKA | KULTURA | EDUKACJA

1,5%

To, co ważne, zapisaliśmy w statucie Fundacji.
To, co możliwe, zależy od Waszego wsparcia.
Naprawdę.

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

» KRS 0000 125 605

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania?
Napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl – chętnie pomożemy!

OPP

eprasa.pl 93c52441ba

POKUTA TO KONKRET

BP ARTUR WAŻNY, ORDYNARIUSZ DIECEZJI SOSNOWIECKIEJ:

Trzeba przestać chronić system, a zacząć chronić człowieka. Moją pokutą jest budowanie takich struktur, które są przejrzyste i stawiają człowieka w centrum.

AGNIESZKA SIDEŁKO / DIECEZJA SOSNOWIECKA

eprasa.pl 93c52441ba

ARTUR SPORNIAK: Dlaczego mimo spadku frekwencji na niedzielnych mszach w Środę Popielcową kościoły w Polsce są pełne?

BP ARTUR WAŻNY: Jeszcze pełne. Ludzie lubią znaki, które...

Niewiele kosztują?

To prawda. Jednak znak posypania głów popiołem jest też publicznym wyznaniem wiary. Popiół przypomina, że nie powinniśmy budować na własnych siłach. Dla wielu ten gest jest ważny, bo symbolicznie (choć niesakramentalnie) ma pomóc w zmianie życia. Liczymy na to, że w Wielkim Poście coś może się przesunąć: trudne sprawy zostaną uporządkowane, a dobre decyzje wprowadzone w życie. I paradoksalnie, ponieważ obecność na mszy w Środę Popielcową nie jest obowiązkowa, wielu ludzi wtedy przychodzi. To dla nas – duszpasterzy – sygnał, że trzeba w Kościele zaproponować ludziom większą wolność.

Pokuta jest nam niezbędna?

Dyscyplinuje nas i zaprasza do powrotu do tożsamości. Codzienność sprawia, że nasze życie rozlewa się bez kierunku. A gdy chcemy przywrócić temu rozlewisku granice brzegów, powstaje rzeka, która ma swoją nazwę, swoją tożsamość. Pokuta jest zaproszeniem do odnalezienia siebie w relacji do Pana Boga. Kim jestem? Kim dla mnie jest Bóg? To nie jest szukanie dodatkowych cierpień, wręcz odwrotnie – jest to odnajdywanie takich miejsc, zjawisk, sytuacji w moim życiu, które są obciążeniem, które mnie ranią, i pozwolenie, żeby Pan Bóg w nich zaczął działać. Dla mnie pokuta, asceza, dyscyplina jest formą karmienia nadziei. Dzisiaj wielu żyje bez nadziei, bo traci cel zasadniczy, jakim jest Bóg. Każdy z nas realizuje różne cele – i dobrze. Ale jeśli nie są ustawione, wobec tego najważniejszego, prędzej czy później przychodzi rozczarowanie. Można wiele zdobyć, a jednocześnie stracić siebie. Kiedy mamy w życiu za dużo wszystkiego, zaczynamy się wewnętrznie rozpraszać. Post, asceza, pokuta pomagają wrócić do środka. Pokuta to też odwyk od bożków, które mnie wysysają i mną rządzą.

Na przykład?

Że muszę mieć zawsze rację, muszę się zawsze dobrze zaprezentować, itd.

A Ksiądz Biskup pości?

Obecnie raczej z konieczności, z powodów zdrowotnych. Gdy prowadziłem duszpasterstwo studentów, spróbowaliśmy połączyć post, modlitwę i jałmużnę: mniej jem, mam więcej czasu na modlitwę, a zaoszczędzone pieniądze przekazuję potrzebującym. Mówiliśmy też, że post karmi nadzieję, modlitwa wiarę, a jałmużna miłość. A te trzy cnoty duchowe łączą nas z Panem Bogiem. Młodzi to chętnie podejmowali, bo to było konkretne zadanie, a my lubimy konkret. Popiół sypany w Środę Popielcową też jest konkretem.

Czy Kościół jako instytucja potrzebuje publicznej pokuty?

Patrzę z mojej perspektywy. Nie jestem prezesem korporacji. Czuję się ojcem, który bierze na siebie dług synów czy braci. Ale też na tym polega pokuta, że chcę się solidaryzować z tymi, którzy albo jej nie rozumieją, albo nie potrafią pokutować. Instytucjonalna pokuta ma polegać na tym, żeby przestać chronić system, a zacząć chronić człowieka. W kontekście mojej diecezji myślę, że chodzi o to, żeby nie odwracać uwagi od kłamstwa, od cierpienia, od ran. Moją pokutą jest budowanie takich struktur, które będą przejrzyste, stawiające człowieka w centrum. Jeżeli jest grzech strukturalny, potrzebna jest pokuta instytucjonalna, a ten który przewodzi, powinien być w tym pierwszy.

Są trzy elementy pokuty: wyznanie grzechów, szczery żal i zadośćuczynienie. Jak to się przekłada na pokutę instytucjonalną?

Nie ma prawdziwej pokuty bez czynów. Nawrócenie dzieje się w relacji do tego, który jest skrzywdzony i potrzebuje pomocy. Ta relacja zaczyna się od słuchania – nawet w poczuciu dyskomfortu, że usłyszę coś, co jest bardzo trudne. To jest jakby liturgia poza kościołem. Gdzieś na peryferiach życia tej osoby chcę ją spotkać i zobaczyć, że Jezus chce w tym miejscu tę liturgię spotkania celebrować. Ważne, że prawdziwa pokuta i nawrócenie mają zawsze adresata. I numer konta.

Żeby zadośćuczynienie też stało się konkretem. Czy jest na to jakiś specjalny fundusz w diecezji sosnowieckiej?

Episkopat przez Fundację św. Józefa uruchomił fundusz ogólnopolski, na który składają się księża. Wciąż duża część nie rozumie, dlaczego mają na ten fundusz łożyć. Bardziej rozumieją to świeccy, że solidarność w Kościele to punkt ciężkości i że jest ona związana z pokutą i zadośćuczynieniem. Kiedy zorganizowałem rekolekcje dla księży i zaprosiłem osobę skrzywdzoną, po jej świadectwie przyszło do mnie kilku kapłanów i powiedziało: „Od dziś płacimy na Fundację św. Józefa". Trzeba poruszenia serca, żeby zmieniło się myślenie i pociągnęło za sobą czyny.

W diecezji nie uruchomiłem jeszcze takiego funduszu, bo mam świadomość, że mogłoby to nie spotkać się ze zrozumieniem. Mam świadomość, że muszę najpierw przygotować księży, dlatego dwie godziny przed spotkaniem z mediami to właśnie oni poznali raport niezależnej komisji.

Jak go przyjęli?

Wciąż dla niektórych takie działania kojarzą się z atakiem na Kościół i wiarę. Dla mnie komisja i jej raport są obroną wiary i godności człowieka. Wierzę, że powstanie fundusz diecezjalny. Osobom, które się zgłosiły i których krzywda została potwierdzona, staramy się pomagać już teraz. W kilku sprawach doszliśmy do porozumienia zawierając ugody. Nie chcemy się sądzić i w większości sami skrzywdzeni także nie chcą drogi sądowej. Najważniejsze jest dla nich wsparcie w postaci terapii, realna pomoc w powrocie do równowagi i poczucia bezpieczeństwa. Chcemy, by mieli nie tylko pomoc psychologiczną, ale i poczucie sprawiedliwości, konkretne wsparcie, które pozwoli im zacząć żyć bez ciężaru samotności i bezradności.

Ile jest takich osób?

Na razie kilka. Jeśli jednak chodzi o ostateczny wynik pracy komisji, to osób ↦

BP ARTUR WAŻNY
(ur. 1966 r.) – ordynariusz diecezji sosnowieckiej (od 2024 r.), wcześniej biskup pomocniczy tarnowski, doktor teologii pastoralnej, duszpasterz akademicki, przewodniczący Zespołu ds. Nowej Ewangelizacji KEP.

eprasa.pl 93c52441ba

↦ skrzywdzonych prawdopodobnie będzie kilkadziesiąt. Dostałem adresy części z nich. Biuro delegata już nawiązywało z nimi kontakt. Chcę się spotkać z wszystkimi – jeśli będą na to gotowi. Z niektórymi już rozmawiałem. Są też osoby, które dziś nie są gotowe wracać do bolesnej historii. Odkładają rozmowę, potrzebują czasu, wciąż się wahają. Krzywda ma swoją pamięć i tempo, którego nie można naruszać. Chcę, by mieli pewność, że czekam. Te wstępne wyniki pracy komisji traktujemy jako „raport otwarcia". On niczego nie zamyka, bo wiem, że wiele osób boi się kontaktu, nie ufa nam. Nie dziwię się temu. Było też zgłoszenie, które po szczegółowym zbadaniu nie potwierdziło się. W tym przypadku ustalenia były jednoznaczne – nie doszło do skrzywdzenia. To pokazuje, że cały proces opiera się na faktach, nie na domysłach. Każdą informację traktujemy poważnie i poddajemy analizie.

Ksiądz Biskup po nominacji na ordynariusza sosnowieckiego w kwietniu 2024 r. mówił na tych łamach: „Raczej nie będę tchórzem. Jeśli będzie trzeba podejmować trudne decyzje, będę to robił". Jaka była dotychczas najtrudniejsza decyzja?

Patrząc z perspektywy czasu, chyba powołanie komisji. Powołując ją, nie miałem świadomości, że to będzie takie trudne.

Na czym polegała ta trudność?

Na niezrozumieniu, że powołanie komisji jest konieczne. W samej diecezji coraz częściej widzę to zrozumienie. Krytykom mówię: wskażcie lepsze rozwiązanie.

Krytykują koledzy z Episkopatu?

Księżom biskupom od dawna mówię, że nie ma lepszej drogi niż komisja. Ale krytykują mnie także świeckie środowiska, zwłaszcza tradycyjne. Znają Kościół, który był monolitem i autorytetem, i nie dowierzają pewnym zjawiskom. Jedyną drogą jednak jest pokazywanie, że tylko prawda daje wolność, a kochać możemy tylko w wolności. Pytam takie osoby: a gdyby skrzywdzona została twoja córka, twój syn? Jednym z najtrudniejszych momentów było dla mnie pojechać do trzech parafii, w których posługiwał ten sam ksiądz, i stanąć przed wiernymi bez żadnych osłon. Nazwać winę. Okazać skruchę. Zawierzyć Bogu Skrzywdzonych. W tych wspólnotach przez lata unosiło się napięcie, niedopowiedzenia. Kiedy później rozmawiałem z proboszczami, mówili, jak bardzo to było potrzebne. Nie dlatego, że ból zniknął. Ale dlatego, że milczenie przestało być jedyną odpowiedzią.

> Pamiętam, prasowałem koszulę, gdy usłyszałem przez radio, że zamordowano księdza Jerzego. Wtedy pomyślałem: chcę zająć jego miejsce.
> **Pierwsza myśl o powołaniu. Bardzo zarozumiała.**

Podczas ingresu Ksiądz Biskup poprosił uczestników, by zwrócili się do osób stojących obok słowami: „Witaj, ekscelencjo!". Po co?

Chciałem zwrócić uwagę na pewne elementy klerykalizmu, które mają związek z językiem. To było w momencie, gdy zapraszałem na posiłek – wszyscy byli zaproszeni. Nawiązałem do czasów, gdy chodziłem z młodzieżą na pielgrzymki. Często proboszczowie mówili po mszach: „Księży i siostry zapraszam na plebanię na obiad, a pielgrzymom szczęść Boże!". To powiedzenie stało się wśród nas popularne. Byli wychowankowie pytali przed ingresem, czy tym razem też będzie „szczęść Boże". Nie. Dla wszystkich były przygotowane stoły wokół katedry. I żeby ludzie czuli się wspólnotą, powiedziałem, że wszyscy ze względu na chrzest jesteśmy ważni jak ekscelencje. Potem zastępca komendanta straży miejskiej śmiał się, że mógł usłyszeć od szefa: „Witaj, ekscelencjo!".

Czy dla biskupa nie ma pokusy chowania się za urzędem?

Jest.

A Księdza co uchroniło – kontakt z młodzieżą?

Rzeczywiście, młodzi ściągają na ziemię. Ostatnio pewna grupa młodych zaczepiła mnie na Instagramie, zaczęliśmy rozmawiać. Potem byłem na wizytacji w ich parafii i wręczyli mi koszulkę z napisem „Nasz dziadek". Nie powinniśmy budować murów, także językowych – one przeszkadzają w spotkaniu.

Papież Franciszek pokazał, że w Kościele nie chodzi o urząd. A o co?

Głównie o relacje. Staram się nie stwarzać dystansu, np. podczas wizytacji. Wiadomo, nie zawsze się udaje. Gdy człowiek jest zmęczony czy poirytowany, to wtedy jest większa pokusa, by schować się za urzędem. Niemniej, jeśli się dba o relacje, autorytet buduje się sam. Ktoś mi powiedział, że autorytet jest jak mydło – im częściej go używasz, tym mniej go masz. Widzę i poznaję dziś księży, którzy w pewnym momencie znaleźli się na marginesie diecezji. Nie mówię o sprawach krzywdy czy odpowiedzialności karnej. Tu nie ma miejsca na półcienie. Mówię o tych, którzy z różnych powodów wycofali się, zniechęcili. Dla wielu z nich najważniejsze było to, że ktoś po prostu zapytał: „Co się z tobą dzieje?". Czasem wystarczy rozmowa, by człowiek odzyskał poczucie, że nadal jest częścią wspólnoty. Dla mnie to także osobiste zobowiązanie na Wielki Post – czy potrafię być pasterzem nie tylko w wymaganiach, ale i w towarzyszeniu.

Czytałem, że w Księdza Biskupa powołaniu kapłańskim ważną rolę odegrał prorok Ozeasz. Brzmi ciekawie.

To dla mnie przedziwna historia. Był rok 1978 i wybór Karola Wojtyły na papieża. W PRL-owskiej telewizji w programie Tele-Echo Irena Dziedzic zapytała ks. Janusza Pasierba, dlaczego Bóg Starego Testamentu jest taki straszny. On odpowiedział, że to nieprawda: „Proszę sięgnąć do 11. rozdziału Księgi Ozeasza". Bóg tam jest pokazany jako kochający, czuły rodzic, który opiekuje się Izraelem jak małym dzieckiem. Wtedy – jako 12-latek – uświadomiłem sobie, że z Bogiem można mieć bliską relację. Potem było wiele innych ważnych momentów – ale to „objawienie" w komunistycznej telewizji zapamiętałem jako pierwsze.

A potem ważny okazał się ks. Popiełuszko...

To była maturalna klasa, czyli czas zastanawiania się nad przyszłością. Była też dziewczyna. Pamiętam, prasowałem koszulę, gdy usłyszałem przez radio, że zamordowano księdza Jerzego. To był dla

eprasa.pl 93c52441ba

mnie szok, bo takich rzeczy nie mówiło się wtedy w radiu. Wtedy pomyślałem: chcę zająć jego miejsce. Pierwsza myśl o powołaniu. Bardzo zarozumiała.

Jaki wpływ na Księdza religijność mieli rodzice?

Tata ma 89 lat, mama 82. Teraz jest wieczór. Gdyby było lato, mógłbym się założyć, że przyjechawszy o tej porze, zobaczyłbym tatę siedzącego przed domem i odmawiającego różaniec. A teraz pewno siedzi w swoim pokoju i modli się. Mama w swoim też się modli.

Nie modlą się razem?

Odmawiają razem koronkę. Codziennie też jeżdżą na mszę. Zawstydzają mnie swoją pobożnością. Był taki czas, że modliliśmy się wspólnie. Pamiętam też, że na pewnym etapie – jak miałem 14 lat – pozwolili mi odejść od tej wspólnej modlitwy, bo część wstawiennicza, gdzie prosiliśmy o różne rzeczy, zaczęła mnie zawstydzać. Gdy miałem moment kryzysowy i przestałem chodzić na msze, mój ojciec powiedział mi: „Nie chcę się wtrącać w twoje życie z Panem Bogiem, ale jeśli twoja dusza nie chce się modlić, to niech przynajmniej modlą się twoje nogi".

Wiele więc zawdzięczam pobożności rodziców i ich głębokiej wierze. Także mojemu dziadkowi ze strony ojca...

... który uratował rodzinę przed pacyfikacją ich wsi – Rutki – przez oddział UPA. Proszę opowiedzieć, jak to było.

Moi dziadkowie spodziewali się pacyfikacji. Wykopali w piwnicy specjalne pomieszczenie, które pozwoliło im schronić się przed ogniem i granatami. Tamtego ranka babcia karmiła najmłodsze z rodzeństwa taty i zobaczyła banderowców zbliżających się od lasu. Poleciła mojemu siedmioletniemu wówczas ojcu pobiec do dziadka do stodoły, a ten kazał mu rozgonić ze stajni zwierzęta. Dzięki temu, mimo doszczętnego spalenia wsi, która nie została już odbudowana, uratował się koń i dwie krowy. W pierwszą noc po pacyfikacji schronienia udzielił im greckokatolicki ksiądz ukraiński. Ani dziadek, ani ojciec nigdy nie mówili o Ukraińcach z nienawiścią. W Rutce byli też Ukraińcy, z którymi żyli w wielkiej symbiozie. To wojna i polityka podsycała wzajemną nienawiść.

W jednej z rozmów Ksiądz Biskup powiedział o dziadku: „On tłumaczył mi trochę Pana Boga". Na czym to polegało?

Dziadek opowiadał mi proste chłopskie historie i mądrości, które sam gdzieś usłyszał. Na przykład: cokolwiek robisz, patrz na koniec. Od niego dowiedziałem się o napaści Związku Radzieckiego na Polskę 17 września 1939 r., bo tego w szkole nie uczono. Zabierał mnie do gospodarstwa. Kiedyś powiedział: „Chodź, zobaczysz, jak kiełbasa smakuje". I zaprowadził do miejsca, gdzie był parnik, w którym przygotowywało się ziemniaki dla świń. Dał mi tłuczek i kazał tłuc te ziemniaki, mówiąc: „Od tego zaczyna się jedzenie kiełbasy".

Mówił Ksiądz także o zmaganiu się dziadka z wiarą. W jakim sensie?

Zginął brat mojej babci wraz z żoną. Została czwórka dzieci. Nie mieli warunków do życia, więc dziadek ich przyjął – w sumie wychowywało się razem z moim ojcem ośmioro dzieci. Dziadek zastanawiał się, dlaczego giną rodzice i dzieci cierpią. Taka teodycea – dlaczego Bóg pozwala na zło? To nie były pytania stawiane Bogu, bo oni byli nauczeni, że Bogu nie zadaje się pytań.

A Ksiądz Biskup stawia Bogu pytania?

Stawiam. To są pytania dotyczące także zła, ale coraz częściej też dobra. Mam świadomość, że zło zostało wzięte przez Jezusa na krzyż i zwyciężone Jego zmartwychwstaniem. I dlatego w Nim odnajdujemy moc do przezwyciężania zła. Natomiast dzisiaj jako trudne jawi się rozeznawanie dobra. To, do czego zaprosił nas papież Franciszek – do towarzyszenia i rozeznawania. Mamy zbyt dużo dobra do wyboru. Trudno dziś wybrać „co jest dobre, Bogu przyjemne i co doskonałe", jak mówi św. Paweł w Liście do Rzymian.

Na przykład?

Jak i w jakim wymiarze dawać skrzywdzonym odszkodowania.

Ksiądz Biskup, pytany o homoseksualistów w Kościele, dość twardo odpowiedział, że nie mogą angażować swojej seksualności w miłość. Jednak coraz więcej wiemy o skomplikowaniu ludzkiej seksualności – ta wiedza się rozwija. Czy Ksiądz jako biskup bierze pod uwagę, że nauczanie w tej kwestii może się kiedyś zmienić?

Rozumienie zjawisk może się pogłębiać, a Ewangelia pozostaje zawsze ta sama. Powinniśmy dialogować, słuchać, przyglądać się rozwojowi wiedzy i proponować Ewangelię, która nie zawsze będzie łatwa. Jako biskup chcę trwać przy wszystkich. Franciszka zawołaniem ze Światowych Dni Młodzieży w Lizbonie: „Todos, todos, todos!" (wszyscy, wszyscy, wszyscy).

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

POŻEGNANIE

Z wielkim smutkiem zawiadamiamy, że dnia 11 lutego 2026 roku zmarła w Lublinie, przeżywszy 91 lat,

nasza ukochana Mama, Babcia i Prababcia

Teresa Odrowąż-Pieniążek
z domu Łubieńska

wieloletni kustosz Muzeum Narodowego we Wrocławiu.
Pożegnamy Ją 18 lutego 2026 na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.
Msza św. odbędzie się o godzinie 13.00 w Kaplicy cmentarnej.
Po mszy św. nastąpi odprowadzenie Jej do grobu rodzinnego.

CÓRKI AGNIESZKA I ANNA Z RODZINĄ

eprasa.pl 93c52441ba

Boski pył

PIOTR SIKORA

WIELKI POST | **Uznanie własnej kruchości nie jest kapitulacją, lecz bramą do wolności i zjednoczenia z boską Rzeczywistością. Posypując głowy popiołem, warto spojrzeć na siebie jak na „boski pył”.**

Prochem jesteś i w proch się obrócisz” – ta tradycyjna formuła towarzysząca obrzędowi posypania głów popiołem na rozpoczęcie Wielkiego Postu nie jest współcześnie zbyt ceniona. Wielu woli jej liturgiczną alternatywę: „Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię”. Lecz próba zastąpienia pierwszej tą drugą kryje w sobie fundamentalny paradoks.

PRZEMIANA | Formuła „nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię” jest drugim zdaniem wypowiedzianym przez Jezusa, jakie zanotował autor, pod imieniem Marka, w najstarszej, przekazanej nam wersji jego księgi. Poprzedzające je pierwsze słowa mistrza z Nazaretu brzmią zaś: „Czas się wypełnił i bliskie jest królestwo Boga”. Tak to brzmi w tłumaczeniu na język polski, ale by zrozumieć zawarty w tych słowach sens, warto sięgnąć do starogreckiego oryginału – kilka wyrazów ewangelicznego wezwania Jezusa ma szczególne znaczenie, które ginie w przekładzie.

„Czas się wypełnił” (*Peplērōtai ho kairos*): znamienne, że Jezus nie używa słowa „*chronos*”, lecz „*kairos*”. Autor i pierwsi czytelnicy ewangelii widzieli tu fundamentalną różnicę. *Chronos* to czas, jaki po prostu płynie, który można mierzyć sypiącym się piaskiem w klepsydrze, albo ruchem wskazówek zegara. *Kairos* to moment krytyczny, odpowiednia chwila, sposobność, okazja. *Kairos* nie płynie, ale się zdarza. Starożytni przedstawiali go w postaci chłopca z grzywką z przodu, a łysego z tyłu głowy: można go chwycić tylko, gdy pojawia się przed nami, gdy nas minie – bezpowrotnie się wymyka.

„*Peplērōtai ho kairos*” znaczy zatem, że teraz właśnie w pełni urzeczywistnia się ów moment, otwiera okazja, sposobność. A jest to sposobność święta, ponieważ tuż tuż, blisko, na wyciągnięcie ręki (*ēngiken*) obecna jest boska Rzeczywistość – królestwo, panowanie Boga (*hē basileia tou Theou*). Sposobność tę jednak trzeba rozpoznać i chwycić w momencie, gdy się uobecnia. Nie przeoczyć – bo umknie.

W tym właśnie momencie potrzebna jest przemiana umysłu, do której wzywa Jezus, a za nim druga popielcowa formuła: „*metanoeite kai pisteuete en tō euangeliō*”. Zwróćmy uwagę na pierwsze słowo tego zdania. Zwykle tłumaczone jako „nawracajcie się” ma dwa człony: „*meta*” – który oznacza przemianę, oraz „*noeite*” – które oznacza myślenie. Przekładem lepszym niż „nawracajcie się” byłoby więc „przemieniajcie swój umysł, myślenie, poznawcze nastawienie wobec rzeczywistości”.

ZŁUDZENIE | Mentalna przemiana pozwala zaś uświadomić sobie, że dobrą nowiną (*euangelion*), o którą chodzi w popielcowym wezwaniu, jest właśnie to, iż prochem jestem i w proch się obrócę.

Umysł nieprzemieniony, powszedni – można by powiedzieć – dostrzega tutaj zagrożenie. Usiłuje bowiem, niemal od czasu dzieciństwa, lepić trwały obraz siebie samego: imię, nazwisko; określony zestaw cech – ciała, charakteru, umysłu; pewna liczba społecznych ról, najczęściej uszeregowanych od centralnych do mniej ważnych; konkretna wersja historii życia (w domyśle: ta jedynie prawdziwa); spis tego, co lubię, i czego nie lubię. Umysł bardzo chciałby ukończyć dzieło, przedstawić się światu: oto ja (precyzyjnie odróżniona/y od tego, co mną nie jest), oto zakres tego, co moje (i co – dobrze by było – mogłoby się zwiększać, ale już pomniejszać – najlepiej nie).

Umysł nieprzemieniony, usiłując ulepić trwały obraz siebie, goni jednak za złudzeniem. Nawet imię i nazwisko nie są niepowtarzalne; co dopiero cechy, role, upodobania. Co więcej – cokolwiek umysł by nie ulepił, jest bardzo nietrwałe, a jeszcze bardziej nietrwały jest stopnień, w którym ów obraz przypomina rzeczywistość, jakiej ma być obrazem.

eprasa.pl 93c52441ba

SERGEY BLOTSKIY / ALAMY / BE&W

Islandia, lipiec 2025 r.

Dlatego właśnie potrzebna jest przemiana umysłu. Niektórym zdarza się nagle, jak grom z nieba, najczęściej jednak dochodzi do niej przez cierpliwe ćwiczenie. Trzeba złapać swój umysł „przy pracy" – dostrzec jak najwyraźniej proces samo-lepienia: zobaczyć, jak i z czego układa coś, co chce przedstawić jako siebie.

UWAŻNOŚĆ | Co do tego potrzebne? Przyda się sporo ciszy. Zatrzymanie ciała. Zakotwiczenie uwagi w jego ciężarze, w oddechu, być może (niektórym jest to pomocne, innym nie) w zmysłowej świadomości otoczenia: w zapachu i temperaturze powietrza, w dźwiękach, w łagodnym spojrzeniu, które nie koncentruje się zbytnio na niczym, a zauważa również to, co na samym obrzeżu pola widzenia.

Gdy jesteśmy tak zakotwiczeni, możemy cicho obserwować wszystko, co się pojawia w polu świadomości. Kto nabierze pewnej wprawy, zobaczy, jak wiele pojawia się tam bodźców, obrazów, słów, zdań, fragmentów większych narracji. Zobaczy także, jak bardzo ów strumień jest różnorodny, jak wiele w nim przypadkowości, w jak dziwny sposób jedne jego elementy wzbudzają inne, jak bardzo treści pochodzące (jak się wydaje) z umysłu, zależą od zdarzeń na zewnątrz ciała – tych, które dzieją się w jego bezpośrednim otoczeniu, i tych, które przypominają się nam w wyniku rozmaitych skojarzeń.

„*Metanoeite*" nabiera w tym kontekście dodatkowego znaczenia. Przedrostek „*meta*" odnosi się bowiem w grece nie tylko do przemiany, lecz także do tego, co „poza" lub „ponad". „*Metanoeite*" może więc znaczyć coś w rodzaju: doświadczcie działania umysłu spoza lub sponad niego – jakby z metapoziomu. Gdy tak uświadomicie sobie sposób jego (umysłu) pracy, zdołacie dostrzec, jak bardzo przypadkowe są rezultaty jego wysiłków tworzenia trwałego podmiotu „ja"; jak bardzo wszystko to jest zależne od otoczenia, od którego „ja" miałoby się, jakoby, oddzielać.

WSPÓLNOTA | Wszystko jak proch, niczym pył. Proch bowiem to luźne cząsteczki, które jeśli gromadzą się w jakieś odrębne kształty – to tylko na chwilę, rozwiewane byle podmuchem, by w innym miejscu utworzyć kształt inny, lecz przecież złożony z tych samych (podobnych?) cząsteczek.

Czy nie jest tak z moim ciałem? Niby solidne, to a nie inne, oddzielone skórą od świata. Lecz przecież jego pierwiastki, atomy, elektrony i kwarki takie same jak w drzewie, pod którego cieniem odpoczywam, w asfalcie, po którym idę, w rzodkiewce, którą jem, w herbacie, którą piję, w powietrzu, którym oddycham. Takie same? Te same – raz tutaj, raz tam.

I nie tylko materia – lecz także (przemieniony umysł poza umysłem to widzi) emocje, wszystkie treści myślenia. Jak wchłaniam i wydalam pokarm, podobnie wchłaniam i wydalam to, co nazywam myślami (a ich treścią przecież też jest to, co zjem na obiad, kiedy nadejdzie wiosna i skóra poczuje ciepło, i czy ząb znowu nie zacznie mnie boleć). Cechy mojego ciała zależą od genów, otoczenia, pokarmu. Podobnie i mój osobisty charakter: spokojny jestem, gdy sprawy idą po mojej myśli, drażliwy, gdy spada ciśnienie; myślę słowami, które usłyszałem od innych; moje poglądy ukształtowane przez przekaz rodzinny, książki, panią od niemieckiego i speców od reklamy.

Z chwili na chwilę wszystko się zmienia. Przemiana materii, wymiana cząsteczek. Nowa zmarszczka, kolejny siwy włos. Wspomnienie znikło, inne zmieniło treść. Lubiłem kawę z mlekiem, teraz wyłącznie czarną. Oczekiwanie stało się rozczarowaniem, a inne satysfakcją – najpierw intensywną, aż chciałem krzyknąć, teraz ją czuję jakby przez mgłę.

Wdech i wydech, wdech i wydech... Oddech przejrzyście ujawnia naturę całego procesu: jednocześnie mój, własny, lecz przecież nieposiadający granicy, czerpiąc powietrze z przestrzeni wokół, oddając powietrze w przestrzeń wokół (nie potrafię stwierdzić, gdzie to powietrze staje się moje i gdzie moje być przestaje). Wdech i wydech, wdech i wydech – każdy niby taki sam, a przecież każdy nieco inny. Z chwili na chwilę, każdy wdech pierwszy, każdy wydech ostatni.

WYZWOLENIE | Dlaczego jednak, można by zapytać, ma to być dobra nowina? Cóż nam z tego, żeśmy tylko kupką prochu posiadającą ten, a nie inny kształt tylko na chwilę, w zależności od wszystkiego, co wokół się dzieje.

Tu wskazówką może być inna wypowiedź Jezusa, tym razem z Ewangelii Jana: „*ho philōn tēn psychēn autou apollyei autēn kai ho misōn tēn psychēn autou en tō kosmō toutō eis zōēn aiōnion phylaxei autēn*" (J 12, 25) – „lgnący do swojej duszy, straci ją, a gardzący swoją duszą na tym świecie, znajdzie ją w życiu wiecznym". Znowu ważne są słowa oryginału: „*philōn*", nie „*agapōn*" – a zatem miłość w sensie pragnienia, przywiązania, lgnięcia. „*Misōn*" zaś może oznaczać nie tylko nienawiść (jak stoi w większości przekładów), lecz także wzgardę, lekceważenie. A chodzi o lgnięcie lub lekceważenie swojej „psyche" na tym świecie – czyli określonej, tej, a nie innej formy naszego empirycznego istnienia.

Przywiązanie do niej powoduje cierpienie, gdyż ona jest prochem, przemija. Brak przywiązania pozwala jednak uświadomić sobie, że gdyby nasza *psyche* miała tożsamość trwale określoną granicą od tego, co nami nie jest, bylibyśmy oddzieleni również od boskiego, wiecznego Życia (*zōē aiōnios*), które dzieje się wszędzie wokół. Skoro zaś jesteśmy prochem – tym samym pyłem, który krąży wszędzie, nie ma także granicy między nami a Boskim Logosem, który – niczym pył – wszystko całkowicie napełnia (por. Ef 1, 23). A zatem przemieniaj swoją świadomość i zaufaj dobrej nowinie: z prochu powstałeś, prochem jesteś i w proch się obrócisz. ©

eprasa.pl 93c52441ba

Rozkład zajęć

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

EDUKACJA | Ledwo obecny rząd zmarginalizował szkolną religię, już bliskie jest widmo nowej rewolty – czekająca na wzięcie władzy prawica chce obowiązkowej katechezy. W tej niekończącej się przepychance chodzi o wszystko, tylko nie o jakość edukacji.

W tej sprawie istnieją dwie Polski. Jedna nijak nie chce się nagiąć do nagłówków ogólnopolskich portali, które od lat diagnozują „masowy odpływ uczniów z religii".

Kiedy rozmawiam przez telefon z Dariuszem Serafinem, wicedyrektorem SP1 im. św. Królowej Jadwigi w podkarpackim Jarosławiu, w pierwszej chwili jakby nie kojarzył, o jakich zmianach mowa. – Na religię spośród około pięciuset uczniów nie chodzi troje – mówi Serafin, kiedy pytam, co się zmieniło 1 września 2025 r., gdy MEN zmniejszył liczbę godzin religii z dwóch do jednej, a także zakazał umieszczania katechezy w środku planu lekcji, co w wielu szkołach spowodowało spadki frekwencji. – Sam ten plan układałem, i jeśli udało się umieścić religię na początku lub końcu dnia, to umieszczałem, a jak się nie dało, to wstawiałem w środku – mówi z dziecięcą szczerością dyrektor, przyznając się w gruncie rzeczy do zlekceważenia nowego prawa (co prawda przepisy pozwalają na umieszczenie religii w środku dnia, gdy na katechezę chodzą wszyscy w klasie, ale czy tak faktycznie jest we wspomnianych klasach, dyrektor sprawdza dopiero podczas rozmowy ze mną).

Pytam, czy nie bał się skarg do kuratorium. – My tu na Podkarpaciu nie mamy takich... – dyrektor Serafin zawiesza głos, szukając chyba słowa tyleż adekwatnego, co taktownego. – Nie mamy tu takich oporów – dodaje. A kiedy pytam o nastroje po wprowadzonych przez MEN korektach, mówi: – Jest niezadowolenie, ale poza szkołą. Sam podpisałem się pod obywatelskim projektem, zgodnie z którym religia lub etyka byłyby obowiązkowe.

Z grubsza podobne historie usłyszę w innych podstawówkach zlokalizowanych na terenach diecezji, które od lat liderują w statystycznych rankingach frekwencji na lekcjach katechezy. Choć wykazana przez Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego średnia ogólnopolska obecność uczniów na religii wyniosła w roku szkolnym 2024-2025 (a więc jeszcze przed zmianami) 75 proc., w diecezji drohiczyńskiej, łomżyńskiej, pelplińskiej, przemyskiej, rzeszowskiej, zamojsko-lubaczowskiej i tarnowskiej wskaźniki szybują niezmiennie powyżej 90 proc. W sekretariacie SP nr 9 w Łomży słyszę, że na niemal tysiąc dzieci na religię nie chodzi ledwie 35, a w SP nr 1 w Pelplinie, że spośród 418 uczniów za spotkanie z księdzem lub katechetą podziękowała... trójka.

– Taki region – mówią na ścianie wschodniej i w Pelplinie.

Religia w liczbach

Diametralnie inną Polskę spotkać można w miastach na zachodzie i w centrum kraju. Zwłaszcza na korytarzach liceów, w których decyzja o uczęszczaniu bądź nie na religię nie jest już tak często wypadkową światopoglądu należących do generacji X lub Y rodziców, ale samych chodzących do tych placówek „Zetek". Np. w renomowanym warszawskim „Staszicu", który i tak pod względem frekwencji na religii wystaje mocno ponad stołeczną średnią, w roku szkolnym 2024-2025 na katechezę chodziło jeszcze około 60 proc. uczniów, a po 1 września 2025 r. wskaźniki po raz pierwszy spadły poniżej 50 proc. To właśnie pokłosie decyzji, by jedyna lekcja katechezy odbywała się na początku lub końcu dnia.

W szczecińskim III LO chodzący na katechezę to od lat mniejszość – z każdym rokiem się pogłębiająca. O ile we wrześniu 2024 r. szkoła miała jeszcze czterdziestkę chętnych, rok później – a więc na samym początku obowiązywania zmiany – na religię stawiła się dwudziestka. Nie minęły cztery miesiące, a dwudziestka stopniała do dziesiątki.

Istnienie „efektu Nowackiej" potwierdza odpowiedzialna za religię Komisja Wychowania Katolickiego episkopatu. „Według relacji dyrektorów wydziałów katechetycznych organizowanie lekcji religii na początku lub na końcu zajęć szkolnych oraz na tzw. godzinie zerowej w znacznym stopniu wpłynęło na frekwencję. Jest to zauważalne szczególnie u uczniów klas starszych szkół podstawowych oraz młodzieży szkół ponadpodstawowych" – pisze w odpowiedzi na pytania „TP" konsultor komisji, ks. dr Marek Korgul.

Jak te pustoszejące klasy wpłyną na ogólnopolskie dane, trudno powiedzieć – ISKK ogłasza nowy raport dopiero pod koniec roku. O ile jednak w ostatnich latach spadki były tyleż regularne, co powolne (przez ostatnie 5 lat po 2-3 punkty procentowe rocznie, w sumie z 87,6 proc. do 75,6 proc. uczniów), w tym roku szkolnym pikowanie może się okazać dla Kościoła bardziej bolesne – spadek poniżej 70 proc. wydaje się nieunikniony.

Frustracja ponad podziałami

Nowe porządki spowodowały frustrację katechetów: wedle danych przekazanych „Tygodnikowi" przez Komisję Wychowania na nowych porządkach w ten czy inny sposób ucierpiało nieco ponad 2 tys. nauczycieli. „Wśród nich są ci, którzy utracili pracę, skorzystali z możliwości uzyskania świadczeń kompensacyjnych, odeszli na emeryturę mimo sił, gotowości i chęci dalszej pracy, a oddali godziny młodszym, przestali uczyć religii, a uczą innego przedmiotu, a także ci, którzy dzięki życzliwości dyrekcji uzupełniają etat poprzez otrzymanie innych godzin. Należy dodać, że wielu księży oddało swoje godziny katechetom świeckim" – precyzuje ks. dr Korgul.

Nierzadki był też model odwrotny, zastosowany np. w SP nr 1 w Jarosławiu – tu katecheta oddał miejsce duchownemu (utrzymanie wielu księży, zwłaszcza z biedniejszych parafii, bazuje na pracy w szkole). – Świecki katecheta się doszkolił i został tzw. nauczycielem wspierającym, dzięki czemu duchowny mógł otrzymać 16 godzin – relacjonuje dyrektor szkoły w Jarosławiu.

– To był projekt na wykończenie religii – wzdycha na początku rozmowy

eprasa.pl 93c52441ba

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

„Tak dla religii i etyki w szkole", finał zbiórki podpisów przed Sejmem Obywatelskiej Inicjatywy Ustawodawczej. Warszawa, 26 czerwca 2025 r.

Dariusz Kwiecień z głośnego ostatnio medialnie Stowarzyszenia Katechetów Świeckich. – Ja jeszcze jakoś przędę, bo choć straciłem godziny w jednej placówce, mam drugą. Ale ze względu na przepis o umieszczaniu katechezy na początku i na końcu dnia pracuję rano i późnym popołudniem. Jedna z koleżanek mówi, że jest u kresu sił. Mieszka poza Warszawą, ma pojedyncze godziny. Wczesny ranek start, późne popołudnie koniec, potem półtorej godziny na dojazd do domu, by o świcie znowu wstawać. Mówi ze łzami, że dziecko jej nie widuje, mimo że idzie w tym roku do Komunii. I dodaje, że chyba tę pracę rzuci.

– Wcześniej cierpiały dzieci niechodzące na religię, bo miały w środku dnia okienko – zauważam w rozmowie z Kwietniem.

– A teraz cierpią te chodzące. I katecheci, których się w Polsce dyskryminuje. Jesteś nauczycielem religii? Nie masz etatu – odpowiada rzecznik stowarzyszenia.

– Katecheci dostali od MEN możliwość darmowych studiów, mogą się przekwalifikować.

– Nie wiem, czy ktoś skorzystał z możliwości uczenia edukacji zdrowotnej, jeśli tak, to raczej po cichu – odpowiada Kwiecień. – Ja poszedłem na bibliotekoznawstwo, które opłaciłem sobie sam. Działania MEN były w stylu: „Zostańcie sobie w szkole, ale religia won!".

Zadowolone z bilansu zmian nie są też do końca środowiska lewicowe – tu liczono na twarde wyprowadzenie religii ze szkół, co nie nastąpiło (i raczej nastąpić nie mogło, choćby ze względu na konkordat). – To są zmiany w dobrym kierunku – ocenia Dorota Wójcik, prezeska zarządu Fundacji Wolność od Religii, która monitorowała przestrzeganie nowego prawa. W początkowych tygodniach jego obowiązywania do fundacji trafiały zgłoszenia, że niektórzy dyrektorzy nadal umieszczają religię w środku dnia. Ale po interwencjach korygowali plany lekcji.

Gdy jednak pytam Dorotę Wójcik, czy polska szkoła po zmianach dokonanych przez MEN stała się z jej punktu widzenia przestrzenią wyznaniowo neutralną, odpowiada przecząco. – To przestrzenie zawłaszczone przez katolicyzm, tu niewiele się zmienia – mówi. – Chodzi nie tylko o krzyże, ale też rekolekcje na terenie szkół, msze z okazji dni papieskich albo końca lub początku roku szkolnego. Inny przykład: katecheta organizuje konkurs na Dzień Aniołka i niby rozdaje się cukierki wszystkim, ale najpierw trzeba się za tego aniołka przebrać. Do tego wciąż zdarzają się przypadki zaczepiania dzieci niechodzących na religię przez katechetów – są przepytywane, namawiane na uczestnictwo. Przestrzeń szkolna jest dla nas i naszych dzieci nadal nieprzyjazna i niebezpieczna.

Jakość na drugim miejscu

Ale z punktu widzenia przeciwników szkolnej katechezy może być jeszcze gorzej: przyklejonej już do bloków startowych w gonitwie po władzę prawicy marzy się religia... obligatoryjna (wymiennie z etyką). Taki wariant forsował za rządów PiS minister Przemysław Czarnek, ale się nie udało. Może się udać już za kilkanaście miesięcy (wybory parlamentarne odbędą się najpewniej na jesieni 2027), w Sejmie zresztą już jest obywatelski projekt ustawy, który przewiduje obligatoryjną katechezę lub etykę. Zyskał życie nie tylko dzięki głosom prawicy, ale też PSL-u i niektórych posłów Polski 2050, którzy tłumaczyli, że poparli dalsze nad nim prace z szacunku dla pół miliona obywateli.

Jeśli ten lub podobny projekt wejdzie w życie, np. za sprawą rządu PiS–Konfederacja, spowoduje niechybnie kolejną polską wojnę kulturową z katechezą w tle, przy której awantura o nieobowiązkową edukację zdrowotną będzie się jawić jako rzeczowy spór.

W tej wojence będzie jak zwykle chodzić o wszystko, tylko nie o jakość edukacji. Nie wiadomo nawet, w jakim modelu ta nowa religia miałaby się odbywać – czy jak dotąd konfesyjnym, który nijak nie nadaje się na obowiązkowy szkolny przedmiot, czy może bardziej religioznawczym, którego elementy widoczne są w zaprezentowanej niedawno przez biskupów nowej podstawie programowej? A jeśli to drugie, czy Kościół dysponuje wielotysięczną armią profesjonalistów gotowych ten nieznany dotąd styl nauczania unieść? Bo że nie ma takiej armii wykonawców do nauczania etyki, to wiadomo od dawna.

Kto by się jednak takimi szczegółami przejmował, skoro do rozegrania będzie kolejna ważna bitwa w jeszcze ważniejszej kulturowej wojnie. ©℗

eprasa.pl 93c52441ba

ZUZANNA

Radzik:
Niebezpieczne lektury księdza profesora

Osobliwym prezentem na 75. urodziny ks. Waldemara Chrostowskiego okazał się wywiad, jaki przeprowadził z nim Tomasz Królak z KAI. Osobliwym, bo choć rozniósł się błyskawicznie po prawicowych i katolickich mediach, przysparzając być może popularności, a z pewnością zyskując poklask, to jednak bardziej kompromitując: i profesora biblistę, i dziennikarza. Od Katolickiej Agencji Informacyjnej oczekujemy przecież, że będzie informować, a nie umizgiwać się do interlokutorów popełniających kardynalne błędy teologiczne. Od biblistów oczekiwać zaś możemy choć tyle, że poradzą sobie z trudnościami wynikającymi z pełnych przemocy tekstów starożytnej księgi w inny sposób, niż namawiając do jej nieczytania.

Otóż bowiem znawca i tłumacz Starego Testamentu wyraża, po części motywowaną politycznie, wątpliwość, czy ludzie powinni czytać pierwszą część Biblii – trochę z powodu wojny w Gazie i tego, że izraelscy politycy uzasadniając ją, odwoływali się właśnie do Starego Testamentu. Jakby nie wiedział, że z lekturą niebezpiecznych, przemocowych, seksistowskich czy antysemickich tekstów hermeneutyka biblijna zmaga się od dawna i ma na to swoje metody. Nie można jednak radykalnie pozbywać się pierwszej części Biblii, bo ta druga staje się bez niej niezrozumiała.

Oczywiście ks. Chrostowski nie jest pionierem. Już na przełomie I i II w. Marcjon z Synopy sugerował, że Starego Testamentu nie należy czytać, bo jest księgą niższego boga demiurga, surowego i sprawiedliwego, w przeciwieństwie do Nowego Testamentu, który wyraża miłosiernego Boga Jezusa Chrystusa. Ostatecznie z okrojonej przez niego Biblii, pozbawionej tego, co jego zdaniem było „zbyt żydowskie", niewiele zostało. Ot, fragmenty Ewangelii Łukasza i niektóre Listy Pawła. Podobnie było z cenzorskimi zapędami chrześcijan-nazistów, którzy chcieli Biblię zdejudaizować i też zostali z garstką tekstów: nawet śpiewnika nie było jak zrobić, bo wyleciał do kosza cały psałterz.

W zdejudaizowanym chrześcijaństwie niewiele zostaje chrześcijaństwa. Choć trzeba przyznać, że propozycja Marcjona była w starożytności szalenie popularna: to nie była marginalna sekta. Zresztą echa tej myśli napotykacie za każdym razem, gdy ktoś wam mówi o sprawiedliwym i surowym Bogu Starego Testamentu, przeciwstawiając go miłosiernemu Bogu Nowego Testamentu. Zawsze odpowiadam na to, że to dawna chrześcijańska, antyżydowska klisza.

Problem w tym, żeśmy się podpięli pod żydowską koncepcję Boga, zaangażowanego w historię i zawierającego trwałe sojusze ze swoim ludem. I pod tym względem Nowy Testament bez Starego jest nieczytelny. Spełnieniem jakich proroctw, nadziei i wypełnieniem jakiej historii miałby być bez niego żydowski Nauczyciel z Nazaretu? Wiedział to już Augustyn, który jak inni Ojcowie Kościoła Żydów nie lubił i teologicznie deprecjonował, ale ukuł dla nich rolę bibliotekarzy, opiekunów ksiąg, na które powołują się chrześcijanie.

To zaś, że wywiad z księdzem Chrostowskim roznosił się po innych mediach z krzykliwymi nagłówkami godzącymi w dialog chrześcijańsko-żydowski, wcale mnie nie dziwi, bo nie mam złudzeń ani co do poziomu edukacji na ten temat wśród polskiego duchowieństwa, ani co do poziomu antysemityzmu, a przecież antysemitom tylko w to graj. Choć od pism takich jak „Gość Niedzielny" czy portali jak Wiara.pl oczekiwałabym więcej rozsądku w sprawach kościelnych niż od „Do rzeczy". Wszyscy jednak ochoczo powtarzają, że dialog jest parodią, że robi go grupka osób, które być może czerpią z niego korzyści. Ton jest uszczypliwy, zresztą jak zwykle, bo choć ks. Chrostowski był jednym z inicjatorów dialogu chrześcijańsko-żydowskiego w Polsce, to szybko się rozczarował i od ćwierć wieku wojuje z jego uczestnikami.

Problem w tym, że treść dialogu w Polsce jest kopią watykańskich zaleceń co do nowego nauczania o Żydach. W tym sensie, może niestety, nie jesteśmy zbyt oryginalni. Dlatego, polemizując z ks. Chrostowskim, ks. prof. Andrzej Perzyński nazwał jego stanowisko „alternatywnym magisterium". Pozostaje zachęcić biblistę, żeby uderzał ze swoimi polemicznymi koncepcjami prosto do Watykanu. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

eprasa.pl 93c52441ba

O. WACŁAW

Oszajca: *Sprawa miłości*

Na początku był raj. Adam i Ewa. Żyło im się cudownie, ale Ewa podkuszona przez węża, czytaj diabła, zerwała jabłko i zjadła, za co Pan Bóg ją i jej męża z raju wypędził. No i teraz mamy, co mamy – nieszczęście goni nieszczęście, a na końcu grób. Co prawda księża mówią, że Pan Jezus na krzyżu odcierpiał karę, która powinna spaść na nas za nasze grzechy, ale – wybacz, Panie Jezu – biedy ci u nas wciąż pod dostatkiem.

Na szczęście mamy w Biblii jeszcze inne opowiadania na temat relacji ludzi i Boga. Mówi się w nich o Bogu, który zawsze szanuje człowieka i troszczy się o niego – również wtedy, gdy człowiek Boga porzuca. Który pozwala odejść, ale nie zapomina o nieobecnych. Który wie, że ludzie, odrzuciwszy Boga, zaczną odrzucać siebie, dlatego idzie za każdym człowiekiem aż na szubienicę – tam, gdzie Jego Syn udowodni, że więź Boga z ludźmi to nie tylko słowa, kawałek papieru, kamienne tablice, czy nawet Biblia, ale dziejąca się rzeczywistość. Piotr mówi: „Bóg jednakowo traktuje wszystkich ludzi. W każdym narodzie miły jest Mu ten, kto się Go boi i postępuje uczciwie". „W każdym narodzie" – to znaczy również tam, gdzie o Bogu Jezusa Chrystusa nikt nie słyszał. Wszędzie są ludzie, którzy żyją zgodnie z Jego radami, nie wiedząc o tym.

„Nie zwalczajcie zła złem, lecz jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi. A temu, kto chce się z tobą procesować o tunikę, oddaj także płaszcz. Jeśli cię ktoś zmusza, żebyś szedł z nim tysiąc kroków, idź z nim dwa tysiące. Daj temu, kto cię prosi, i nie odmawiaj temu, kto chce od ciebie pożyczyć". Zażądaliśmy od Jezusa nie tylko tuniki i płaszcza, zmusiliśmy Go, żeby szedł z nami aż na krzyż i tam zabraliśmy Mu życie. A Jezus spełnił te nasze żądania, choć wcale nie musiał. Uległ przemocy, gdyż „do końca nas umiłował".

Na Golgocie w Wielki Piątek zgodnie z Pismem spełniło się marzenie Boga: „Miłości pragnę, nie krwawej ofiary, poznania Boga bardziej niż całopaleń". Dlatego Apostoł Paweł mówi: „Jestem pewny, że ani śmierć, ani życie (...) nie zdoła nas oddzielić od miłości Boga, objawionej w Chrystusie Jezusie". A za nim powtarza poeta Anioł Ślązak: „To wiem, że Bóg nie może ni chwili żyć beze mnie, / Gdy się nicością stanę, i On się ducha zbędzie". Wielki post to sprawa życia, nie śmierci. Łaski. A więc: miłości. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Obecność*

„Jezus udał się w okolice Tyru i Sydonu. Wstąpił do pewnego domu i chciał, żeby nikt o tym nie wiedział, nie mógł jednak pozostać w ukryciu. Zaraz bowiem usłyszała o Nim kobieta, której córeczka była opętana przez ducha nieczystego..." (zob. Mk 7, 24-30). Jezus idzie w świat pogański. Idzie tam, dokąd za chwilę pośle swoich uczniów: „Idźcie, czyńcie uczniów ze wszystkich narodów". Pokazuje im logikę tej misji.

Pierwszym wymiarem misji jest obecność. Nie idzie, by przepowiadać czy działać. Idzie, by się w jakiejś mierze „zadomowić" (wszedł do pewnego domu). Obecność nie jest tylko wstępnym warunkiem ewangelizacji – jest formą ewangelizacji. Dzieje Kościoła znają prawdziwych mistrzów obecności – np. Karola de Foucauld, który nie głosił kazań, nie nawracał, nie udzielał sakramentów (ochrzcił na swej misji jedną osobę). Był. Z niezmienną otwartością. I zaciekawiony ludźmi, ich kulturą, językiem, religią. Bez tej postawy nie ma ewangelizacji. Nie można głosić Ewangelii ludziom, których nie chcemy poznać, którzy nas nie interesują, których nie kochamy. To jest ważny moment do refleksji i do skrutinium. Nic się nie zmieniło od tamtego czasu. Jezus wciąż posyła nas do pogańskiego świata. Nierzadko narzekamy, jak dalece otaczający nas świat poganieje – jak bardzo religia jest rugowana w procesie sekularyzacji. Mówimy to z lękiem i dezaprobatą. Zamiast zamieszkać i zadomowić się w takim świecie, wycofujemy się w swoje „okopy Świętej Trójcy", raczej osądzający i potępiający, niż chętni spotkania.

Pierwszym doświadczeniem Jezusa w pogańskim świecie było spotkanie z kochającą matką. To ważne. Św. Marek nie pokazuje Syrofenicjanki jako wzoru wiary (tak czyni w równoległym tekście św. Mateusz; 15, 21-28). U Marka Jezus jest pod wrażeniem jej miłości – ofiarnej, nieustępliwej, gotowej znieść wszystko (z upokorzeniem włącznie). Czy nie jest tak, że to właśnie obszar miłości może być pierwszym miejscem spotkania ludzi wierzących i niewierzących? Czynienie dobra, czynne miłosierdzie, konkretna działalność charytatywna. To z całą pewnością jest możliwe i właściwe. Miłość i miłosierdzie muszą być przestrzenią spotkania, nie konkurencji! Tam, gdzie zaczyna się w rywalizacji, tam przestaje być owocem Ducha Świętego. Tam też nie inicjuje misji, ale ją przetrąca. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 93c52441ba

JAK PODGRZAĆ KARPIA

Danio pręgowany to popularna rybka akwariowa z rodziny karpiowatych i modelowy organizm w biologii

KRZYSZTOF RAKUS, IMMUNOLOG PORÓWNAWCZY:

Gorączka karpi jest behawioralna – ryba płynie do cieplejszej wody, by się ogrzać i łatwiej zwalczyć infekcje. Wirus produkuje białko, które ma rybę powstrzymać.

MARIA HAWRANEK: Co to znaczy, że jest Pan immunologiem porównawczym?

KRZYSZTOF RAKUS: Badam, jak ewoluowały mechanizmy immunologiczne, czyli związane z układem odpornościowym – od ryb, czyli niższych kręgowców, aż do wyższych, na przykład ludzi. Porównuję działanie tego układu u ryb i u człowieka, a także szukam mechanizmów specyficznych dla ryb, które można wykorzystać w ochronie ich zdrowia.

A dlaczego bada Pan akurat karpie?

Przez przypadek. Gdy byłem na czwartym roku studiów biologii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, zobaczyłem ogłoszenie: „asystent w Zakładzie Ichtiobiologii i Gospodarki Rybackiej PAN w Gołyszu poszukiwany". To niedaleko Skoczowa, na Śląsku Cieszyńskim, skąd pochodzę. Zgłosiłem się i dostałem tę pracę. Najpierw jako asystent techniczny, a po skończeniu studiów – doktorant. Przy instytucie funkcjonowało gospodarstwo o łącznej powierzchni stawów

eprasa.pl 93c52441ba

ponad 700 hektarów, olbrzymi teren. Hodowano karpie o różnych liniach genetycznych, które różnią się wyglądem, ale też odpornością na rozmaite patogeny. Właśnie to mnie interesowało: zależności między genetyką i podatnością na zakażenia patogenami.

Do jakich wniosków Pan doszedł?

Zajmowałem się genami głównego układu zgodności tkankowej, które kodują białka prezentujące obce antygeny limfocytom T, czyli wyspecjalizowanym komórkom odporności nabytej, dzięki czemu komórki te mogą walczyć z różnymi patogenami. Badałem, czy określone warianty tych genów warunkują mniejszą lub większą odporność ryb na patogeny. I tak było w rzeczywistości. Dziś wykorzystuje się tę wiedzę, by wyhodować bardziej odporne linie karpia.

Z patogenów interesowały mnie przede wszystkim wirusy. Pod koniec lat 90. XX w. i w pierwszej dekadzie XXI w. na całym świecie spustoszenie siał KHV – *koi herpes*, wirus powodujący masowe śnięcie karpi hodowanych w celach spożywczych, ale również karpi koi, a to ryby osiągające bardzo wysokie ceny, dochodzące do kilkuset tysięcy dolarów.

O rety! Ze względu na ich wartość symboliczną w krajach takich jak Japonia?

Wywodzą się z Japonii, owszem, ale są hodowane przez hobbystów na całym świecie. Organizuje się wybory Miss i Mistera Karpia Koi. Grono sędziów wybiera najpiękniejszego osobnika, którego cena może wzrosnąć do kilkuset tysięcy dolarów. Wirus spowodował problem – gdy któryś z wystawców przywoził zainfekowaną rybę, choć bez widocznych objawów choroby, to dochodziło do rozprzestrzeniania się wirusa na pozostałe osobniki. Hobbyści wracali do domu z medalami... oraz wirusem, który powodował duże straty finansowe w hodowlach.

W czasie wystawy wszystkie egzemplarze wpuszcza się do jednego zbiornika?

Nie byłem nigdy na takiej wystawie, ale wygląda to jak turniej tenisa – wybiera się rybki pływające razem w zbiornikach, które potem przechodzą do kolejnych etapów. W finałach umieszcza się je w jednym zbiorniku, by móc porównać kolorystkę czy krój ciała.

Choroba ma wysoką śmiertelność?

Wirus KHV zarówno w warunkach naturalnych, jak i hodowlanych powodował śmiertelność rzędu 80-90 proc. Szczęśliwie udało się go już opanować, m.in. dzięki szczepieniom.

Nie wiedziałam, że ryby się szczepi.

Ano właśnie! Kiedy przebywałem na Uniwersytecie w Liège w Belgii po doktoracie, pracowałem nad szczepionką przeciwko temu wirusowi. I udało nam się! Jednak ponieważ jest oparta na żywym, atenuowanym, czyli osłabionym wirusie, nie jest dostępna w Unii Europejskiej, ale w krajach azjatyckich karpie są nią masowo szczepione.

Czyli przyczynił się Pan do opanowania epidemii.

Nasze badania częściowo się do tego przyczyniły. Hodowcy skupili się też na prowadzeniu selekcji linii genetycznych, które cechowały się niską śmiertelnością w obliczu wirusa. W połączeniu z działaniami profilaktycznymi spowodowało to, że wirus nie stanowi już takiego zagrożenia jak na początku XXI wieku.

W Polsce szczepi się ryby?

Nie, niezbyt wiele szczepionek zostało dopuszczonych.

A jakie mamy w ogóle rodzaje szczepionek?

Cztery: z zabitym wirusem, z wirusem atenuowanym („żywym, ale osłabionym"), z samym antygenem (czyli białkiem wirusa, które aktywuje odpowiedź immunologiczną) i wreszcie szczepionki DNA czy RNA, gdzie podajemy kwas nukleinowy, czyli matrycę, na której to dochodzi w organizmie do syntezy określonego antygenu, który aktywuje układ odpornościowy.

Szczepionki oparte na „żywych" wirusach są uważane za bardziej ryzykowne – teoretycznie może dojść do sytuacji, że wirus stanie się znowu zjadliwy, czyli zamiast chronić organizmy, będzie je w stanie zabić.

Jak mogłoby do tego dojść?

Jest mało prawdopodobne, by atenuacja przestała działać, skoro eliminowany jest gen odpowiedzialny za zjadliwość, ale jakieś minimalne ryzyko istnieje, dlatego Unia Europejska tych szczepionek nie dopuszcza.

Szczepionki DNA i RNA są dopuszczane m.in. w Norwegii i Kanadzie. Problem z nimi polega na tym, że trzeba je podawać domięśniowo, osobnik po osobniku. W przypadku tańszych ryb takie szczepienie może się hodowcom nie opłacać. Najłatwiej szczepić poprzez immersję – dodanie szczepionki do wody, w której ryby pływają.

Wirusowi KHV łatwiej było się rozprzestrzeniać ze względu na warunki panujące w wielkoskalowych hodowlach?

Na pewno warunki w takich hodowlach sprzyjają rozwojowi chorób. Może nie w przypadku karpi, bo one są nadal hodowane w bardziej sprzyjających okolicznościach przyrody – w stawach ziemnych – ale ryby hodowane w dużym zagęszczeniu w klatkach w morzach czy w rzekach są bardziej narażone na stres. Tym samym ich odporność jest niższa. Patogeny mają doskonałe warunki do rozwoju.

Po sieci krążą przejmujące filmiki z zaatakowanymi przez pasożyty łososiami atlantyckimi, które potem lądują na naszych talerzach.

Dlatego w niektórych hodowlach stosuje się antybiotyki, które pomagają te choroby zahamować, ale nie są one dobre dla konsumentów. Stąd ja bardziej koncentruję się na mechanizmach odporności i pracy nad szczepionkami, co umożliwi hodowcom zadbanie o zdrowie ryb.

Raz na czas możemy natknąć się na wiadomości, że jakaś ryba jest toksyczna. Np. w niektórych krajach arabskich nie można spożywać ryby maślanej. Jakie ryby można bezpiecznie jeść?

Dla nas najbezpieczniejsze są rodzime gatunki hodowane w jeziorach i stawach. Importowane ryby podlegają oczywiście badaniom, jednak niektórych gatunków rzeczywiście lepiej unikać. Ja stronię od pangi, ze względu na możliwość zanieczyszczenia metalami ciężkimi, obecność chemioterapeutyków i innych niekorzystnych dla nas substancji w jej mięsie.

Pamiętajmy, że jeszcze w latach 80. zdecydowana większość ryb, które lądowały ↦

ZHANE LUK / ADOBE STOCK

eprasa.pl 93c52441ba

↦ na naszych stołach, pochodziła z rybołówstwa. Dzisiaj połowa ryb trafia do nas z akwakultury, a połowa z odłowów.

Ryba z odłowów jest zdrowsza, ale w tej chwili masowe odłowy stanowią zagrożenie dla równowagi wodnych ekosystemów.

To prawda, dlatego akwakultura to gałąź produkcji żywności, która najszybciej się rozwija – wielkość produkcji ciągle rośnie. Jej ślad węglowy jest znacząco niższy w porównaniu z np. hodowlą bydła. Ryby stanowią dla nas bardzo ważne źródło białka, zawierają kwasy tłuszczowe omega 3, ważne dla funkcjonowania serca czy mózgu. Natomiast sporo hodowli nie zapewnia im odpowiednich warunków do zdrowego wzrostu.

Mówił Pan, że w stawach ryby mają lepiej. Nie można przegiąć z liczbą karpi w stawie?

Pewnie to możliwe, ale trudno mi sobie wyobrazić masową obsadę karpi w stawie. Mają tam jednak zdecydowanie więcej miejsca do pływania niż w klatkach, mają dostęp do naturalnego pokarmu. Stąd mięso karpia jest zdrowsze niż ryby hodowanej w dużym zagęszczeniu, karmionej tylko sztucznym pokarmem.

Czyli powinniśmy docenić nasz rodzimy gatunek.

Zdecydowanie. Jednak wszyscy wiemy, jaki jest z nim problem – ma liczne ości i nie każdemu jego mięso smakuje. Polska słynie z produkcji karpia, tradycja hodowli sięga XII w., kiedy to przywędrował do nas z Czech. Hodowlę karpia w Polsce rozpoczęli cystersi. Wtedy spożywano go m.in. w długich okresach postu i w czasie świąt. Dziś w Polsce 80 proc. całej produkcji jest spożywane jako pokarm wigilijny.

Da się go kupić o innej porze roku?

Oczywiście, w Bawarii serwują go przez cały rok. Ale chyba najsmaczniejszy jest zimą.

To prawda, że na Wigilię są specjalnie przygotowywane, czy to miejska legenda?

Żadna legenda, tylko dobra praktyka. W hodowli na różnych etapach rozwoju karpie są przenoszone do innego rodzaju stawów. Dobrzy hodowcy na kilka tygodni przed Wigilią przenoszą je do betonowego zbiornika z przepływającą woda, co powoduje ich oczyszczenie. Na co dzień żerują głównie na dnie, blisko mułu, z którego pobierają pokarm, stąd bierze się ten mulisty smak w przypadku źle przygotowanych karpi. Zimą karpie też mniej żerują. Więc jakiś sens w tym, że jemy go na Wigilię, jest.

ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. KRZYSZTOF RAKUS
jest profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, immunologiem porównawczym, kierownikiem Zakładu Immunologii Ewolucyjnej na Wydziale Biologii UJ. Bada mechanizmy odporności ryb na patogeny.

Nadal bada Pan tradycyjne karpie?

Już mniej. Po powrocie na Uniwersytet Jagielloński w 2016 r. zacząłem pracę na kuzynie karpia, danio pręgowanym, po angielsku zwanym *zebrafish*, ze względu na charakterystyczne paski na boku. Ta niewielka rybka karpiowata jest dla biologów bardzo ważna, bo stanowi jeden z modelowych organizmów, na których prowadzi się różnego rodzaju doświadczenia.

Dlaczego akurat danio?

Ma kilka charakterystycznych cech, m.in. larwy i embriony tej rybki są przezroczyste, więc embriolodzy mogą obserwować rozwój różnych narządów. Poza tym zajmuje niewiele miejsca – dorosłe osobniki mają do 5 cm. Występuje też u niego dymorfizm płciowy, czyli można łatwo odróżnić samca i samicę, co ma znaczenie przy rozrodzie tych rybek. W warunkach naturalnych rozmnażają się o wschodzie słońca – wraz z pierwszymi promieniami przystępują do tarła. Jeśli więc chcemy pracować na larwach danio, musimy go zmotywować do rozrodu.

Jak to robicie?

Na co dzień żyją w zwierzętarni w specjalnych akwariach, gdzie większość parametrów wody jest automatycznie sterowana – temperatura, pH, przewodność właściwa. Gdy chcemy uzyskać larwy, wyławiamy samce i samiczki, przenosimy je do tzw. zbiorników tarliskowych i zostawiamy na noc w ciemności. Rano światło nie włącza się od razu, tylko powoli, symulując wschód słońca. Jeśli wieczorem umieścimy rybki w takim zbiorniku, rano przystąpią do tarła, więc gdy przychodzimy do pracy, to mamy już na dnie zbiornika zapłodnione ikrzynki, z których rozwijają się larwy.

W laboratoriach na całym świecie dostępnych jest wiele linii transgenicznych danio pręgowanego, czyli różnego rodzaju mutantów, które mają wyłączone określone geny. Możemy je wykorzystywać w badaniach, by sprawdzać, jak dany gen wpływa na odpowiedź immunologiczną ryby. To może mieć przełożenie na badania na człowieku.

Ile macie danio pręgowanych?

Zwierzętarnia, którą udało nam się stworzyć w Zakładzie Immunologii Ewolucyjnej na Uniwersytecie Jagiellońskim, liczy ponad 5 tys. dorosłych osobników i stanowi jedną z największych w Polsce. Nosi teraz dumną nazwę Zebrafish Core Facility, i jest to platforma dla badaczy z całego uniwersytetu. Np. na larwach danio wykonuje się ksenotransplantację komórek nowotworowych, więc ma zastosowanie w badaniach nad rakiem.

Rybki zabija się w celach badawczych?

Rzadko, gdyż większość badań prowadzimy na larwach. Dorosłe ryby zwykle utrzymuje się przy życiu do dwóch lat, a potem poddaje się eutanazji. Im starsze ryby, tym większa szansa, że pojawią się jakieś zakażenia, które będą zagrożeniem dla całej zwierzętarni. Są oczywiście pod stałą opieką lekarza weterynarii, który dba o ich dobrostan.

Badał Pan też mechanizmy gorączki u ryb.

Tak, to były badania prowadzone jeszcze na karpiach.

eprasa.pl 93c52441ba

W przypadku ryb, które są zmiennocieplne, mówimy o gorączce behawioralnej – czyli zmianie w zachowaniu. Ryby wędrują do miejsc, w których temperatura wody jest wyższa, by w ten sposób podwyższyć temperaturę swojego ciała. W literaturze opisano, że wspomniany na początku wirus KHV powoduje masowe śnięcia karpi, ale w określonej temperaturze – od 18 do 28 st. Celsjusza. Wiedzieliśmy też, że wirus KHV nie replikuje w temperaturze powyżej 30 st. Celsjusza. Postawiliśmy więc pytanie: czy jeśli zakażone ryby będą w gradiencie temperatury i będą miały możliwość przepłynięcia do zbiornika o temperaturze powyżej 30 stopni Celsjusza, to czy zaobserwujemy u nich gorączkę behawioralną i jaki będzie ona miała wpływ na rozwój choroby?

Okazało się, że ryby, które wpłynęły do przedziału z wyższą temperaturą wody, w 100 proc. przeżywały zakażenie. W wysokiej temperaturze niektóre mechanizmy odpornościowe działają lepiej, a wirus nie replikował się. Udało nam się wykazać, że mechanizmy gorączki u ryb i człowieka są bliskie, co sugeruje, że do ich powstania doszło bardzo wcześnie.

Czyli hodowcy ryb w czasie choroby mogliby podnieść temperaturę całego zbiornika?

Teoretycznie tak, ale w przypadku stawów jest to bardzo trudne. Kontaktowali się ze mną hodowcy karpi, zastanawiając się, czy nie stworzyć w stawie enklaw z wyższą temperaturą. Niestety podgrzanie wody do ponad 30 proc. stopni Celsjusza nawet latem to ogromny wydatek w naszej strefie klimatycznej.

A w naturze jakie to będą miejsca?

Bardzo nasłonecznione. W naturalnych stawach też jest gradient temperatury – pionowy, czyli im niżej, tym niższa temperatura, i poziomy – czyli miejsca zacienione i nasłonecznione. Jednak to nie jest tak, jak w laboratorium, gdzie zbudowaliśmy długie akwarium z trzema przedziałami o różnej temperaturze wody: 24, 28 i ponad 30 st. Celsjusza. Jego zbudowanie było bardzo trudne, zajęło nam pół roku.

Najbardziej fascynujące w tych badaniach było to, że udało nam się opisać, jak wirus wpływa na zachowanie ryb, by przebywały jak najdłużej w zbiorniku o niższej temperaturze, gdzie mógł się replikować.

Jak wirus to robi?

Podobnie jak u człowieka, u karpi gorączka jest wywoływana przez cytokiny prozapalne. To są białka produkowane przez komórki układu immunologicznego w momencie infekcji. Cytokiny działają na inne komórki i narządy. W mózgu m.in. powodują aktywację struktury odpowiedzialnej za podwyższenie temperatury ciała u człowieka, a u ryb – migrację do cieplejszych miejsc.

Okazało się, że wirus koduje białko, które wyłapuje cytokiny prozapalne odpowiedzialne za rozwój gorączki, żeby uniemożliwić tym cząsteczkom działanie i jak najdłużej utrzymać rybę w niskiej temperaturze, gdzie wirus może się replikować i zakażać. Udało nam się potem stworzyć wirusa pozbawionego genu kodującego to białko blokujące cytokiny. Ryby zakażone tym wariantem wirusa migrowały szybciej do ciepłej wody.

A co bada Pan na danio pręgowanym?

Obecnie zajmuję się szczepionkami na bazie mRNA dla akwakultury. Pandemię covid-19 udało się nam zahamować m.in. dzięki masowym szczepieniom, w większości były to właśnie szczepionki mRNA, słabo do tej pory przebadane na rybach. Obecnie z wykorzystaniem modelu danio pręgowanego badam szczepionki mRNA przeciwko wirusowi TiLV – *tilapia lake virus*, który powoduje masowe śnięcia tilapii nilowej. A jeśli chodzi o ryby słodkowodne, to tilapia nilowa jest w ścisłej czołówce pod względem produkcji na świecie. Głównie produkowana jest w Azji Południowo-Wschodniej, Afryce i Brazylii – ma ogromne znaczenie dla wyżywienia tamtejszych populacji.

Patogeny zawsze będą się pojawiać, ale może nauczymy się dobrze zabezpieczać ryby, by jak najmniej z nich ginęło.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Zapraszamy na wyjątkowe spotkanie redakcji i czytelników „Tygodnika Powszechnego”.
W samym sercu Krakowa stworzymy przestrzeń dla głębokiej rozmowy o tym, co dziś naprawdę ważne.

KIEDY: **Piątek, 29 maja 2026 r., godz. 12.00**
GDZIE: **Muzeum Manggha, Kraków**

W PROGRAMIE:
Spotkania autorskie, rozmowy o najważniejszych wyzwaniach współczesności i **kameralny koncert Grzegorza Turnaua**.

Więcej informacji i bilety:
https://evenea.pl/pl/wydarzenie/ZlotPowszechny

ZAMÓW BILET!

zlot POWSZECHNY
29 maja 2026

Będą z Wami m.in.:

Grzegorz Turnau
TP. NA ŻYWO

Ewelina Burda
Marcin Napiórkowski
TP. NA ŻYWO

Ks. Adam Boniecki
Piotr Mucharski
Jacek Stawiski
TP. NA ŻYWO

prof. Bogdan de Barbaro
Katarzyna Kubisiowska
TP. NA ŻYWO

Michał Okoński
Tomasz Stawiszyński
TP. NA ŻYWO

eprasa.pl 93c52441ba

TEATR TELEWIZJI

AUTOR
Robert Talarczyk

ANDRZEJ CHYRA
(Ernest Wilimowski)

REŻYSERIA
Janusz Zaorski

ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI
(Kazimierz Górski)

E Z I

PREMIERA | 23.02 | TVP 1

NAJWIĘKSZA SCENA ŚWIATA

PREMIERY W PONIEDZIAŁKI I 20:30 I TVP1

fot. Przemysław Jendroska

eprasa.pl 93c52441ba

TEATR TELEWIZJI

WIOSNA W TEATRZE TELEWIZJI

W wiosennym repertuarze TEATRU TELEWIZJI znajdą się zarówno realizacje klasyki, jak i współczesnych tekstów, rejestracje uznanych spektakli, nowe przedstawienia teatru familijnego, a także lżejsze propozycje dla szerokiej publiczności.

KLASYKA
W najbliższych tygodniach w TEATRZE TELEWIZJI m.in.: *Bezimienne dzieło* Witkacego w reżyserii Jana Englerta, *Stara kobieta wysiaduje* Tadeusza Różewicza czyli legendarny monodram Ireny Jun z Teatru Studio w jej reżyserii, *Potop* Henryka Sienkiewicza w adaptacji i reżyserii Michała Siegoczyńskiego (rejestracja popularnego spektaklu z gdańskiego Teatru Wybrzeże), a także *Moralność pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej w interpretacji Agnieszki Glińskiej.

ROK WAJDY
W 2026 roku mija 100. rocznica urodzin i 10. rocznica śmierci Andrzeja Wajdy. TEATR TELEWIZJI zaprasza z tej okazji na *Wszystko na sprzedaż* w reżyserii Mateusza Atmana i Agnieszki Jakimiak – hołd dla jednego z najwybitniejszych twórców polskiego kina, twórczy remake słynnego filmu z '68 roku. Najbardziej awangardowy film Andrzeja Wajdy w interpretacji jednego z najbardziej awangardowych duetów współczesnego teatru.

DEBATA SPOŁECZNA
Częścią misji publicznej realizowanej przez TEATR TELEWIZJI jest inaugurowanie społecznej debaty, a jednym z istotnych tematów tej debaty jest rola Kościoła we współczesnym świecie. Do TEATRU TELEWIZJI wraca Marcin Liber – reżyser znany z inscenizacji *Ale z naszymi umarłymi* Jacka Dehnela. Tym razem przygotowuje *Prałata* na podstawie napisanego na zamówienie tekstu Michała Kmiecika, czyli spektakl o smażącym się w piekle księdzu Jankowskim.

TEATR POPULARNY
Nie zabraknie pozycji o lżejszej tematyce. Janusz Zaorski przygotowuje tekst Roberta Talarczyka *Ezi* – opowieść o nietypowym spotkaniu, do którego doszło w 1974 roku w RFN, podczas mistrzostw świata w piłce nożnej, pomiędzy „trenerem wszechczasów" Kazimierzem Górskim i Ezim, czyli Ernestem Wilimowskim, jednym z najlepszych polskich piłkarzy międzywojnia. Z kolei Damian Kocur przygotowuje razem z Martą Bacewicz remake kultowego *Czterdziestolatka* – wzruszającą i zabawną opowieść o tym, jak wygląda życie współczesnego czterdziestolatka. Nieco zwariowana, pełna chaosu, ale też bardzo czuła historia o relacji ojca i córki.

KONKURS *NARRACJE NIEOBECNE*
Do końca lutego trwa nabór tekstów w drugiej już edycji konkursu na scenariusz – a równolegle zbliża się premiera spektaklu opartego na zwycięskim tekście z pierwszej edycji, czyli *Stanu podgorączkowego* Mariusza Gołosza w reżyserii Nastazji Gonery. To teatralna opowieść o pandemii COVID-19 – próba zmierzenia się z doświadczeniem, które wciąż dopomina się namysłu, przepracowania i reprezentacji.

KOBRA
Mija 70. lat od inauguracji legendarnego Teatru Sensacji Kobra. TEATR TELEWIZJI przypomni z tej okazji niektóre jej realizacje, a także szykuje dwie nowe, sensacyjne premiery – Juliusz Machulski realizuje autorski tekst pt. *Wnuczka Picassa*, a Krystyna Janda reżyseruje *Wszystko czerwone* Joanny Chmielewskiej.

SCENA MŁODEGO WIDZA
W najbliższych miesiącach w TEATRZE TELEWIZJI dwie premiery specjalnie z myślą o młodszej widowni – propozycje do wspólnego, rodzinnego oglądania. Będą to *Piekło-Niebo* Marii Wojtyszko w reżyserii Jakuba Krofty, czyli brawurowy spektakl z Teatru Narodowego, familijna, baśniowa i bardzo dowcipna komedia, która przystępnie, uważnie porusza temat utraty, oraz *Kanato* w reżyserii Magdaleny Małeckiej-Wippich, czyli baśniową wyprawę do krainy wierszy Jana Brzechwy.

Do końca lutego trwa nabór tekstów w drugiej edycji konkursu NARRACJE NIEOBECNE. Tegorocznym tematem jest PRACA. Główna nagroda to 55 tysięcy złotych oraz realizacja scenariusza w formie spektaklu TEATRU TELEWIZJI.

Szczegóły oraz regulamin na stronie TEATRTV.TVP.PL w zakładce KONKURS.

REKLAMA

eprasa.pl 93c52441ba

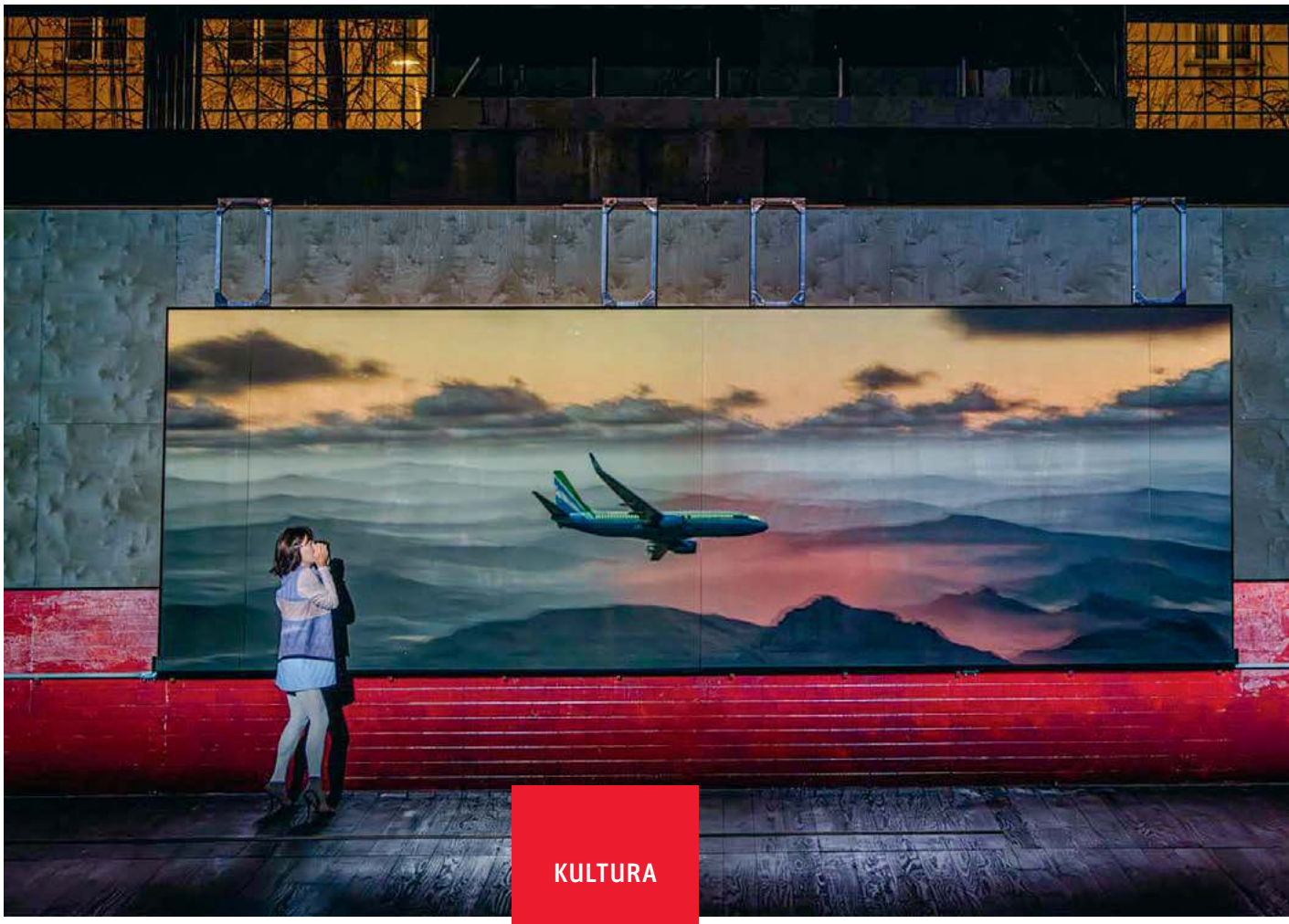

KULTURA

ARIA TRAUM

Czas powiedzieć: stop. Mamy dość masakry i ludobójstwa odgrywanego na scenie tylko po to, by śmietanka towarzyska poczuła się lepiej.

DARIUSZ KOSIŃSKI

W trakcie premierowego pokazu „Europy" kilkakrotnie łapałem się na rozważaniu, co odpowiem na podstawowe popremierowe pytanie: „i jak?", co już samo w sobie nie świadczy najlepiej o sile przyciągania tego przedstawienia. Co gorsza, miałem wiele momentów jego odrzucenia, a może ze dwa tylko – akceptacji. Po wyjściu z Nowego Teatru, gdy oczekiwane pytanie padło, odpowiedziałem szczerze i uczciwie – że to strasznie męczące i chyba nie warto było tłuc się spóźnionymi pociągami przez zasypaną śniegiem Polskę do zmrożonej Warszawy.

Jasne – nikt, kto się wybiera na przedstawienie Krzysztofa Warlikowskiego, nie spodziewa się, że będzie lekko. Mierzenie się z ciemnym świecidłem współczesności przy użyciu wielkich mitów i dzieł (a może raczej znanych marek?) ze „skarbca kultury" z zasady wymaga wysiłku i łatwe nie jest. Ale w dawniejszych przedstawieniach Warlikowskiego – tych najsłynniejszych jak „Hamlet", „Oczyszczeni", „Burza" czy „(A)pollonia" – była energia prowokacji i zaskakujących pomysłów.

Była drapieżność trafiająca w jeszcze nie wypowiedziane sedno. Były też głód i pragnienie – jeśli nie wypowiedzenia siebie, to przynajmniej uznania prawa do własnego głosu. Nawet w spektaklach

eprasa.pl 93c52441ba

MAGDA HUECKEL / NOWY TEATR

Spektakl „Europa" w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego, Nowy Teatr w Warszawie

późniejszych, coraz bardziej przewidywalnych i przestudzonych, zdarzały się, częściowo dzięki ich wielowątkowej i kolażowej kompozycji, przypływy i wartkie strumienie energii odnawiające przynajmniej na chwilę te teatralne repryzy śmierci w starych dekoracjach.

Z tego wszystkiego pozostały w przedstawieniu najnowszym już nawet nie powidoki, a jedynie dalekie echa, tak przytłumione, że nie wiadomo, czy dochodzą ze sceny, czy raczej z naszej, widzów pamięci.

Trzy siostry

„Europa" nie jest kolażem tekstów. Jest autorską inscenizacją jednego: „Przysięgi Europy" libańsko-kanadyjskiego pisarza, reżysera i aktora Wajdiego Mouawada. I już tu zaczyna się problem, bo – delikatnie mówiąc – nie jest to rzecz udana. Choć pozornie wygląda jak dramat, w lekturze okazuje się erudycyjnym esejem rozpisanym na alegorie, przesyconym do szpiku kości francuską tradycją literacką i intelektualną. Przesyconym i przygniecionym, bo przeładowanym odwołaniami do mitologii i historii kultury śródziemnomorskiej ze szczególnym uwzględnieniem tego, co wiąże się z pojęciem tragedii i tragiczności.

Daje to wdzięczny materiał na seminarium uniwersyteckie lub serię tematów dla wyrafinowanych artykułów analityczno-interpretacyjnych. Ale w teatrze, zwłaszcza „nowym", z jakiego w końcu wyrasta Warlikowski, raczej się nie sprawdza. Ze sceny słychać nieustannie szelest papieru, a przy każdym silniejszym podmuchu emocji fasada niby-tragedii sypie się i odsłania starodawne schematy pouczających sztuk z tezą. Gdy tylko jakieś energie teatralne, uruchamiane dzięki doświadczeniu inscenizatora i/lub talentowi osób aktorskich, próbują wzlecieć, natychmiast wikłają się w gąszcz przypisów i zaraz zwisają z wieszaka jak płaszcz z oskubanych wron.

Tytułowa Europa to stara kobieta (gra ją Andrzej Chyra), która jako ośmioletnie dziecko była świadkiem, a nawet współuczestniczką okrutnej rzezi plemiennej – jednego z wielu powtarzających się aktów ludobójstwa, o których i dawniej, i dziś słyszymy, ale nie chcemy słuchać. Po latach decyduje się opowiedzieć o tym, co widziała i co sama zrobiła, zgadzając się na złożenie zeznań przed śledczą ONZ Assią (Magdalena Cielecka).

Stawia jednak warunek: musi dojść do spotkania jej trzech córek porzuconych przed laty jako niemowlęta i nieznających swojej prawdziwej matki. Zanim trzy siostry – Greczynka Mėgara (Magdalena Popławska), francuska pochodzenia arabskiego Wediaa (Małgorzata Hajewska-Krzysztofik) i mieszkająca w Quebecu Jovette (Maja Ostaszewska) spotkają się z matką, poznajemy zarysy ich historii.

Kasza alegorii

Swoje dopełnienia i kulminacje znajdą one już w trakcie owego spotkania – w oczekiwanych i nieuchronnych jak wystrzał czechowowskiej strzelby scenach wyznań, odsłaniających ukryte piętno, jakimi naznaczone są „córki masakry".

Najbardziej rozbudowana jest historia Wedii, której syn, Zachariasz (Bartosz Gelner), ulegając odpowiednio straszliwej klątwie, zamordował i zjadł swoją dziewczynę. Matka próbuje zrozumieć, co popchnęło go do tej zbrodni i zarazem zmusić do wyjawienia, gdzie jest ciało zamordowanej. Ale nawet, gdy Zachariasz odmawia, nie wyrzeka się syna i swojej do niego miłości.

W sztuce Mouawada ta miłość ma moc ocalającą, a w finałowym pouczeniu Europy Wediaa jest jednoznacznie wskazywania jako wzór postawy etycznej (wiecie: *love is the answer*). W efekcie całość brzmi jak współczesny wariant jakiegoś humanistycznego moralitetu dydaktycznego.

W programie do przedstawienia opublikowano tekst „Przysięga Europy" w przekładzie Jacka Poniedziałka, co może i jest przysługą, ale nieco niedźwiedzią. Dzięki temu można bowiem zobaczyć, jak nieznośnie papierowa i literacko słaba jest ta kasza z alegorii w sosie z traum i makabry.

Ale można też docenić, ile starań włożyli w jej choćby częściowe ocalenie i ożywienie autorzy adaptacji, Krzysztof Warlikowski i Piotr Gruszczyński. Naprawdę zrobili, co mogli, ale z historii o doktorze Frankensteinie aż za dobrze wiadomo, jak kończą się próby ożywiania trupa.

Zgrana ekipa

Trzeba też oddać Warlikowskiemu, że jako doświadczony reżyser operowy także inscenizacyjnie robi wiele, by tchnąć w ten wysilony elaborat jakieś życie. Precyzyjnie rozplanowuje poszczególne sceny, buduje na słabej konstrukcji atrakcyjne obrazy, które jak zwykle będą świetnie wyglądać na promocyjnych zdjęciach. Ale wszystko to jest już do bólu znane i oczywiste. Warlikowski, Szczęśniak, Ross, Mykietin, Gruszczyński – cała ta ekipa pracująca ze sobą od lat i znająca się jak stare dobre małżeństwo wydaje się już bardzo sobą zmęczona.

Są jak zespół rockowy, który znowu rusza w trasę, by zagrać dla tęskniących za minioną młodością fanów swoje buntownicze pieśni sprzed kilku dekad. W spektaklu pojawia się nawet refren jednej z nich – tej samej, którą słyszałem, gdy z przerażeniem i smutkiem uciekałem z koncertu Rolling Stonesów na Narodowym.

Do zgranej (podwójny jest sens tego słowa) ekipy Nowego należą też te same co zawsze aktorki i ci sami aktorzy. ↦

eprasa.pl 93c52441ba

↦ Z należytą świadomością chwili wnoszą swoje wartościowe nazwiska i markowe twarze do przedstawienia już zakontraktowanego jako wydarzenie. Od samego początku jest jasne, że wszyscy mają zapewnione prawo do wykonania w określonym momencie odpowiednio znaczącej partii popisowej – arii z traumą, w której będą mogli po raz kolejny dowieść przekonująco wyjątkowej jakości swojego aktorstwa.

Zanim do tej solówki dotrą, radzą sobie z papierem Mouawada, jak mogą – recytatywami pozornego skupienia, chwytami z seriali albo (to chyba najczęściej) zabawą w stereotypy, które się już wiele razy udanie spieniężyło. Weź trochę mydła i trochę opery, dodaj nieco drwiny z siebie, szklankę wymiotów i łyżkę krwi z poronienia, wszystko zmieszaj – i kreacja gotowa. Ale trudno ich winić, bo naprawdę w tym tekście nie ma poza ariami czego grać, a na scenie być trzeba, więc się żuje gumę, nerwowo przeklina, znacząco patrzy w dal i pali z przejęciem papierosy.

Procesja figur

Tym ostatnim ratuje się zwłaszcza Andrzej Chyra, obsadzony w roli Europy, chyba po to, żeby ostatecznie wyczyścić z niej wszystko, co w tekście chwilami wygląda na jakiś osad sentymentalnego „kobiecego ciepła". Naprawdę próbowałem znaleźć w tej roli coś, poza przynoszącym zawód wykonywaniem zawodu.

Przyszło mi nawet do głowy, że Chyra jest tu jakimś znakiem nieobecności Ewy Dałkowskiej, która mogłaby przynajmniej podjąć próbę nawiązania nici jakiegoś porozumienia z postacią i zdobycia dla niej choć cienia współczucia. Albo też braku Jadwigi Jankowskiej-Cieślak, bo ta w roli Europy jako skamieniałej Niobe zapewne znakomicie by się odnalazła. Chyra niestety zamienił tytułową postać przedstawienia w jakiś sztywny a grubo ciosany posąg, który ani na chwilę nie wydaje się jakkolwiek poruszony tym, co się wokół dzieje i co sam aranżuje. Niekiedy ta jego sztywność jest wręcz irytująca, bo wygasza energie partnerujących mu aktorek, odbijających się od niej jak od lodu.

W całej tej procesji płaskich figur, z jakich buduje swoją wysiloną sztukę Mouawad, wyróżnia się wątek Wedii i jej syna. Jako jedyny ma znamiona dramatu, rozwijającego się wokół relacji matki kochającej zbrodniarza zrodzonego z klątwy, którą to ona mu nieświadomie przekazała.

Ekipa Warlikowskiego jest jak stary zespół rockowy, który gra swoje buntownicze pieśni już tylko dla tęskniących za minioną młodością fanów.

Nie jestem wprawdzie pewien, czy gdyby zamiast „Przysięgi Europy" literat spróbował zająć się tym fatum, otrzymalibyśmy rzeczywiście współczesną tragedię (to zadanie, z którym nie poradzili sobie o wiele zdolniejsi od niego), ale przynajmniej miałby zagwarantowanych świetnych wykonawców głównych ról. I Małgorzata Hajewska-Krzysztofik i Bartosz Gelner w tych fragmentach, które dostali, pokazują dowodnie, co mogliby zrobić, gdyby mieli nie kawałki, ale cały dramat do zagrania.

Paplanina

Można by ciągnąć te recenzencki elaborat i pewnie udałoby się znaleźć jeszcze jakieś elementy broniące to przedstawienie (np. choreograficzna partia Claude'a Bardouile'a jako ośmioletniej Europy). Ale „Europa" to niestety ocierająca się niemal o parodię kolekcja sztamp i schematów myślowych, obrazowych i tematycznych współczesnej europejskiej kultury inteligenckiej oraz wiernego jej teatru.

Ukryta zbrodnia! Trauma ożywiona po latach! Tragiczna klątwa sięgająca przez wieki! Wina rozciągająca się na pokolenia! I oczywiście odpowiednio zatroskane wzmianki o Gazie, Libanie, Rwandzie, Jemenie, Sudanie i wszystkich innych możliwych do wymienienia miejscach, gdzie dokonują się zbrodnie ludobójstwa.

Siedząc w modnym warszawskim teatrze, patrząc na znane z okładek i ekranów twarze aktorek i aktorów i równie znane – widzek i widzów, którzy po premierze w świetnym towarzyskim nastroju zgromadzili się we foyer, by pogadać przy winku, miałem szczerą ochotę zapytać twórców przedstawienia: panie i panowie, tak serio – co wy tu robicie? Co ta wasza artystyczna produkcja, cały ten teatralny *european pudding* ma wspólnego z ciałami mordowanych dzieci, kobiet i mężczyzn, o których z odpowiednio stłumionym drżeniem w głosie opowiadają wasi aktorzy. Co tu się właściwie odstawia?

Może pomówmy wreszcie bez tej całej intelektualnej paplaniny, bez tej retoryki, którą pan autor posługuje się nad wyraz zręcznie, czego dowodzą jego publikowane w programie wykłady (oczywiście wygłaszane na wysokościach Collège de France, a jakże). Czy pan reżyser nie zechciałby sobie może przypomnieć, że kiedyś był wiązany z teatrem, który miał bez ogródek mówić w pysk najbardziej bolesne prawdy i choć on akurat najostrzejsze z nich pięknie komponował ku zadowoleniu estetów, to jednak było w tamtych jego przedstawieniach jakieś serio, jakaś autentycznie ważna sprawa.

Zupełnie serio

Ja naprawdę nie jestem naiwnym młodziakiem i dobrze wiem, jak się miękko zostawia dawne rebelie i niezgody, jak chętnie i przymilnie akceptuje się własną bezsilność. I jak nieustannie jesteśmy kuszeni, by odprawiać koleją autoliturgię przed ołtarzem stawianym samemu sobie. Ale używać do tego zakatowanych? Opowiadać z serialowym przejęciem o pożeraniu dzieci przez psy, gwałceniu dziewczynek przy pomocy noża i rozpruwaniu ich ciał, by co? By dostać na końcu owację na stojąco i zaproszenie na elegancki festiwal dla bogaczy?

Gdzie jest tu jakakolwiek poważna próba odpowiedzi na realne pytania o własną odpowiedzialność. Nie odpowiedzialność jakiejś wydumanej madame Europy, ale tej, którą jesteśmy my: pan pisarz, pan reżyser, państwo aktorzy i państwo widzowie. Ja też.

Więc ja powiem, co myślę. Mam dość teatru traum wyśpiewywanych przez telewizyjne gwiazdy, by śmietanka towarzyska poczuła się lepiej. Przestańcie budować sobie etyczne cokoły na cudzych cierpieniach. Zajmijcie się sobą. Wszyscy wasi widzowie będą zadowoleni, a pomordowani zaznają nieco spokoju.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Najbliższe pokazy „Europy" w warszawskim Nowym Teatrze odbędą się w weekend 19-22 lutego.

eprasa.pl 93c52441ba

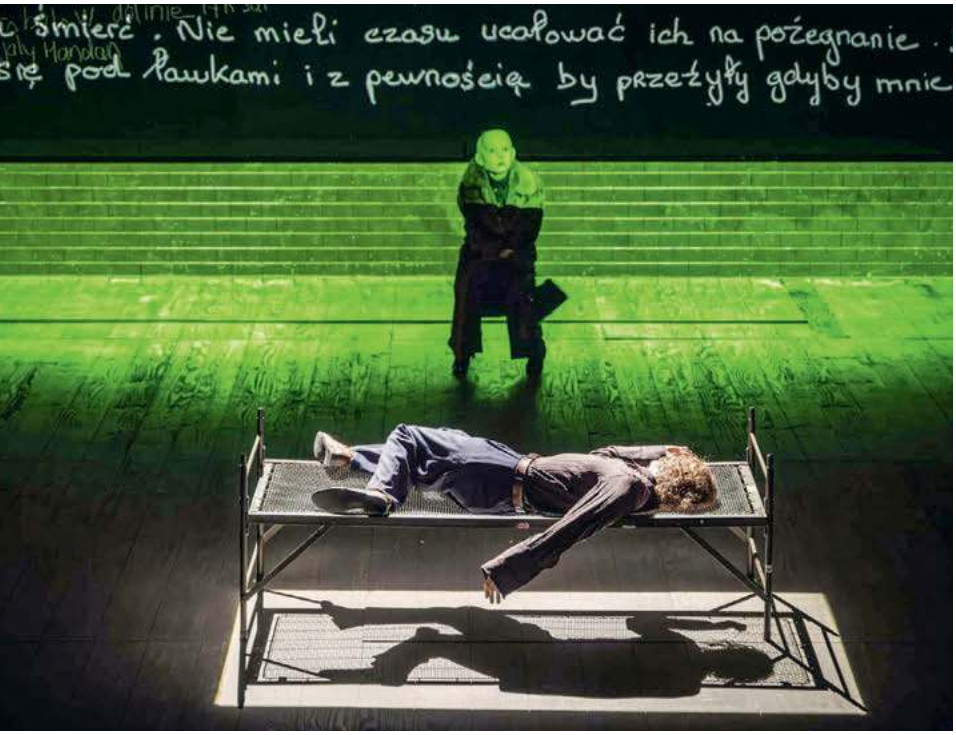

MAGDA HUECKEL / NOWY TEATR

Spektakl „Europa" w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego, Nowy Teatr w Warszawie

Milczący świadkowie

MICHAŁ BILEWICZ

KOMENTARZ | Europa ze sztuki Mouawada mogła być jedną z dziewczynek patrzących na płonące getto z karuzeli na Placu Krasińskich.

Zmarły niedawno amerykański psychiatra Robert Jay Lifton badał ocalałych z Holokaustu oraz mieszkańców Hiroszimy. Próbował opisać stan psychiczny ludzi, którzy byli świadkami śmierci tysięcy swoich rodaków. Pokazał, że człowiek konfrontujący się z taką tragedią ulega swego rodzaju symbolicznej śmierci.

To, co Lifton nazwał „winą wobec śmierci" (*death guilt*), prowadzi do reakcji przypominającej odrętwienie. Patrząc na śmierć bliskich, ludzie doznają swoistego zamrożenia emocjonalnego, które pozwala odsunąć od siebie poczucie winy z powodu własnej bierności. Winę zaś wywołuje sam fakt przeżycia wtedy, gdy inni zginęli.

By zdjąć z siebie poczucie winy, należy zerwać więź emocjonalną z ofiarą, co czasem – zdaniem Liftona – prowadzi wręcz do identyfikacji ze sprawcą. Jest to sposób adaptowania się do sytuacji krańcowej, konfrontacji ze śmiercią.

Młoda Europa, bohaterka dramatu Mouawada, cieszy się widokiem płonących domów i egzekucji całych rodzin zamordowanych przez jej bliskich. Wydaje się egzemplifikacją tego, o czym pisze Lifton. Nie jest bezpośrednią sprawczynią, lecz to, czego dowiedziała się o sobie, będzie kształtować losy jej potomków. To typowe dla osób doświadczających traumy.

Psychologiczne badania traumy świadków rzuciły światło na podobne zdarzenia i ich rodzinne konsekwencje. Próbowano wyjaśnić, jakie są następstwa bycia świadkiem przemocy domowej, śmierci na polu bitwy czy czystek etnicznych. Duże badanie mieszkańców Filadelfii wskazywało na pogorszony stan zdrowia potomków osób, które były świadkami przemocy domowej – choć, co ciekawe, sami świadkowie nie skarżyli się na podobne objawy.

Z drugiej strony, badacze żołnierzy powracających z wojny w Wietnamie zauważyli, że już samo bycie świadkiem śmierci wywoływało zespół stresu pourazowego, choć jednocześnie tego rodzaju stres pojawiał się jeszcze częściej wśród osób, które same zabiły bądź choćby jedynie podejrzewały, że zabiły przeciwników na polu walki.

Straumatyzowani świadkowie-rodzice mogą przekazywać swoją traumę kolejnym pokoleniom. Badania epigenetyczne sugerują, że traumatyczne doświadczenia rodziców mogą modyfikować ekspresję genów u ich potomków. To jednak obserwowano głównie u ofiar doświadczających traumy (np. wśród silnie niedożywionych matek, ofiar głodu w Holandii w 1944 r. – co wpływało na zmiany genetyczne i w efekcie poronienia u ich córek).

Z drugiej strony, przed dekadą grupa szwajcarskich i rwandyjskich badaczek zauważyła, że za międzypokoleniowy przekaz zespołu stresu pourazowego w rodzinach świadków zbrodni dokonanych na Tutsich może odpowiadać specyficzna zmiana ekspresji genów u matek, które w okresie ciąży były świadkiniami zbrodni. W efekcie kolejne pokolenia stają się również wyczulone na stres, żyją w ciągłym niepokoju. Dzieje się to nie w rodzinach ofiar, lecz właśnie wśród świadków zbrodni. Możliwe więc, że widok śmierci i sytuacja winy wobec śmierci innych mogą doprowadzić do fizjologicznych zmian u potomstwa.

Trauma świadka może też być przekazywana w relacji matki z dziećmi innymi drogami niż te *stricte* genetyczne. Specyficzna nadwrażliwość, niepokój, zaabsorbowanie obrazami zbrodni – co jest typowe dla klinicznego obrazu zespołu stresu pourazowego – w oczywisty sposób wpływają na relacje osób straumatyzowanych z potomstwem.

Słynna terapeutka i badaczka traumy, Yael Danieli, zwraca uwagę na przemilczenia jako ważny mechanizm przekazu ↦

eprasa.pl 93c52441ba

traumy. Straumatyzowani rodzice przekazują kolejnym pokoleniom niepokój i nadwrażliwość, ale nie potrafią wypowiedzieć tego, czego doświadczyli. Podobnie może być ze świadkami zbrodni. Doświadczenie bierności może prowadzić do potrzeby przemilczania, a jednocześnie do dehumanizowania ofiar. Kolejne pokolenia uczą się obwiniać ofiary, choć mogą nadal nie widzieć, czego doświadczyli ich rodzice.

„Przysięga Europy" swoją premierę miała w starożytnym teatrze w greckim Epidauros. Mouawada zawarł w niej nawiązania do fundacyjnych dla kultury europejskiej mitów, porwania Europy czy dzieciobójstwa Medei. Zdaje się przekonywać nas, że trauma świadków to esencja europejskiego doświadczenia. Trauma wszystkich tych, którzy – chcąc nie chcąc – przyłożyli rękę do kolonialnych zbrodni, biernie obserwując i eksploatując globalne Południe.

Przedstawienie to w Warszawie nabiera zupełnie innej wymowy. Europa ze sztuki Mouawada mogła być jedną z licznych dziewczynek patrzących na płonące getto warszawskie z karuzeli na Placu Krasińskich, przywołanej przez Miłosza w „Campo di Fiori". Mogła być jedną z dwudziestu par dziecięcych oczu, które przyglądają się egzekucji Żydów z Wrześni, upamiętnionych na obrazku nadesłanym po wojnie na konkurs Ministerstwa Oświaty przez jedno z tych dzieci.

Czy przypadkiem powojenny antysemityzm nie był właśnie uogólnioną „winą świadka"? Taką tezę postawił swego czasu w książce „Pamięć nieprzyswojona" Michael Steinlauf, powołując się zresztą na wspomniane tu już psychiatryczne badania Liftona. Świadkowie, którzy czuli się winni swej bierności, mieli skierować swoją nienawiść ku ofiarom, w ten sposób subiektywnie zmniejszając swoją odpowiedzialność. Skoro oni są „sami sobie winni", to my pozostajemy nieskazitelni.

Podobny mechanizm zauważyli też psychologowie eksperymentalni z Niemiec, Roland Imhoff i Rainer Banse. Dostrzegli oni, że Niemcy zaczynają wykazywać niechęć do Żydów, gdy tylko uświadomi się im skalę żydowskiej traumy spowodowanej przez zbrodnie niemieckiego narodowego socjalizmu. Gdy przypominano o międzypokoleniowym transferze odpowiedzialności u Niemców, wzrastała gotowość do obwiniania ofiar, a nawet ich potomków. Działo się to w sposób zupełnie nieświadomy.

Jeszcze bardziej pesymistyczną perspektywę odpowiedzialności świadków sugeruje w „Prześnionej rewolucji" Andrzej Leder. Twierdzi on, że mieliśmy tu do czynienia nie tyle ze świadkami, co z beneficjentami zbrodni. To zaś mimowolnie było źródłem przyjemności. Oglądana przez świadka zbrodnia miała w nim budzić „aktywną rozkosz, o której nie można już było zapomnieć i która, mimo poczucia winy, głęboko zmieniała doświadczenie samego siebie", jak pisze Leder.

Wina Europy ze sztuki Mouawada jest potęgowana przez fakt, że jej brat odważył się zaprotestować. Stąd próba wymazania go z pamięci, choć makabryczne wspomnienia powracają po latach. Podobnie jak próby uciszania osób ratujących Żydów bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej, przemilczanie podobnych historii w Serbii czy w Turcji.

Sprawiedliwi wrócą dopiero po latach, tym razem jako zbiorowe alibi. Ale w gruncie rzeczy jednak też jako wyzwanie moralne i uświadomienie kolejnym pokoleniom, że nawet w ekstremalnej sytuacji każdy człowiek miał wybór.

Leczenie traumy to prawie zawsze jej opowiedzenie. Opowiedzenie jej tym, którzy chcą słuchać. Andreas Maercker zwraca uwagę na społeczne uznanie. To nie tylko terapeuta, ale też rodzina, społeczność i państwo są warunkiem powrotu do zdrowia po traumie. Czy jednak rodziny gotowe są słuchać? Czy potomni nie są zbyt zaangażowani w obwinianie ofiar – wypełniając testament straumatyzowanych świadków? Na te pytania poszukują dziś odpowiedzi psychiatrzy i psychologowie.

Wediaa ze sztuki Mouawada krzyczy: „Potrzebujemy, żeby się coś otworzyło. Żeby wpuścić powietrze! Żeby się dało oddychać! Coś! Coś, co mówi prawdę!". Czy jednak jest na nią gotowa? Czy my jesteśmy? Czy Warlikowski będzie umiał nas do tego skłonić?

© MICHAŁ BILEWICZ

Lubię być słuchaczką

CATHERINE LACEY, PISARKA:

ROZMOWA | Związek dwojga ludzi jest doświadczeniem akceptacji własnego zagubienia. Koniecznością uznania, że nigdy nie pojmiemy siebie.

OSADZONA W ALTERNATYWNEJ HISTORII powieść Catherine Lacey skonstruowana jest jako pośmiertna biografia tajemniczej artystki o pseudonimie X.

W 1945 r. Stany Zjednoczone zostają podzielone na postępową Północ, pozornie neutralny Zachód oraz totalitarne Terytoria Południowe, odgrodzone od reszty kraju murem. X jest charyzmatyczną artystką, muzyczką, pisarką i wydawczynią, a przede wszystkim buntowniczką, która sprawia wrażenie kogoś, kto przeżył więcej niż jedno życie.

Opowieść podąża za CM Luccą, żoną X, która próbuje odkryć prawdę o zmarłej partnerce. Gdy CM gubi się wśród rozbieżnych narracji i fałszywych poszlak, które zostawiła po sobie X, również czytelnicy wpadają w zastawione przez autorkę pułapki: sfalsyfikowane zdjęcia, przypisy, a nawet postacie historyczne przemawiające głosem innych pisarek i pisarzy.

Lacey, wyobrażając sobie na nowo historię, tworzy zaskakujący obraz życia artystki oraz kobiety, która ją kocha.

ALEKSANDRA KAMIŃSKA: „Biografia X" opowiada alternatywną historię Stanów Zjednoczonych, bardzo bliską powojennym doświadczeniom Europejczyków.

CATHERINE LACEY: Tak, choć warto podkreślić, że jako osoba dorastająca na Południu znam zupełnie inne Stany niż ci, którzy mieszkali wyłącznie na wybrzeżach. Oglądaliśmy nieco inną rzeczywistość. Wiele osób, które dorastały w Stanach, może również nie wiedzieć, że nie tak dawno temu w Europie wydarzyło się

eprasa.pl 93c52441ba

ANNA HUIX / MATERIAŁY PRASOWE

CATHERINE LACEY jest amerykańską powieściopisarką. Za wydaną w 2023 r. „Biografię X" była nominowana do Nagrody im. Dylana Thomasa. Mieszka w Meksyku.

coś takiego – ktoś postawił mur dzielący kontynent na strefy wpływów.

Kiedy pisałam „Biografię X", rzeczywiście sporo myślałam o różnych miejscach na świecie. Zbierałam informacje o Korei Północnej i Południowej. Przez jakiś czas mieszkałam w Berlinie, a mur berliński i Muzeum Stasi stały się punktami osadzenia powieściowej historii.

W tej historii słynna działaczka i anarchistka Emma Goldman, która przyjechała do Stanów z Kowna, walczy o queerowe małżeństwa, zniesienie instytucji więzienia i prawa imigrantów.

W alternatywnych Stanach Zjednoczonych nie mielibyśmy tej samej Emmy Goldman. Być może sprzedałaby swoje ideały, albo dokonała czegoś absolutnie niezwykłego? Z dzisiejszej perspektywy powiedzielibyśmy, że nie byłaby już Emmą Goldman. Nigdy byśmy o niej nie usłyszeli.

Zastanawiam się, jakie miałaby możliwości, gdyby jej poglądy polityczne ewoluowały. Myślę, że w nieco innej wersji swojego życia mogłaby sądzić, że anarchizm wcale się w XX-wiecznej Ameryce nie sprawdzi, mogłaby skierować się na bardziej socjalistyczną ścieżkę. Polityka amerykańska była kiedyś znacznie bardziej pluralistyczna, zwłaszcza pod koniec XIX w., gdy przyjechała tu Goldman.

Pokazujesz, jak bardzo polityka kształtowana jest przez kontekst społeczny.

Można to zaobserwować na przykładzie grup mieszkających na rozległych obszarach wiejskich, które nie mają zbyt wielu sąsiadów w okolicy, albo wśród osób niezwykle zamożnych, które nie muszą wchodzić w interakcje z innymi ludźmi. Żyjąc w ten sposób, stajemy się bardziej konserwatywni, nie postrzegamy siebie jako części społeczeństwa.

Jeśli mieszkasz w miejscu, gdzie masz nieustanny kontakt z ludźmi, do pracy jeździsz autobusem, masz sąsiadów, stajesz się wyczulona na potrzeby innych. Widząc osoby w kryzysie bezdomności, zaczynasz myśleć, że nie chcesz, by żyły na ulicy. Po pewnym czasie czujesz potrzebę podjęcia jakichś działań.

Twoja książka stawia wiele pytań o granice poznania i zrozumienia drugiej osoby.

Tak, nawet tej bardzo bliskiej, bo czy można tak naprawdę poznać człowieka, którego się poślubiło? Związek jest doświadczeniem akceptacji własnego zagubienia wobec drugiej osoby. Akceptacji tego, jak wasze życia się ze sobą łączą, wspólnej przyszłości. Ale też koniecznością uznania wielu niejasności i, czasem, braku rozumienia siebie wzajemnie.

Nigdy nie należałam do nastolatek, które ostentacyjnie i z pretensją powtarzały, że nikt ich nie rozumie. Oczywiście, że nikt nas nie rozumie. Nie szukam całkowitego zrozumienia, bo nawet sama siebie w pełni nie rozumiem. Nie piszę też z myślą wytwarzania jakiegoś rodzaju wiedzy o sobie. Nie uważam pisania ani czytania za element procesu poznawania drugiej osoby.

Głównym zadaniem książki jest ukazanie czytelnikom jakiejś prawdy o nich samych. Ofiarowanie im takiego rodzaju samoświadomości, która uczyni ich lepszymi ludźmi.

Czuję się zatem usprawiedliwiona, że chwilę zajęło mi zrozumienie obsesji, którą CM ma na punkcje X.

Sądziłam, że wszystko wymyśliłam od zera: w „Biografii X" akcja rozgrywa się w innej epoce, piszę o małżeństwie lesbijek, a sama nigdy nie poślubiłam kobiety. Byłam przekonana, że nie ma to żadnego związku z moim życiem.

A ma?

Kiedy byłam młodsza i bardzo wierząca, cała moja tożsamość była związana z wiarą. W momencie, w którym przestałam wierzyć, chciałam przestać istnieć. Pierwsze poważne wątpliwości pojawiły się pomiędzy piętnastym a dwudziestym rokiem życia – to dość długo na przeżywanie kryzysu.

Kiedy potem przeżywałam rozpad związku, to uczucie było znajome, przypomniało mi o odejściu z Kościoła. To był mój punkt wyjścia do narracji. ↦

eprasa.pl 93c52441ba

↦ Oba motywy znalazły się w „Biografii X", choć podczas pracy nad książką nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Religia miała wpływ na twoją twórczość?

Biblia była pierwszą lekturą, która pokazała mi znaczenie książek. Jedną z zalet wychowania w wierze jest to, że książka staje się centralnym elementem życia. Kiedy studiowałam na katolickim uniwersytecie i myślałam, że skończyłam z wiarą, nadal odczuwałam wiele emocji, które towarzyszyły mi, gdy byłam młodsza i bardziej wierząca.

Wszyscy potrzebujemy rytuałów. Ludzie znajdują je w religii, niektórym udaje się je znaleźć na inne sposoby, ale nawet najbardziej zagorzali znani mi ateiści mają swoje rytuały.

W najnowszej książce „The Möbius Book", będącej częściowo opowieścią o rozstaniu, ponownie badasz granice opowiadania o drugim człowieku.

Większość „The Möbius Book" napisałam jeszcze przed wydaniem „Biografii X", więc pod względem artystycznym wciąż jakoś tkwiłam w cieniu tej książki. Za każdym razem po skończeniu książki, ale jeszcze przed jej wydaniem, uświadamiam sobie, że jest w niej coś tak osobistego, że niemal niepokoi mnie, że będzie opublikowana. Niekoniecznie są to elementy autobiograficzne, bo te są raczej ukryte.

Kiedy redagowałam „Biografię X", zdałam sobie sprawę, że ta książka wcale nie jest tym, czego się spodziewałam. Całkowicie uwierzyłam w X, byłam nią oczarowana. Jako pisarka starałam się sproblematyzować fakt, że napisałam książkę pod wpływem fascynacji wymyśloną postacią, którą uważałam za niezwykłą, prawdziwą geniuszkę.

Biografia X, którą pisze CM, jest również próbą powstrzymania cynicznego mężczyzny przed kontrolowaniem narracji o jej zmarłej ukochanej.

Byłam tak pochłonięta tworzeniem fałszywej biografii i życia X, że zapomniałam, iż piszę ją z perspektywy wdowy. Nie wiedząc, jak czuje się wdowa, zwlekałam ze zrozumieniem żałoby. Napisanie pierwszego szkicu zajęło mi trzy lata

Catherine Lacey
BIOGRAFIA X
tłum. Katarzyna Makaruk, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025

– dość długo. A potem dałam manuskrypt mojej agentce, która stwierdziła, że pomysł może i jest fajny, ale to najnudniejsza rzecz, jaką napisałam. Uświadomiłam sobie, że tak bardzo skupiłam się na formie biografii, że zapomniałam o narratorce!

Musiałam ożywić książkę, przepisać ją od nowa, opierając się na poszukiwaniach CM, a nie tylko na życiu X. Dlatego stworzyłam innego, nowego autora, który napisał tę bardzo standardową biografię, moją pierwszą książkę – i tej właśnie biografii CM nie znosiła.

Zemsta na własnej książce może być świetną motywacją, jeśli umiesz się zdystansować do pierwszej wersji swojego pomysłu i pokazać, kto tu rządzi.

Twoja bohaterka współpracuje z Tomem Waitsem i Davidem Bowiem, wiąże się także z nieco zapomnianą folkową piosenkarką Connie Converse. Dlaczego?

Podczas pisania muszę uważać, czego słucham, bo muzyka tworzy pewien rodzaj schematu, rytmu, który mój mózg chętnie wykorzystuje do konstruowania zdań. Poza tym piosenki bardzo szybko przenoszą słuchaczy i słuchaczki w świat emocji innej osoby, a jako czytelniczka tego właśnie oczekuję od powieści – chcę, aby natychmiast przeniosła mnie w emocjonalną rzeczywistość, która, choć nie jest moja, może chwilowo uchodzić za moją.

Podobnie działa składnia w przestrzeni książki: pokazuje, jak ważne jest brzmienie słów. Jest wiele podobieństw między pisaniem powieści a tworzeniem muzyki.

Poza tym: lubię być słuchaczką, amatorką. Fajnie mieć w życiu dziedzinę, w której jest się po prostu fanką. Kilka dni temu wysłuchałam od początku do końca wszystkich albumów Sharon van Etten.

Kiedy czytam książkę, rozkładam zdania na części pierwsze i zastanawiam się nad ich strukturą, nie jestem w stanie wyłączyć tej analitycznej części mojego mózgu. Natomiast kiedy słucham piosenki, często kompletnie nic nie wiem o tym, jak została zrobiona. Czasami nie potrafię rozpoznać, co to za instrument gra w tle, jak jest skomponowana całość. I nie chcę, żeby to się zmieniło.

„Biografia X" to narracja nadmiaru: bohaterów i bohaterek, niepewności, wydarzeń prawdziwych i zmyślonych. Jaka jest rola tego nasycenia powieści?

Pracuję obecnie nad dwiema książkami, jedna z nich również jest pełna nadmiaru, druga bardziej oszczędna. Muszę cały czas przełączać się między tymi dwoma stylami pisania, w jednej maksymalnie wykorzystując strukturę fabuły i postaci, w drugiej redukując pisanie do samego szkieletu.

„Biografia X" była dobrą lekcją balansowania między wieloma postaciami i przestrzegania chronologii wydarzeń. Ale to rodzaj narracji tworzy postaci. Dla mnie najważniejszą częścią powieści jest głos, który ją opowiada. Nie sądzę, żebym mogła to sama wymyślić i że to tylko ja decyduję o tym, jak ostatecznie będzie brzmiała opowieść. Musiałam wsłuchać się w głosy, które ją opowiadają. One przyniosły ze sobą postaci.

Kiedy rozmawiałyśmy na Brooklyn Book Festival, wspomniałaś, że zgłębiasz postać pewnego polskiego psychoanalityka – nadal się tym zajmujesz?

Tak, przeprowadziłam ogromną ilość badań dotyczących polskiego psychoanalityka Kazimierza Dąbrowskiego. Jego prace są dla mnie bardzo ważne. W internecie można znaleźć niewielką grupę skupioną wokół jego teorii pozytywnej dezintegracji. Jestem jej wielką zwolenniczką, uważam, że Dąbrowski był prawdziwym radykałem.

Pracuję też nad rodzinną sagą. Chciałam napisać o pacjentce Dąbrowskiego, która wykorzystuje jego teorie w niewłaściwy sposób. Być może rozpracowuję w ten sposób własną, niejasną relację z jego teoriami?

© ALEKSANDRA KAMIŃSKA

eprasa.pl 93c52441ba

TYGODNIK POWSZECHNY

GŁOSY, KTÓRE POMAGAJĄ ROZUMIEĆ ŚWIAT

książki autorów Tygodnika Powszechnego

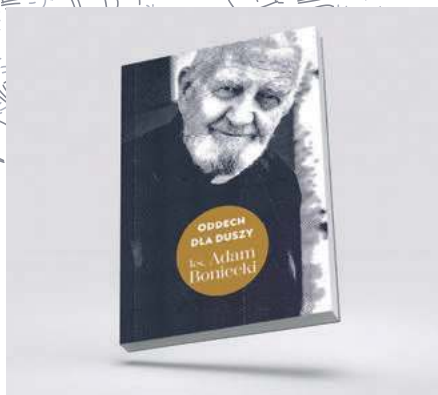

ODDECH DLA DUSZY
ks. Adam Boniecki MIC

Wybór tekstów ks. Adama Bonieckiego, które pomagają zatrzymać się w codziennym pośpiechu i spojrzeć na świat z większą łagodnością.

KRONIKI DOBREJ ZMIANY
Stanisław Mancewicz

Błyskotliwy zapis lat sporów i nadziei, o języku władzy oraz absurdach debaty publicznej widzianych bez złudzeń.

BIEGNIJ, MAŁA, BIEGNIJ
Anna Goc

Reportaże o kruchości i sile, o próbach odnalezienia siebie w świecie, który wystawia empatię na trudną próbę.

INNA STRONA ŚWIATA
Wojciech Jagielski

Reporterska opowieść o miejscach, gdzie wielka polityka spotyka zwykłych ludzi, a historia odsłania swoją mniej znaną twarz.

ŻAR, ŻARLIWOŚĆ
Katarzyna Kubisiowska

Rozmowy o pasji i niepokoju, o bliskości oraz słowach, które potrafią budować mosty między ludźmi.

DOBRO. JAK BYĆ OPTYMISTĄ W TRUDNYCH CZASACH
ks. Adam Boniecki MIC

Lektura pełna mądrości i ciepła, pomagająca zachować nadzieję oraz wrażliwość w coraz trudniejszych czasach.

Zamów na oficjalnym sklepie Tygodnika Powszechnego
sklep.TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 93c52441ba

WPŁYW KSIĘŻYCA, *reż. Norman Jewison, dostępne na Amazon Prime*

Włoski Nowy Jork, miłość i opera. Charakterny „Wpływ księżyca" przypomina, jak wdzięczna, lekka i – co nieoczywiste – oryginalna może być komedia romantyczna. Ta historia miłosna z 1987 r. swoim niezaprzeczalnym urokiem mogłaby obdarzyć tuzin innych filmów. Dlatego wciąż, po niemal czterdziestu latach od premiery, warto przypomnieć sobie ten tytuł. Lata 80. w popkulturze amerykańskiej nasycone są kinem nowej przygody spod znaku Stevena Spielberga i George'a Lucasa. „Wpływ księżyca" powstaje w kontrze do trendu kierowania się ku młodszym widzom. Jewison w miejsce szybkiej akcji proponuje rozmowę. Trudno opisać osobliwy klimat tej produkcji, ale spróbujmy: jest czarujący, słodko-gorzki, nie stroni też od dziwaczności. Pierwotnie jej tytuł brzmiał „Panna młoda i wilk", w końcu zdecydowano się jednak na podkreślenie roli księżyca, kierując naszą uwagę ku magicznemu elementowi spoza ziemskiego porządku – kiedy kosmiczna siła dosięga bohaterów, nie są w stanie obronić się przed miłością. Fabuła jest prosta: oto rozsądna Loretta Castorini, 37-letnia Włoszka z Brooklynu, niespodziewanie zakochuje się w charyzmatycznym Ronnym Cammarerim – bracie swojego nudnego narzeczonego, Johnnego. Poruszamy się w specyficznym środowisku włosko-amerykańskich familii – tyle że Nowy Jork dotknięty jest tu romantyczną transcendencją. Jest więcej niż Nowym Jorkiem: jest jego spełnioną ideą. W filmie sprytnie łączą się porządki kultury wysokiej i popularnej: opery – symbolicznej „Cyganerii" Pucciniego – i klimatów spod znaku Franka Capry. Wszystko spaja komediowe wyczucie Jewisona, które realizuje wybitna obsada. Często muzyków grających w filmach traktuje się z pobłażaniem – tu nie trzeba. Cher to rzeczywiście perła: subtelna przemiana, jaką przechodzi grana przez nią postać Loretty, jest wiarygodna i poruszająca. Kroku dotrzymuje jej dwudziestotrzyletni Nicolas Cage, którego charyzma niesie każdą scenę. Zobaczcie Lorettę, księgową, stojącą przed Operą Metropolitan z piekarzem Ronnym. Kiedy trafi ich promień księżycowego światła, oszaleją z miłości. To samo przytrafia się ponoć tym, którzy zobaczą film. © MARIA DUTKIEWICZ

KOWBOJSKIE TANGO, *Maggie Shipstead, tłum. Justyn Hunia, ZNAK, Kraków 2026*

„Kowbojskie tango" Maggie Shipstead to zbiór opowiadań, które powstawały przez blisko dekadę. Rozbudowane historie, niemal miniaturowe powieści, łączy wrażliwość bohaterów: emocjonalna intensywność, skłonność do rozpamiętywania przeszłości oraz poczucie tragizmu, z którym zmierza się tu ku zakończeniom pozbawionym happy endu. To opowieści osadzone poza centrami, na marginesach, gdzie intensywność życia zdaje się zanikać. W takim też pejzażu toczy się tytułowa opowieść: historia młodej dziewczyny uwikłanej w miłosny trójkąt, pełna napięć i zależności podszytych nieopowiedzianą przemocą, władzą i poczuciem braku przynależności. To narracja władzy i pożądania opowiedziana bez romantycznych złudzeń. Tragizm, w najbardziej klasycznej, przypominającej antyczne tragedie formie, odsłania się w opowiadaniu „Podziemia". Wieloplanowa narracja splata tu relacje rodzinne i długo skrywane tajemnice z topografią paryskich katakumb. Podziemna przestrzeń nie pełni jedynie funkcji dekoracyjnej: staje się metaforą pamięci. Tego, co wyparte, przemilczane, a jednak wciąż zdolne zmienić bieg teraźniejszości. Zresztą cała książka to kalejdoskop historii połączonych motywami miłości, tęsknoty, straty i poszukiwania sensu. Jak choćby w opowiadaniu „La moretta" o parze, która w czasie podróży poślubnej po bezdrożach Rumunii odkrywa, że właściwie niewiele ją łączy. Odkrycie to okazuje się zaledwie wstępem do tragedii o ciężarze dużo trudniejszym do uniesienia. Co ważne: Shipstead ufa ciszy. To w gestach, pauzach i niedopowiedzeniach lokuje prawdziwą intensywność relacji, a także powracającą przeszłość, która z czasem przestawia sensy tego, co zbyt łatwo uznajemy za domknięte. ©℗ JACEK TARAN

MATERIAŁY PRASOWE

WIEK NIEWINNOŚCI, *reż. Martin Scorsese, dostępne na HBO Max*

Czy wiecie, który ze swoich filmów Martin Scorsese uznał za najbardziej wypełniony przemocą? Nie był to neo-noirowy „Taksówkarz" ani gangsterscy „Chłopcy z ferajny", a melodramat kostiumowy „Wiek niewinności" z roku 1993. Przemoc nie jest w nim bezpośrednia: to agresja konwenansów i oczekiwań socjety nałożona na emanacje napięć pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi. Lata 90. to złoty wiek niezależnego kina amerykańskiego. Sam rok 1993 obfitował w kino kostiumowe, zarówno nagrodzony Złotą Palmą „Fortepian" Jane Campion, jak i „Okruchy dnia" Jamesa Ivory'ego zgarnęły aż po osiem nominacji do Oscarów. Dla 50-letniego wówczas Scorsesego to czas zmian. Newland Archer (Daniel Day-Lewis) w jego filmie to młody, acz stateczny mężczyzna, który właśnie zaręczył się z May (Winona Ryder). Na scenę towarzyskich układów powraca jednak Ellen Olenska (Michelle Pfeiffer) – kuzynka May, która poprzednie lata spędziła u boku ekscentrycznego polskiego arystokraty. Staje się ona dla Archera uosobieniem tęsknoty za życiem wyzwolonym i intensywnym. Gdy jego narzeczona nosi białe, taftowe suknie, hrabina ubiera się w czerwone atłasy i czarne koronki. A jednak, kiedy relacje towarzyskie przypominają partię szachów, niczego nie można być pewnym. Kto tu kogo tak naprawdę rozgrywa? Adaptacja powieści Edith Wharton z 1920 r. kreśli świat nowojorskich elit z lat 70. XIX w. Ale kamera co rusz porzuca twarze bohaterów, by wędrować ku przedmiotom. Obrazy rymują się z postaciami, dialogi z teatralnymi przedstawieniami. Tu nie wypowiada się myśli wprost, a studium uwodzenia okazuje się przewrotne i zaskakujące. Archer postrzega May jako zbyt niewinną, by jej pożądać, zaś Ellen jest dla niego kwintesencją pragnienia. Pożądanie jest tym silniejsze, im dłużej pozostaje niezrealizowane. W tym miłosnym trójkącie szybko staje się jasne, kto jest mistrzem uwodzenia: Scorsese. © MARIA DUTKIEWICZ

eprasa.pl 93c52441ba

REKLAMA

KAMILA KLIMCZAK

EWA LIPSKA & AGATA TUSZYŃSKA

Z MIŁOŚCIĄ NA TY

Z MUZYKĄ ANDRZEJA ZARYCKIEGO

W ARANŻACJACH MARCINA SANAKIEWICZA

Artyści Piwnicy pod Baranami

Kamila Klimczak śpiew
Zespół muzyczny w składzie:
Marcin Sanakiewicz fortepian
Michał Półtorak I skrzypce
Agata Półtorak II skrzypce
Jadwiga Karpała altówka
Ewa Wojsław-Bober wiolonczela
Paweł Kuźmicz gitara basowa
Gerta Szymańska instrumenty perkusyjne

Premiera Warszawska

FOT. MARCIN BRZOZKA

KUŹNIA MISTRZÓW MOWY POLSKIEJ
PROM
KULTURY SASKA KĘPA

28 marca 2026 / godz. 19:00 / bilet 90 zł
ul. Brukselska 23 / www.promkultury.pl

eprasa.pl 93c52441ba

Dość dobra

ANITA PIOTROWSKA

KINO | To historia stworzona na podstawie prywatnych przeżyć reżyserki związanych z chorobą dziecka. Nie znajdziecie w niej jednak heroizacji matczynej opieki.

Czy da się zrobić dobry film o czymś tak mało filmowym jak wypalenie opiekuńcze? W dodatku taki, który byłby niczym tykająca bomba, psychologiczna operacja „na żywca", czarna komedia, horror i jednocześnie body horror?

Historia pod tytułem „Kopnęłabym cię, gdybym mogła" potrafi kopnąć. Amerykańska reżyserka niezależna Mary Bronstein i jej nominowana do Oscara aktorka Rose Byrne stworzyły bezkompromisowy portret macierzyństwa, które próbuje złapać pion, dźwigając na swych barkach życie z chorym dzieckiem, pracę w charakterze psychoterapeutki i walkę z codziennym chaosem. Tylko kto zadba o matkę?

Charakterystyczne, że niemal do końca nie widać na ekranie twarzy dziecka. Będziemy słyszeć jego rozmowy z matką i poznamy (wyłącznie z jej perspektywy) ich klaustrofobiczny światek, ale postać dziewczynki znajduje się konsekwentnie poza kadrem; nie poznamy również jej imienia. To brutalny, lecz istotny zabieg.

Scenariusz Byrne i kamera Christophera Messiny rekonstruuje wyłącznie stan umysłu Lindy, która każdego dnia (i nocy!) próbuje być wystarczająco dobra w roli matki i opiekunki – z bardzo różnym skutkiem. Jej dziecko cierpi na nienazwaną w filmie chorobę, wymagającą dokarmiania przez sondę w jamie brzusznej. Istnieje co prawda szansa, że uda się przejść na normalny tryb odżywiania, do tego jednak potrzebny jest odpowiedni przyrost wagi.

Dlatego Linda znajduje się pod ciągłą presją – lekarzy, psychologów, własnego poczucia winy, nawet zwykła sprzedawczyni i parkingowy jawią się jej wrogami. Wydaje się też, jakby permanentny stres zredukował relacje z córką do wypełniania zadań, pokonywania kolejnych wyzwań, działania na autopilocie. Jakby intensywna praca opiekuńcza odbierała bohaterce wszelkie wewnętrzne „zasoby", zaburzała bliski kontakt z dzieckiem i ze światem zewnętrznym.

A wszystko zaczyna się nie od dziury w brzuchu, lecz od wielkiej dziury w suficie. Niespodziewana katastrofa hydrauliczna pozbawia Lindę i jej córkę dachu nad głową, zmuszając do tymczasowego zamieszkania w obskurnym motelu. Mąż pracuje gdzieś daleko (i tylko udziela „dobrych rad" przez telefon), toteż z dnia na dzień i tak już trudne życie z chorobą staje się wymagające jeszcze bardziej.

Ale nie oczekujcie po filmie Bronstein surowego realizmu. Przez otwór w suficie wpadamy w spiralę cokolwiek surrealistycznych przygód, spotkań i doznań, kiedy to „samotna mama" (jej samodzielność bywa tu ciągle kwestionowana) boksuje się z prawdziwą bądź urojoną rzeczywistością. Dokłada się do tego równie wypalająca praca w charakterze psychoterapeutki, kompulsywne wizyty w miejscu domowej katastrofy i wiele ryzykownych zachowań, przez które bezpieczeństwo córki także nieraz zawiśnie na włosku. Film „Kopnęłabym cię" przypomina czasami thriller w oparach absurdu, choć ufundowany na całkiem konkretnych lękach.

Bronstein posiada w tym temacie prywatną licencję – i na bezpardonową makabrę, i niekonwencjonalny humor. Napisała tę historię na podstawie własnych przeżyć związanych z chorobą dziecka oraz całkowitą zmianą miejsca i stylu życia, choć dopiero po ośmiu latach udało się przenieść scenariusz na ekran. Nie znajdziecie tutaj heroizacji matczynej opieki, a przynajmniej nie w tradycyjnym pojmowaniu tego słowa.

Dopytuje się też reżyserka o efektywność instytucji pomocowych czy psychoterapii, stąd jej lekko satyryczny obraz w filmie, w myśl porzekadła „szewc bez butów chodzi". Zaburzenia dysocjacyjne Lindy idą w parze z totalnym osamotnieniem, szczególnie dotkliwym w otoczeniu tych, którzy powinni jako pierwsi dostrzegać jej wewnętrzny rozpad. I trzeba przyznać, że film przedstawia go dużo wiarygodniej i ciekawiej niż na przykład Lynne Ramsay w omawianym tu niedawno „Zgiń kochanie".

Dynamikę tego rozpadu najlepiej wyraża naga twarz Rose Byrne. Kamera prawie nie spuszcza jej z oka i, niczym powiększające lustro, rejestruje każde drgnienie. A gdy filmuje tak zwany świat zewnętrzny, przepuszcza kadr przez gonitwę myśli Lindy i gorączkę jej emocji.

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

eprasa.pl 93c52441ba

MATERIAŁY PRASOWE BEST FILM

KOPNĘŁABYM CIĘ, GDYBYM MOGŁA
(„If I Had Legs I'd Kick You") – reż. Mary Bronstein. Prod. USA 2025. Dystryb. Best Film. W kinach od 20 lutego.

Mary Bronstein zaczynała jako aktorka i od początku jej kariera związana była z nowojorskim kinem niezależnym. Za kamerą debiutowała w 2008 roku filmem „Yeast", gdzie również zagrała, u boku m. in. Grety Gerwig. „Kopnęłabym cię, gdybym mogła" to jej drugi film, wyprodukowany przez firmę A24 i pokazywany na ubiegłorocznym Sundance oraz w konkursie Berlinale.

Na zdjęciu: Rose Byrne w filmie „Kopnęłabym cię, gdybym mogła"

Oto kobieta żyjąca na skróconym oddechu, która niczego wokół nie ogarnia, zawala coś na każdym polu i jeszcze, zamiast czuwać w nocy przy dziecku, wychodzi do sklepu po tanie wino.

W ten sposób Bronstein wystawia swoich widzów na próbę – jakże łatwo przychodzi obwinianie czy zawstydzanie takich matek – a równocześnie na każdym kroku pozbawia możliwości obiektywnego patrzenia i sądzenia. W końcu wszystko to może się rozgrywać wyłącznie w skołatanej głowie Lindy, gdzie nawet nafaszerowana elektroniką aparatura do karmienia córki ma w sobie coś z żywego potwora.

Oczywiście, ten rodzaj niespokojnej energii chwilami brzmi znajomo i odsyła do innego rodzaju kina. Już w „Yeast", debiutanckim filmie Bronstein, pojawili się bracia Josh i Ben Safdie, a jej mąż, Ronald Bronstein, współpracuje z nimi od lat jako współscenarzysta i montażysta, zaś przy ostatnim filmie Josha, oscarowym „Wielkim Martym", był także producentem.

Pewnie przez te powinowactwa klimat nowojorskiej gonitwy i wszechobecnego osaczenia, znany z „Big Time" czy „Nieoszlifowanych diamentów", przeniknęły i do tego filmu, osadzonego w pobliskim Montauk. Ale podczas gdy sławni bracia z chłopackim wdziękiem opowiadają, razem lub osobno, o brudnych rozgrywkach i wielkomiejskich cwaniaczkach, ich koleżanka penetruje rejony niebezpieczne inaczej. Bo porusza się po obszarach nieprzerobionej traumy i mocno zniekształconej percepcji. Narusza w ten sposób wiele tabu, nie mówiąc o granicach gatunkowych.

I chociaż seans „Kopnęłabym cię, gdybym mogła" do łatwych i przyjemnych nie należy, potrafi też reżyserka swojego widza rozbawić. Na przykład wyszukanym kluczem obsadowym: ważną postać psychoterapeuty gra z kamienną twarzą popularny komik Conan O'Brien, a kierownika motelu amerykański raper ASAP Rocky. Dzięki takim mrugnięciom koszmar daje się czasem wziąć w cudzysłów.

Nie odbiera to jednak filmowi ciężaru właściwego, jakim jest studium kobiecej dezintegracji i zawartej w tytule bezradności. Może zbyt naładowana została ta wizja symbolami i lustrzanymi odbiciami, z zupełnie niepotrzebnym wątkiem aborcyjnym, który łatwo uczynić interpretacyjnym chochołem. Ma ona za to własną logikę, napędzaną przez oryginalną ekspresję i zarazem nieoczywistą w swym wyrazie empatię. ©

Lektor:
Pewnej nocy

▪ *Hans Henny Jahnn,* **NOC Z OŁOWIU**, *tłum. Ryszard Wojnakowski, Wydawnictwo OD DO, Łódź 2025, ss. 104.*

Bywają autorzy wybitni, pozostający jednak na uboczu z powodu hermetyczności ich dzieła i niesztampowości ich poglądów. Jak Hans Henny Jahnn (1894-1959) – pochodzący z Hamburga prozaik, dramatopisarz, budowniczy organów, edytor dzieł kompozytorów epoki baroku. Niechętny zarówno tradycji helleńskiej, jak i chrześcijańskiej, twórca sakralno-wyznaniowej wspólnoty Ugrino. Pacyfista, który po wybuchu I wojny po raz pierwszy wyemigrował (do Norwegii), a lata hitleryzmu spędził na duńskiej wyspie Bornholm. Jego otwarty stosunek do cielesności i biseksualizm (rozrysowanie jego relacji z przyjaciółmi, żoną i siostrą żony byłoby dosyć skomplikowane) ściągnęły nań opinię skandalisty. Zaprzyjaźniony z nim szwajcarski literaturoznawca Walter Muschg, autor „Tragicznych dziejów literatury", uważał go za jednego z największych pisarzy XX stulecia.

Po polsku mieliśmy dotąd wydaną ponad pół wieku temu powieść „Drewniany statek" – pierwszą część trylogii „Rzeka bez brzegów", oraz „13 niesamowitych opowieści" (1990), autorski wybór fragmentów tej trylogii oraz pierwszej powieści Jahnna „Perrudja". Nowela „Noc z ołowiu" była ostatnią książką wydaną za jego życia. Jest to tekst niezwykły i niezwykle mroczny, nie tylko dlatego, że jego akcja toczy się w nocy.

Bohatera imieniem Matthieu poznajemy w chwili, gdy odłącza się od kogoś (siebie samego?) i wyrusza w wędrówkę przez opustoszałe miasto, by napotkać swojego młodszego sobowtóra. Jak skończy się ich wspólna oniryczna wędrówka, naznaczona cierpieniem i przejmującym uczuciem zimna? Dlaczego w gospodzie, do której trafiają, nie ma już ani jedzenia, ani napojów? I czy Matthieu umiał odczytać znaki, które znalazły się na jego drodze?

Pierwszym polskim tłumaczem Jahnna był Edwin Herbert, potem Stefan Lichański i wreszcie znakomity Ryszard Wojnakowski, który „13 opowieści" opatrzył też posłowiem. „Głównym problemem pisarstwa Jahnna – tłumaczył w nim – jest przemijalność ludzkiej egzystencji (...). W dziele Jahnna występuje szczególny model czasu: jest to linia skończonej długości, na której nie ma naniesionego rozróżnienia na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Podział taki określa tylko subiektywny kierunek, który w mniemaniu ludzi wiedzie ich wzdłuż wspomnianej linii. W rzeczywistości nie istnieje żaden rozwój, lecz jedynie statyczność zdeterminowanego »dziania się«, które wręcz nie zasługuje na swoją nazwę".

To może teraz „Perrudja"? Albo drugi tom trylogii? ©℗

eprasa.pl 93c52441ba

PAWEŁ

Bravo:

Uprzejmie donoszę

Awstydliwa to była chudzina, nieśmiało przybył między nas w środku dnia, tak żeby nikt nie zauważył – poza astronomami i astrologami. Ci pierwsi budują coraz dłuższe teleskopy, by przenikliwie zaglądać w wielką kosmiczną dziurę, obojętną na nasze tu przygody z istnieniem. Ci drudzy, wyposażeni w tabelki po tysiąc razy kserowane, od kiedy je dawni magowie babilońscy ułożyli, usiłują wmówić nam, że obroty ciał są jedyną prawdziwą ramą, w jaką należy wpasować wszystkie nasze dzienne sprawy. Tamci mówią, że jesteś nieistotną pestką w pustce, owi zaś wkładają ci na głowę koronę mądrości i władzy nad faktami. Mącą pod czaszką, aż chciałoby się jednych i drugich pogonić precz z dworu, gdyby się posiadało takowy wraz z odpowiednio obszernym pałacem. Ale może to i lepiej, że mamy tylko standardowe mieszkanka z balkonem i ewentualnie domek gdzieś w ciepłym kraju, zważywszy na to, jakimi generalnie świniami się okazują bardzo liczni wielcy tego świata.

Księżyc na pewno się z ostatnim nowiem na naszym niebie nie afiszował, a mógłby tym razem wkroczyć z fanfarami. Na jego dyskretnym rogaliku zawisły bowiem w tym miesiącu zarówno nowy chiński rok, jak i święty miesiąc Ramadanu. O równoczesnym wejściu w znak Wodnika nawet nie wspominam, bo nigdy mnie zodiak nie fascynował. W dodatku new-age'owi wyznawcy kojarzą mi się raczej z moczeniem kryształów w dzbanie wody i pojadaniem suchej kaszki niż dobrym jedzeniem i piciem.

A to wszystko działo się w jeden i ten sam wtorek, cóż to były za ostatki! No właśnie, bo jeszcze do tej koniunkcji różnych rytmów cywilizacyjnych przecież dochodzi i nasz koniec karnawału przed Wielkim Postem, także przecież podpiętym pod kalendarz księżycowy. W prasie poświęconej jedzeniu i obyczajom w krajach bardziej przemieszanych od naszego czytam przepisy na *iftar*, czyli wieczerzę po zmierzchu, kiedy wyznawcy Allaha mogą uzupełnić zapasy kalorii i się nawodnić (a trzeba to czynić rozsądnie, żeby nie rozhuśtać za bardzo organizmu) oraz rady dotyczące chińskich uczt. Obok także cenne porady, jak uniknąć napięć w środowisku np. biura, gdzie jedna grupa chce radośnie się napchać łakociami, a druga musi pościć od świtu do zmierzchu. O dochowujących postu chrześcijanach tam się nie wspomina, trochę może dlatego, że ich po prostu prawie nie ma, a trochę dlatego, że nasz post jest jednak znacznie bardziej po ludzku elastyczny. W sytuacji biurowej lub towarzyskiej wolno nam sięgnąć po ciasteczko, którym poczęstuje chiński kolega. Byle się nie cieszyć zanadto i nie rozkoszować. Z multikulturalnej uprzejmości, nie z łakomstwa.

FEVZIIE / ADOBE STOCK

Co roku zresztą, gdy próbuję sobie coś poczytać o jeszcze mi nieznanych potrawach postnych z tradycji tych krajów, które szanuję za akcent kładziony na dobre życie, albo po prostu obdarzonych takimi warunkami przyrodniczymi i rolnictwem, że nawet pokarm dla umartwienia wychodzi tak czy owak smacznie – otóż gdy przeczesuję te różne obyczaje, przepisy, zawsze uderza mnie, jak bardzo Europa, zwłaszcza jej część bliższa słońcu, była uprzejmą krainą łagodności. Z roztropnym sceptycyzmem podchodzącą do tego, na jak długo ludzie w imię celów duchowych potrafią odłączyć się od swojego ciała i od więzów społecznych, które narzucają nam przecież namiętności wręcz ostrzejsze od tych cielesnych. Bo o ile prosty fizjologiczny głód, znany nam (oby jak najrzadziej) jako ssanie w żołądku i mdłości, można ugasić dosłownie byle czym, co jest jadalne, tak potrzeba statusu, życia „jak należy" i szacunku dla siebie, jest znacznie trudniejsza do zaspokojenia.

Tyle że mniej gwałtowna, może chwilę poczekać. Ale tylko chwilę, nie całe 40 dni. Dlatego chciałem donieść stosownej władzy, że postne jedzenie w większości tradycji europejskich, kształtowanych przez nauczanie moralne matki Kościoła, oddaje hołd skromności, ale poza tym pozostaje bardzo przyjemne. Jeśli zaś w pewnych kulturach postny jadłospis zakładał potrawy ściśle roślinne, to raczej w kontekście biedy, która usuwa z pola widzenia produkty zwierzęce przez większość roku. Dla regionów dostatniejszych wystarczał gest w postaci wyjęcia mięsa (oraz łoju i smalcu) z receptur. Z ryb zaś da się przygotować potrawy, które są tak intensywne smakowo, że faktycznie

eprasa.pl 93c52441ba

Tradycyjne dania podczas Ramadanu

nie trzeba ich jeść dużo. Parę kąsków *baccalà alla vicentina*, które w moich rodzinnych stronach się jada we wszystkie piątki aż do Wielkiej Nocy, wystarcza, by się najeść, jak naucza katechizm, do syta. Możecie sobie przypomnieć, co to takiego, pisaliśmy o tym przy okazji wesela Jeffa Bezosa w Wenecji, który kazał swoich gości sponiewierać tą tłustą rybą. W Piemoncie lubią się w Poście umartwić jajkami faszerowanymi z domowym majonezem, które zwą *Bella Rosin* na cześć głównej kochanki (a potem morganatycznej żony) pierwszego króla zjednoczonych Włoch.

Na pewno tego nie wymyśliła sama, ale mamy nieodpartą skłonność sklejania ważnych potraw i obyczajów z postaciami sławnych kobiet – Francuzi lubią przypisywać Katarzynie Medycejskiej połowę swoich sztandarowych, wyrafinowanych potraw, kompletnie bez podstaw historycznych. Duby smalone na ten temat opowiadał nawet Diderot w „Encyklopedii", przeciwstawiając rzekomej francuskiej skromności marne zbytki rodem z rozpustnej Florencji. Bo rozpusta i upadek zawsze przychodzą z jakiejś Florencji. To, że ona się dziś nazywa Bangladesz czy Somalia, to tylko różnica w detalach. O czym możemy pomyśleć w tych dniach, łagodnie płynąc środkowym nurtem między rygorem Ramadanu a obchodami Roku Konia.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Naleśnik cytrynowy w formie placka

Z Katarzyną Medycejską wiąże się niesłusznie nawet takie, wydawałoby się, oczywiste rzeczy jak crêpes, czyli naleśniki. To bez sensu, bo tego nie trzeba uczyć. Każda znana mi kuchnia zawiera jakiś przepis w duchu „mleko-jajko-mąka – zmieszaj i wylej na patelnię". Czasem to bliższe omletu (jak cudowny austriacki Kaiserschmarrn), czasem tego, co byśmy zwali blinami – jak wszystkie anglosaskie pancakes z sodą (notabene właśnie ostatkowy wtorek był dawniej w Anglii i Irlandii dniem jedzenia naleśników, żeby zużyć przed postem jajka i masło). A tu przypomnę wam dzisiaj, bo warto do niego wrócić, przepis, który łączy puszystość pancakes z wygodą pieczenia jednego placka, zamiast smażenia trzech tuzinów.

SKŁADNIKI:
250 ml mleka 1 cytryna niepryskana 4 jajka (rozdzielone)
250 g ricotty 100 g cukru 50 g stopionego masła
250 g mąki 2 łyżeczki proszku do pieczenia
1 łyżeczka sody ▪ sól ▪ olej

Do dużej miski wlewamy mleko, wsypujemy skórkę cytrynową i sok z cytryny – mleko zacznie tworzyć skrzep. Kiedy to się stanie, dodajemy do niego żółtka, ricottę, cukier i stopione masło. Miksujemy na wolnych obrotach lub ręczną trzepaczką przez minutę, powoli dosypujemy mąkę zmieszaną uprzednio z proszkiem, sodą i solą. Dodajemy po jednej łyżce ubite osobno na sztywno białka, łączymy delikatnie. Przelewamy do formy mniej więcej 30x40 cm, wysmarowanej olejem lub masłem. Pieczemy w 180 stopniach przez ok. 15 minut, aż placek będzie ścisły i zacznie się wybrzuszać. ©℗

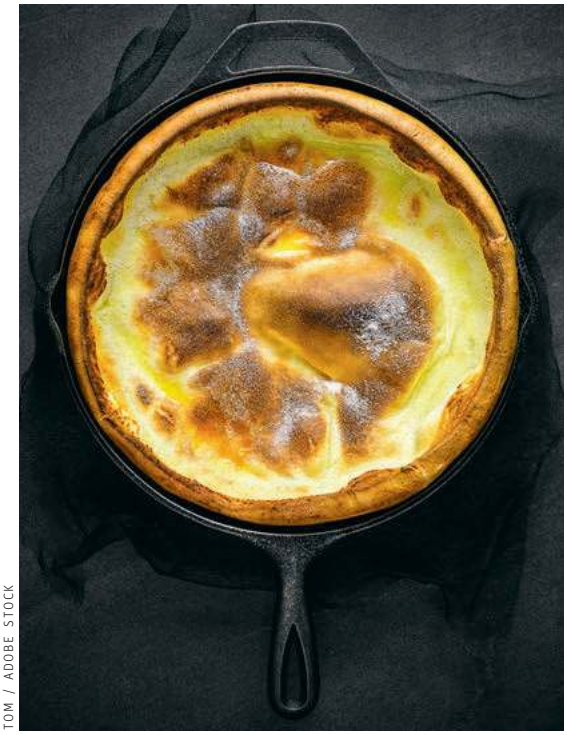

TOM / ADOBE STOCK

eprasa.pl 93c52441ba

POCHWAŁA ZŁOŚNICY

OLIWIA ZIĘBIŃSKA PSYCHOTERAPEUTKA:

Z natury mamy w sobie tyle złości, ile potrzebujemy mieć. Tak samo zresztą jest z innymi emocjami. Ale to działa tylko wtedy, kiedy realnie się z nimi spotkamy.

EWELINA BURDA: Ale mnie dziś wszystko złości – co to naprawdę znaczy?

OLIWIA ZIĘBIŃSKA: Nasza złość o czymś do mnie mówi: o moim zmęczeniu, frustracji, niezgodzie. Bo to nie świat nas złości. To my złościmy się na świat.

Zacznijmy od podstaw: co to właściwie jest ta złość?

Złość to informacja od naszego organizmu, która ma funkcję ochronną. Według psychologii ewolucyjnej złość chroniła to, co niezbędne do przetrwania. Nasz organizm dostawał komunikat o zagrożeniu i konieczności ochrony tego, co nasze. Złość napędzała nas do działania.

A jak jest dziś? W swojej książce o złości pisze Pani, że złość przeszła metamorfozę zawodową: „kiedyś polowała na mamuty, dziś pilnuje naszej godności w open spejsie".

Złość była strażniczką tego, co materialne, terytorium fizycznego. Dziś częściej pomaga bronić terytorium psychicznego: wartości, potrzeb, granic. Oczywiście naruszenia cielesne też istnieją, ale mówimy o przypadkach, które nie są skrajne czy patologiczne. Złość wysyła mi wiadomość, że mam się czemuś przyjrzeć.

I co może być zapisane w tej wiadomości?

To, że ktoś naruszył granice. To, że nasze potrzeby nie są zaspokojone. Że czujemy się traktowani niesprawiedliwie. Że coś lub ktoś stoi na drodze do naszych celów. Że jesteśmy w niebezpieczeństwie. To, że dzieje się coś, co zaprzecza naszym wartościom.

A co dzieje się w nas, gdy przychodzi złość?

Na poziomie ciała to seria zmian fizjologicznych: szybszy puls, wyższe ciśnienie krwi. Napinają się mięśnie, oddech staje się płytszy. Wydzielają się w większych ilościach hormony stresu, adrenalina czy kortyzol.

Organizm, jak przed setkami lat, zbiera energię i przygotowuje się do walki. Dziś nie musimy, przynajmniej na co dzień, walczyć z dzikimi zwierzętami. Dla niektórych tym zagrożeniem wyzwalającym złość będzie coś małego. Jak z pozoru zwykła rozmowa z kolegą siedzącym przy sąsiednim biurku, który w naszej ocenie nie robi tego, co powinien. Bo złość to jeden

eprasa.pl 93c52441ba

STOKKETE / ADOBE STOCK

z najstarszych sposobów na utrzymywanie porządku społecznego – jest odpowiedzią naszego organizmu na działania tych, który go łamią.

Od czego zależy to, jak się złościmy? Od naszych temperamentów?

Złość nie jest pierwszą czy najważniejszą emocją, ale jest pierwszą w dostępie, najprostszą drogą. W naszych emocjach są ślady naszej historii, doświadczeń z dzieciństwa, wzorców z domu. Złość to reakcja na rzeczywistość, ale widać w niej też przeszłość. Można i warto pracować nad emocjami, ale to, że będzie nas ciągnąć do starych wzorców, nie jest niczym złym, to normalna część procesu.

Kiedy złość jest uzasadniona?

Jak widzimy w filmie nabuzowanych wściekłych mężczyzn, którzy biegną na siebie na polu walki, gdzie będą bić się o swoje terytorium, to nie mamy wątpliwości – konfrontujemy się ze złością. Ale złość nie zawsze musi mieć taką skalę, może być wielka i mała. Tych złości codziennych, mniejszych, mamy bardzo dużo. Kiedy ktoś dzwoni do nas kolejny raz z rzeczą, którą już mu tłumaczyliśmy: narusza nasze terytorium, w tym przypadku czasowe. Naszym terytorium jest też dom: złość przychodzi, kiedy rodzic wciąż mówi nam, jak powinniśmy w nim żyć i że znowu powinniśmy umyć okna. A jesteśmy dorośli.

A jak nie czuję tej złości, to niedobrze?

Odcinanie się od złości, jakby była śmiertelną chorobą, jest bardzo złym pomysłem.

Dlaczego?

Emocje, gdy są ukrywane, narastają. Nie rozpływają się w powietrzu. Złość tłumiona w końcu znajdzie ujście. Gdybym jadła jabłka i wyrzucała ogryzki za siebie, to patrząc do przodu, wszystko byłoby pozornie w porządku. A gdybym robiła tak ciągle, góra ogryzków za mną by rosła. Do złości z przedwczoraj dołączają te z wczoraj, ta z dzisiaj. I dołączy ta z jutra. Dopóki się tym nie zajmę, nie sprzątnę: ona będzie. I kiedyś może mnie przygnieść.

Tam, gdzie dużo złości, jest też dużo lęku – o tym dużo Pani pisze.

Emocje się ze sobą łączą, a lęk i złość mają wspólne korzenie.

Wyjaśnijmy to.

Lęk jest podstawową emocją przeżycia. Złość jest podstawową emocją do tego, by chronić to życie, pobudza nas do działania – na samym lęku daleko byśmy nie ujechali. Złość jest jak ochroniarz: kiedy jest dużo lęku, pojawia się ona. Te emocje się ze sobą łączą, przeplatają, wynikają z siebie.

Dziś żyjemy w świecie, który wysyła nam przekaz, że liczą się dobre emocje, że te przyjemne powinniśmy przeżywać cały czas. A gdy przychodzą emocje trudne, jak złość, są uznawane za „przeszkadzacze" w tym przyjemnym życiu. A one nam „przeszkadzają", bo chcą coś zakomunikować: musisz teraz przestać czuć radość, bo zbliża się niebezpieczeństwo. I dziś to już nie będzie mamut, ale ktoś, kto zajeżdża nam drogę.

To ile powinno być w nas złości?

Uważam, że z natury mamy w sobie tyle złości, ile potrzebujemy mieć. Tak samo zresztą jest z innymi emocjami. Ale to działa tylko wtedy, kiedy realnie się z nimi spotkamy. I nie mówimy o sytuacjach zaburzeń, chorób.

Złość to też spektrum: od dyskomfortu, przez zdenerwowanie, frustrację, do gniewu, wściekłości, furii. Nie zawsze będzie nam się udawało opanowanie złości – i to też jest normalne. Możemy się trenować, kierować w tę stronę naszą energię, pracować nad adekwatnością wyrażania złości. Gdy zaczniemy być bardziej czujni na emocje, czy właśnie konkretnie na złość, to coś powoli zacznie się zmieniać.

Jak wyrażać złość?

Język pomaga nam wyrazić emocje, także złość. Przy niej często spotykamy się z tą mniej elegancką częścią języka, jaką są przekleństwa. Jeśli pomagają się wyładować, postawić granicę i korzystamy z nich w granicach norm, to nie są niczym złym. Jeśli przekleństwa są dla nas raczej przecinkiem w zdaniu, warto się nad tym zastanowić. ↦

eprasa.pl 93c52441ba

↦ Jak pracuję z grupami terapeutycznymi, to wszyscy się starają, żeby mówić ładnie, ale gdy pojawia się złość, pojawiają się też przekleństwa. Uważam, że to normalny element języka.

Po przeciwnej stronie dla złości stawiana jest „grzeczność". Jako dziewczynki słyszałyśmy, że jesteśmy „złośnicami". I to nie był komplement.

Określenie „złośnica" ma tę wadę, że określa ciebie całą: jesteś tą złością. A nie to, co jest zgodne z prawdą: że złościsz się z jakiegoś powodu. Czujmy złość, ale nie bądźmy swoją złością.

Jeśli ta „złośnica" wracała często, to mogła wzbudzać chęć pozbycia się całkowicie tej „złej złości" z siebie, ukrycia jej, nie złoszczenia się już nigdy. Co jest bardzo niezdrowe.

A złość piękności szkodzi?

Szkodzi komunikat, który niesie to powiedzenie: że złość jest zła i trzeba się jej pozbyć. To powiedzenie oczywiście dużo częściej słyszą kobiety, ale pewnie i część mężczyzn.

W sposobach na pozbywanie się złości jest sporo różnic stereotypowo-płciowych: u mężczyzn to jest bardziej ekspresywne, złość dobrze widziana jest z męskością. Kobiety częściej udają, że złości nie czują. Maskują się, robią coś wbrew sobie, by przystawać do miłej, uśmiechniętej normy. Byliśmy programowani według innego algorytmu. To się oczywiście zmienia, bo wychowanie dzieci przechodzi ewolucję, ale my, dziś dorośli, z takimi programowaniami złości się spotykaliśmy.

Kolejne powiedzenie: złość o zły doradca.

Złość to zły doradca w momencie, kiedy jest jej za dużo. Ale złość to dobry sygnalista. I jak przejdziemy przez ten proces: od sygnałów złości, jej powodu, aż do tego, co mogę z nią zrobić, to wtedy mamy sukces.

A jak czujemy, że nam to nie wychodzi? Jak to wyćwiczyć?

Proste ćwiczenie: zakładamy „dzienniczek złości" – może być papierowy, może być apką w telefonie. Codziennie zaznaczamy, kiedy poczuliśmy złość. Nie zapisujemy dlaczego, nie oceniamy. Tylko obserwujemy. Po tygodniu wracamy do tych zapisków: zastanawiamy się, co te liczby o nas mówią. Czy czujemy, że to dużo, mało? Potem możemy pójść dalej: opisać sytuację, po której przyszła złość, która była zapalnikiem. I jak się trochę połączymy z tą naszą złością, to może kliknie: zobaczymy jakąś prawidłowość sytuacji, zachowań, słów. I będzie łatwiej rozumieć, co za naszą złością stoi w tych powtarzających się sytuacjach. Bo emocje, w tym złość, są informacją o tym, kim jesteśmy. Jestem osobą, która złości się, gdy są korki. Jestem osobą, która się złości, gdy w domu jest bałagan.

To ostatnie zdanie jest o mnie. Jak wyrażać złość, żeby był w tym szacunek do drugiej osoby?

Mamy duży opór przy mówieniu do siebie prosto: o konkretach, o danym momencie. „Czuję złość, bo...", „Zezłościło mnie to, że...", „Jestem zła dlatego, bo...". To nie musi być, a nawet nie powinna być żadna „terapeutyczna gadka".

Kluczowe jest nauczenie się tego, żeby nie atakować drugiej osoby – bo wtedy ona najczęściej przyjmie postawę obronną i z takich rozmów nic nie wyniknie. Jeśli już mam atakować, to zachowanie człowieka, a nie jego całego.

KATARZYNA KIEŁBASIŃSKA

OLIWIA ZIĘBIŃSKA jest certyfikowaną psychoterapeutką uzależnień i współuzależnienia. Pedagożka, kulturoznawczyni. Autorka bloga „Regulacja Odbiornika". Autorka książki „Po co ci złość? Rozmowa z trudną emocją" (Newhomers, Warszawa 2026).

Bo naprawdę to bałagan wzbudza moją złość, a nie mąż?

Tak.

Jak w takim razie pracować nad złością w związkach?

To trudny odcinek, bo musimy się najpierw skomunikować z naszą złością, a potem naszą złość skomunikować ze złością drugiej osoby. I druga osoba musi chcieć lub próbować zrobić to samo. Bo jak tylko jedna osoba się za to zabierze, sukcesu raczej nie będzie. Nie ma łatwiejszej ani w ogóle innej ścieżki, niż tylko i aż rozmawiać.

A praca? Tam chyba jest jeszcze trudniej.

Na pewno jest w tym miejscu większy społeczny nakaz ukrywania złości. Tu spotykają się też różne pokolenia i ich różne relacje ze złością.

W czym się różnimy?

Różnią się nasze sposoby wyrażania złości: starsze pokolenie ma inne przyzwyczajenia co do np. mówienia rzeczy wprost. Kiedyś było jasne: dzieci i ryby głosu nie mają, a szef może nas rugać. Młodsi szybko reagują na wszelkie przekroczenia, mówią częściej o emocjach, często tym żargonem terapeutycznym.

Nasze sposoby wyrażania złości warunkuje też to, jakie mamy zaufanie do siebie nawzajem: jesteśmy ludźmi, czasem możemy zareagować bardziej gwałtownie. I nie chodzi ani o przyzwolenie na wyżywanie się na innych, ani o będące

eprasa.pl 93c52441ba

na drugim biegunie książkowo-terapeutyczne komunikaty, tylko o to wszystko, co jest pomiędzy i co jest dla nas akceptowalne.

A jest jakaś specyfika polskiej złości?

Komunikowanie się często nam kuleje, więc z komunikowaniem się o emocjach też jest trudniej. Jesteśmy cały czas czujni: to poczucie zagrożenia, chęć bronienia swojego terytorium, swojego ja, jest silna. A tłamszona złość wybija w takich momentach, które są błahostkami: w kolejce w sklepie, przychodni, w korku.

Złość nie jest pierwszą czy najważniejszą emocją, ale jest pierwszą w dostępie, najprostszą drogą. Są w niej ślady naszej historii, doświadczeń z dzieciństwa, wzorców.

I wybija też w internecie, w komentarzach.

Tak. Nie chcę przesadzić, ale mam wrażenie, że media społecznościowe zabierają nam sprawczość: zarówno jednostkom, jak i całemu społeczeństwu.

To znaczy?

Myślę o takich sytuacjach, które powinny budzić naszą złość, a ta powinna przekładać się na działanie: ważna sprawa, dla której warto wyjść na ulice i protestować. Wyrazić złość, spotkać się ze złością innych ludzi. Potem działać. Tak zaczynały się wielkie rewolucje. Zużywamy tam dużo energii życiowej, także tej, którą daje złość. Sieć nam tej energii nie odda.

A prawdziwa złość dalej z nami zostaje.

Tak. To pozorowane zrzuty złości: byłam zła, napisałam chamski komentarz, który dał mi chwilową ulgę. Ale to tak, jakbym miała bóle głowy, brała tabletki, ale nie sprawdziła nigdy, co to jest naprawdę. A okazałoby się, że to migrena.

Nosimy w sobie też emocje sztucznie napędzane. Przykład: jesteśmy na spacerze. Gdybyśmy tylko patrzyli na drzewa w parku, czulibyśmy raczej relaks. Jeśli mamy w ręku telefon i przeglądamy posty, to nie jesteśmy w emocjach tu i teraz, tylko wyprodukowanych i nieadekwatnych do miejsca. Jeśli leżę na plaży na wakacjach i przeglądam social media, to czuję emocje, których w tym miejscu nie ma – jest szum morza, relaks, spokój, a ja czuję złość czy lęk, bo oglądam wiadomości. Nasza gospodarka emocjonalna jest stale zaburzana przez social media, a potem dziwimy się, że jesteśmy permanentnie zmęczeni.

Ciągle tam teraz słyszymy, że wszystko robimy źle: źle śpimy, oddychamy. I źle się złościmy.

Bardzo nie lubię takiego wpychania ludzi w poczucie, że coś powinniśmy. Nie chcę tego robić. Chęć udoskonalania się, kultura terapeutyczna weszła do życia codziennego. Dobrze, że poszliśmy w tę stronę, ale wchodzimy przy tej okazji na niebezpieczną ścieżkę idealizmu: wszystko chcemy doprowadzić do perfekcji. A idealni nie będziemy nigdy. I fajnie sobie to powiedzieć: „Ej, pomagajmy sobie, tłumaczmy różne rzeczy, ale nie biczujmy się, że popełniamy błędy". Nie jesteśmy Chatem GPT, który zawsze będzie próbował wypluć z siebie idealne komunikaty i nigdy się nie zezłości.

Ja mówiąc o złości, chcę przekonywać nas do wszystkich emocji. Pokazać, że to niesamowity świat, pełen niuansów, często trudny, ale jeśli go oswoimy, skorzystamy z niego, to stanie się naszym wielkim atutem. Czymś, na czym będziemy mogli polegać – obok intelektu, który często bywa przereklamowany.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 93c52441ba

TOMASZ

Stawiszyński: *Piramida społeczna Epsteina*

Jak nietrudno się było domyślić, publikacja milionów stron akt ze śledztwa w sprawie Jeffreya Epsteina wywołała burzę. Trwa i zapewne trwać będzie jeszcze długo licytacja na to, kogo w szeregach bliższych i dalszych znajomych zdeprawowanego miliardera było więcej: liberałów czy konserwatystów, prawicy czy lewicy. A także czyim był tak naprawdę szpiegiem, rosyjskim czy izraelskim. Stosownie do przyjętej wykładni, ogłaszać się będzie ostateczny koniec politycznych przeciwników. Wpuszczone w odmęty mediów społecznościowych akta – jak pisałem tydzień temu: pozbawione jakiejkolwiek krytycznej, skondensowanej analizy – przypominają tytułowe „To" z powieści Stephena Kinga. Zło, które ma to do siebie, że przejawia się każdemu pod najbardziej przerażającą dla niego postacią. Jeden widzi „to" jako mumię, inny jako wielkiego pająka albo złowieszczego klauna. Coś podobnego dzieje się w całkowicie już anarchicznej infosferze z aferą Epsteina.

Tymczasem stworzona przez niego społeczna piramida działająca na podobieństwo piramid finansowych – jak to w znakomitym tekście określili niedawno publicyści „Financial Times" – była pluralistyczna. Nawet jeśli po skrupulatnym przeliczeniu okazałoby się, że liczebnie więcej w niej było tych lub tamtych, mechanizm napędzający cały układ zamontowany został na poziomie, na którym oficjalne antagonizmy tracą znaczenie. Kiedy już Epstein – salonowy lew, specjalista od sieciowania, człowiek nad wyraz towarzyski i kontaktowy – połączył korespondencyjnie dwóch swoich dobrych znajomych, architekta amerykańskiej altprawicy Steve'a Bannona i guru światowej lewicy Noama Chomsky'ego, napisał do Bannona żartobliwie: „nie da się być bardziej na prawo niż ty i bardziej na lewo niż on". Zaprezentował się w ten sposób jako życzliwy pośrednik, człowiek potrafiący budować pomosty nawet między największymi ekstremami, którego przyjacielskie portfolio nie zna politycznych podziałów.

Nie po raz pierwszy pogrążanie się w rytualnych, polaryzacyjnych wojnach odciąga uwagę od spraw realnie istotnych. Np. od tej niesłychanej, nazwijmy to, interpersonalnej skuteczności Epsteina. Stosując dość proste techniki psychologiczne, człowiek ten był w stanie latami manipulować najpotężniejszymi ludźmi świata, używać ich do realizacji własnych ambicji i potrzeb. Owszem, część z nich brała udział w przestępczych praktykach, za które Epstein ostatecznie został skazany, stąd być może ich daleko posunięta lojalność. Jaka to część – na razie nie wiemy, a może nie dowiemy się nigdy. Ostatecznie akta, zanim zostały opublikowane, były przedmiotem badań prokuratury, która, jak się zdaje, nie postawiła zarzutów żadnej spośród wymienionych tam postaci. Poza tymi jednak, którzy na różne sposoby uwikłani byli w działania naruszające prawo, istniała rzesza osób i instytucji, które nie miały z tym styku, a które Epstein skutecznie omotał i oczarował. Wychwalając, zasypując komplementami, zapamiętując, co kto lubi i czego potrzebuje, a następnie dostarczając mu to w odpowiednim momencie. Lojalność tych osób trwała także po wyroku skazującym go na więzienie. Tak jakby w kontakcie z nim wyłączały się u nich mechanizmy obronne, aktywne zazwyczaj w normalnych okolicznościach. Tak jakby tracili czujność i zdolność do krytycznej analizy rzeczywistości.

Jak to możliwe? Dlaczego tak się działo? Otóż wynika to, mam wrażenie, również ze sposobu funkcjonowania współczesnych elit finansowo-politycznych. Zgodnie z tym, co już dawno temu diagnozowali Christopher Lasch i Samuel Huntington, stanowią one zamkniętą kastę, operującą w hermetycznych, niedostępnych (do czasu!) zewnętrznej kontroli rejestrach. W systemach wartości i odniesień obcych masom.

Przedstawiciele tej kasty kultywują przekonanie o własnej wyjątkowości i odmienności. Upewniają ich w tym sława, pieniądze i wpływ na kształt świata. Traktując społeczeństwo jako masę, którą można na różne sposoby modelować, ludzie ci żyją w poczuciu osobliwej, ezoterycznej wspólnoty. Przebiega ona powyżej, a może raczej poniżej ich egzoterycznych, czyli jawnych, politycznych oraz światopoglądowych afiliacji i tożsamości. Owszem, kłócą się i różnią, jednak w zaciszach odizolowanych, chronionych przez prywatne armie rezydencji, na odludnych wyspach, do których nie przybije żadna nieproszona łódź, te różnice stają się drugorzędne. Tam wreszcie współcześni oligarchowie czują się swobodnie. Tam wspólnie dbają o zachowanie stanu posiadania, choć w kwestii najskuteczniejszych po temu metod mogą mieć naturalnie odmienne opinie. Cóż, Epstein świetnie wiedział, za które sznurki należy pociągnąć i w jakie uderzyć tony, żeby osiągnąć pożądane efekty.

Owszem, w gronie skupionym wokół Epsteina mnóstwo było cynizmu i makiawelizmu. Owszem, akta sprawy odsłaniają obraz po prostu przerażający. Z drugiej jednak strony, mamy tam również oceaniczną niekiedy naiwność i łatwowierność. I ślepotę. Niekoniecznie zawsze wynikającą ze złej woli, częściej, jak się wydaje, z klasycznych zakrzywień poznawczych, własnej wygody, niefrasobliwości czy zwykłej głupoty. Właśnie dlatego trudno w tym przypadku myśleć o wielkim, tajnym makiawelicznym spisku. Jego uczestnicy nie zachowywaliby się aż tak bezmyślnie, a nade wszystko nie pozostawiliby po sobie tak bezbrzeżnie żenującej korespondencji. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 93c52441ba

PROKURATORKA – SYMBOL STALINOWSKICH ZBRODNI

I WYKLĘTY EKONOMISTA.

A MIĘDZY NIMI WIELKA MIŁOŚĆ, DRAMATYCZNE WYBORY

I REŻIM, KTÓRY NA ZAWSZE NAZNACZYŁ ICH ŻYCIE.

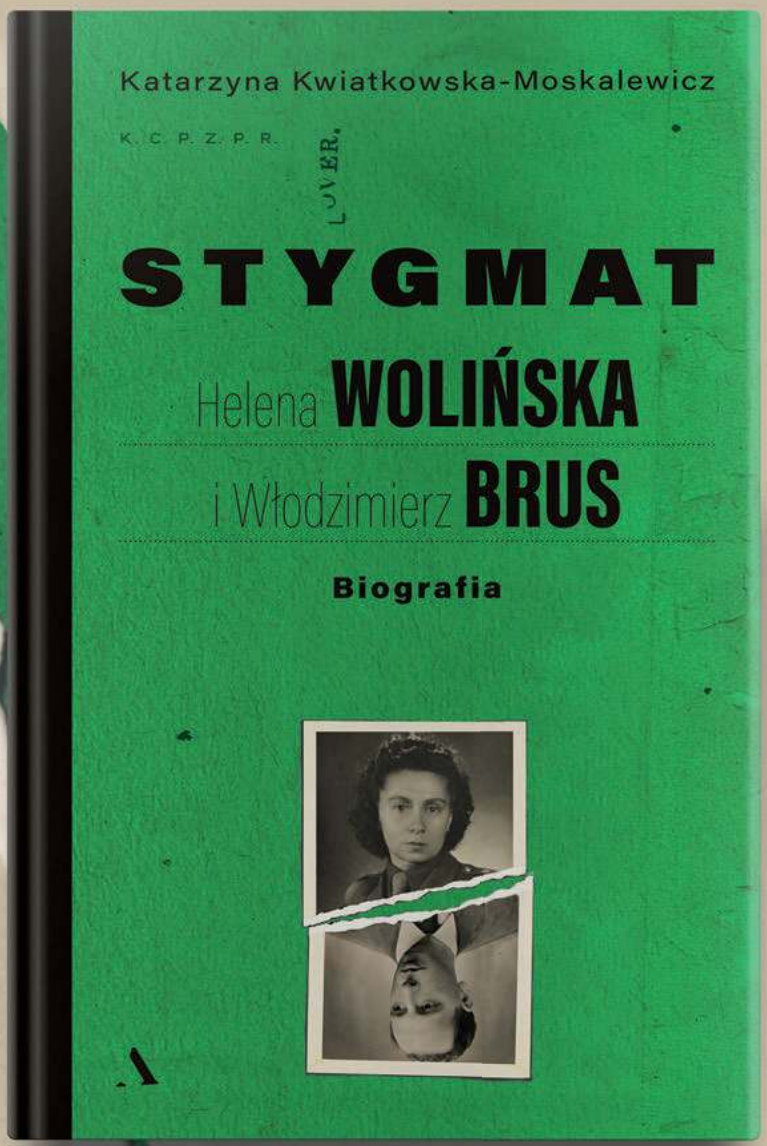

"

Ta książka opowiada, odkłamuje i obnaża. Opowiada rozdzierającą historię dwojga ludzi, którzy stracili wszystko w Zagładzie. Uszli z życiem, a potem szukali nadziei na sprawiedliwy porządek w komunizmie. Odkłamuje czarną legendę, jaką na użytek walki o władzę nad przeszłością stworzono w III RP na temat obojga. Obnaża ciemną stronę społeczeństwa, w którym antykomunizm i antysemityzm blokują dostęp do wiedzy o ludziach i epoce, są katastrofą poznawczą i moralną. Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz wspaniale wypełnia misję biografki. Zachowując empatię, stawia zarazem czoła mrocznym epizodom z życia bohaterów. W rzetelny sposób przedstawia okoliczności, w jakich rodziły się ich wybory i kształtowały charaktery. Nade wszystko – przywraca sprawiedliwe spojrzenie na ich decyzje, uwikłania i czasy.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

"

Niezwykłe studium historyczne, bogate w szczegóły, wnikliwe, rozważne. I zaskakujące! Czyta się świetnie. Bardzo polecam!

PROF. IRENA GRUDZIŃSKA-GROSS

REKLAMA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL **WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI?** ZAPRASZAMY NA publio.pl

www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo Agora

eprasa.pl 93c52441ba

Albatros travel

Pełne wyżywienie na statku

Rejs po pięknym, modrym Dunaju

Rejs po Dunaju przez Dolinę Wachau, Wiedeń, Budapeszt i Bratysławę, śladami Monarchii Habsburgów i wspaniałej architektury jaką po sobie pozostawili.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Monachium w Niemczech. Przejazd do Pasawy i zaokrętowanie na statku. **Dz. 2** Ybbs, Austria. Możliwość wycieczki do Sanktuarium w Maria Taferi. Przypłynięcie do Wiednia. **Dz. 3** Wiedeń, Austria. Opcjonalna wycieczka po historycznym centrum miasta: Pałac Hofburg, katedra Św. Szczepana, spacer eleganckim deptakiem Graben i Ringstrasse. **Dz. 4** Budapeszt, Węgry. Zwiedzanie miasta i jego wspaniałej architektury (dodatkowo płatne). **Dz. 5** Budapeszt, Węgry. Możliwość wycieczki fakultatywnej do węgierskiej Puszty. **Dz. 6** Bratysława, Słowacja. Opcjonalnie piesza wycieczka po Starym Mieście. **Dz. 7** Melk, Austria. Opcjonalna wycieczka do klasztoru benedyktynów Stift Melk. **Dz. 8** Przypłynięcie do Pasawy, przejazd do Monachium i powrót do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy

11/05, 31/08 2026

od **8.898,-**

2 posiłki dziennie

Costa Dorada i piękna Katalonia

Wybierz się z nami na tygodniową wycieczkę do Hiszpanii, podczas której zwiedzimy Costa Dorada i Katalonię, od regionu winiarskiego Priorat po rzymską Tarragonę.

Program wycieczki: Dz. 1 Przylot do Barcelony i transfer do Cambrils. **Dz. 2** Spacer po Cambrils (m.in. Starówka i port) oraz czas wolny przy hotelowym basenie. **Dz. 3** Fakultatywna wycieczka do średniowiecznego miasta Montblanc i modernistycznego Reus. **Dz. 4** Fakultatywna wycieczka do Barcelony, zwiedzanie miasta. **Dz. 5** Region winiarski Priorat z klasztorem kartuzów, degustacja wina w Escaladai oraz piękne widoki w Siuranie. **Dz. 6** Rzymskie zabytki w Tarragonie wpisanej na listę UNESCO. **Dz. 7** Wizyta na targu w Cambrils i czas do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Przejazd do Barcelony i podróż powrotna do Polski.

8 dni | Wyloty z Warszawy

07/05, 08/10 2026

od **4.498,-**

2 posiłki dziennie

Tajwan – wyspa skarbów

Fascynująca podróż do kraju, w którym tysiącletnie tradycje i religijne rytuały harmonijnie współistnieją z pulsującym rytmem nowoczesnych metropolii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Tajpej. Zakwaterowanie w hotelu i kolacja powitalna. **Dz. 3** Tajpej. Zwiedzanie miasta: Muzeum Narodowe, Hala Pamięci Czang Kaj-szeka i wieżowiec Taipei 101. **Dz. 4** Tajpej – Taichung. Szybka kolej, rezydencja Wufenglin i nocny targ Feng Chia. **Dz. 5** Taichung – Jezioro Słońca i Księżyca. Świątynia Wenwu i rejs po jeziorze Sun Moon. **Dz. 6** Jezioro Słońca i Księżyca – Tainan - Kaohsiung. Wycieczka po Tainanie: ulica Anping, starożytny fort i lokalny targ. **Dz. 7** Kaohsiung. Największy posąg Buddy na Tajwanie. Wizyta w lokalnej społeczności i warsztacie parasoli papierowych. **Dz. 8** Kaohsiung – Taitung. Wizyta w dzielnicy artystycznej Pier-2 i na farmie kakao. **Dz. 9** Taitung – Hualien. Wycieczka rowerowa przez pola ryżowe i wizyta w muzeum Bento. **Dz. 10** Hualien – Yilan – Tajpej. Punkt widokowy Qingshui, lokalny obiad i plantacje herbaty. **Dz. 11** Tajpej. Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Pingxi. **Dz. 12** Wylot z Tajpej do Warszawy. **Dz. 13** Powrót do Warszawy.

13 dni | Wyloty z Warszawy

29/03, 01/11 2026

od **15.998,-**

NOWOŚĆ

REKLAMA

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP02**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 93c52441ba